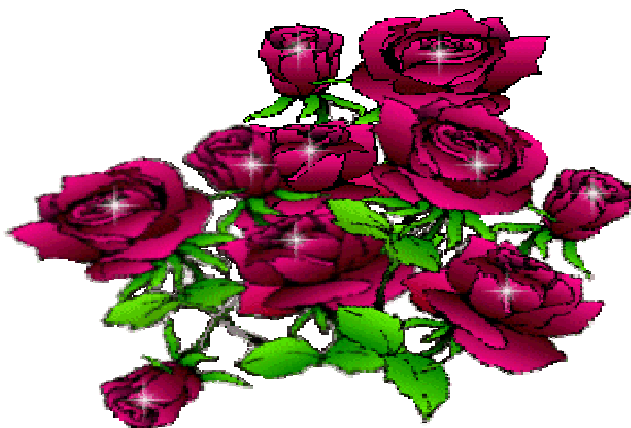




NADINE MILLER

TRZY POCAŁUNKI



Rozdział pierwszy

Olbrzymi czarny wieniec żałobny zawieszony na drzwiach posiadłości Winterhaven przyciąga wzrok Tristana Thibaulta niczym magnes.

- A więc stary łajdak, który mnie spłodził, naprawdę nie żyje - mruknął pod nosem. Zsiadł ze zmęczonej szkapiny, która przywiozła go tutaj aż z Dover. Było zimno i padał deszcz.

Tristan z niedowierzaniem potrząsnął głową. Hrabia Rand, znany wszem i wobec ze swej rozpusty, wreszcie wyciągnął kopyta, a jego śmierć nie wywołała w nim, synu z nieprawego łoża, żadnych uczuć. Dowiedziawszy się o śmierci starego niegodziwca pomyślał tylko, że odkąd Dickie Ramsden rezyduje w zaświatach, ognie piekielne płoną zapewne o wiele weselej.

Blade słońce zimowego popołudnia nie dodawało przytulności ogromnemu, trzypiętrowemu kamiennemu domowi, w którym mieszkał do czasu ukończenia dwudziestu dwóch lat. Długie rzędy wysokich okien były ciemne - zdawać by się mogło, że rodzina przestała czekać na jego przyjazd.

Przywołał w pamięci słowa listu donoszącego o śmierci hrabiego, przysłanego mu po kryjomu przez przyrodnią siostrę. Błagam, wróć do domu - pisała Carolyn. - Ojciec zginął w jakiejś podejrzaney bójce przy kartach i wpadliśmy w tarapaty po same uszy. Co to miało znaczyć? Tristan nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Przecież śmierć starego łajdaka była z pewnością błogosławieństwem dla jego umartwionej żony i dzieci. Wszystkie kłopoty rodziny Ramsdenów, i jego własne nieprawe pochodzenie, były wynikiem ekscesów tego diabła wcielonego. Teraz, gdy tytuł odziedziczył rozsądny, ostrożny Garth, życie w Winterhaven na pewno się poprawi.

Zmarszczył brwi. Podejrzewał, że Caro jak zwykle robi wiele hałasu o nic. Zawsze miała skłonności do przesady. A jednak nie ośmielił się zignorować jej rozpaczliwej prośby o pomoc. Nie chciał jej ignorować. Był to pierwszy list z domu, jaki otrzymał od sześciu lat, w czasie których mieszkał na

kontynencie. Brytyjski tajny agent, udający obywatela Republiki Francuskiej, chcąc nie chcąc musi zerwać wszystkie kontakty z rodakami. Ale wojna wreszcie się skończyła, a Korsykanin został umieszczony bezpiecznie na Elbie i Tristan mógł znowu wrócić do Winterhaven i ludzi, których z czasem nauczył się traktować jak własną rodzinę.

Rozejrzał się za stajennym, żeby odprowadził konia do stajni, lecz o dziwo nie zobaczył nikogo. Jeszcze dziwniejsze było to, że żaden służący nie otworzył mu drzwi. Zazwyczaj to lokaj wnosił jego torby podróżne do domu. Co tu się działo? Czując dziwny niepokój przywiązał konia do bezlistnego drzewka, zdjął torby z grzbietu zwierzęcia i wszedł po szerokich kamiennych schodach.

Nie zdążył jeszcze dotknąć żelaznej kołatki, gdy dębowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Z domu wypadła mała złotowłosa kobietka i niczym huragan rzuciła mu się w ramiona.

- Tristan! - zawołała. - Wiedziałam! Wiedziałam, że jednak przyjedziesz!

Po prostu wiedziałam!

Tristan rzucił na ziemię torby podróżne i złapał siostrę w ramiona.

- Oczywiście, że przyjechałem - odparł i roześmiał się.

- Choć podejrzewam, że dałem ci się nabrać, ty mała oszustko. Na pewno jak zwykle przesadziłaś. Ale nic mnie to nie obchodzi. Szczerze mówiąc, już od jakiegoś czasu szykowałem się do powrotu do Anglii. Znudziła mi się zabawa w wojnę. Mam ochotę ustatkować się i osiąść na tym kawałku ziemi, który wieki temu obiecał mi Garth.

Carolyn objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego piersi.

- Och, Tris, jak bardzo bym chciała, żeby to wszystko, co ci napisałam, było przesadą. Ale nasza sytuacja jest naprawdę tak okropna. - Głos jej się załamał. - To wszystko jest jak koszmarny sen, z którego nie można się obudzić.

Tristan odsunął ją na odległość ramienia. Zaskoczyło go to, co zobaczył. Sześć lat temu zostawił tu śliczne, rumiane i figlarne dziewczętko - teraz miał przed sobą bladą kobietę o podkrążonych błękitnych oczach. Delikatnie pociągnął ją na ławeczkę stojącą pod ścianą hallu.

- Opowiedz mi o wszystkim. Także o tym, jak, u Boga Ojca, udało ci się wcisnąć liścik do mnie do oficjalnej korespondencji z Whitehallu

adresowanej do lorda Castelreag-ha rezydującego przy Kongresie Wiedeńskim?!

- Mam znajomego, który jest urzędnikiem w Whitehallu

- odparła prosto z mostu Carolyn. - Słyszał, że lord Castelreagh ma z tobą kontakt, więc postanowiłam zaryzykować. Nie pytaj mnie o jego nazwisko, bo gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym, że mi pomógł, jego kariera wisiałaby na włosku. - Po policzku dziewczyny spłynęła łza. - Nie wiedziałam, co mam robić. Ani Garth, ani mama nie mieli pojęcia, że wysłałam do ciebie ten list. - Wstała i ujęła brata za rękę. - Mama jest w salonie. Chodźmy do niej. Bardzo się ucieszy na twój widok. Poza tym będzie lepiej, jeżeli razem opowiemy ci o wszystkim. Takiej historii nie powinno się słuchać dwa razy.

To powiedziawszy zaprowadziła go na piętro, do prywatnego salonu hrabiny. Tristan szedł za siostrą z rosnącym zaniepokojeniem.

Lady Ursula leżała na kozetce pod puchową pierzyną. W zazwyczaj jasnym pokoju panował półmrok. Na kominku żarzyła się kupka węgla, lecz w pokoju było bardzo zimno. Na ogromnym mahoniowym biurku słabym płomieniem paliła się pojedyncza świeca.

Carolyn weszła do pokoju różnym krokiem.

- Nigdy byś nie zgadła, kto przyjechał, mamó! Kochany Tristan wrócił, by pomóc Garthowi w rozwiązaniu naszych problemów.

Lady Ursula Ramsden spojrzała na nich zaczerwienionymi oczyma.

- Tristan? Dzięki Bogu, że wreszcie wróciłeś do domu! - Usiadła dziarsko wyprostowana. - Nareszcie mogę przestać się martwić. Macie natychmiast wymyślić jakieś rozwiązanie tej przeklętej sytuacji!

Odsunęła z czoła kosmyk jasnych włosów. Przez te wszystkie lata Tristan nigdy nie widział jej nie uczesanej. Teraz wyglądała, jakby uciekła spod kurateli swego wiernego fryzjera. Nigdy też nie słyszał podobnego słowa w jej ustach.

Hrabina patrzyła na niego z podziwem.

- Wielkie nieba! Już zapominałam, jaki jesteś ogromny! Nie poznałabym cię na ulicy! Gdzie podział się ten mały chłopiec, którego przez tyle lat tuliłam do snu?

- Taak, z tymi długimi czarnymi włosami i opaloną twarzą wyglądasz bardziej na pirata, niż na naszego Tristana - przytaknęła Carolyn.

- Słyszałem gorsze określenia. - Młodzieniec roześmiał się wesoło. - W Paryżu była jedna taka straganiarka, która zawsze żegnała się znakiem krzyża świętego, gdy tylko na nią spojrzalem. Mówiła, że wyglądam jak sam szatan.

- Ileż musiałeś przecierpieć... Ileż my wszyscy wycierpieliśmy przez te sześć lat... - W niebieskich oczach lady Ursuli pojawiły się łzy. Wyciągnęła ramiona w powitalnym geście, który obudził w Tristanie gorzko-słodkie wspomnienia z dzieciństwa. Dokładnie tak samo ta wspaniała kobieta

powitała go przy pierwszym spotkaniu, gdy jako przerażony sześciolatek stanął na progu jej domu z karteczką w ręce, na której było napisane, że jest bękartem hrabiego Randa. Ursula poleciła służącym, by zwracali się do niego per „lordzie Tristanie”, choć miał do tego tytułu nie większe prawo niż pierwszy lepszy żebrak z ulicy.

Uklęknął przy kozetce i przyciągnął wątłą hrabinę do siebie. Pocałował ją w błądy policzek, a ona przywarła do niego z tą samą rozpaczliwą żarliwością, co wcześniej Carolyn.

- Co to za problemy, z którymi Garth nie daje sobie rady? - zapytał.

- Przede wszystkim, gdzie on jest? I dlaczego pozwolił służącym tak zaniedbać dom? Przecież w tym pokoju jest zimniej niż w mej kajucie na statku, którym przepłynąłem przez Kanał.

- Jestem tu, jestem, bracie.

- Od drzwi dał się słyszeć znajomy głos.

- Jest też drewno do ogrzania pokoju mamy. A służących nie ma. Została tylko nasza gospodyni, pani Peterman, i stary ogrodnik. Tylko oni zgodzili się zostać z nami bez zapłaty.

Tristan aż otworzył usta ze zdumienia na widok brata, piątego hrabiego Randa - zaniedbanego, brudnego i potarganego, niosącego ogromne naręczce drewna niczym zwykły służący.

- Co tu się dzieje, u wszystkich diabłów?

Garth położył opał nieopodal kominka i odwrócił się do Tristana.

- To długa i nieprzyjemna historia. Nie będę cię zanudzać

szczegółami. Powiem tylko, że kiedy po wojnie wróciłem do domu, okazało się, że nasz ojciec, oby szeszł w piekle, przegrał cały majątek w karty. Zastrzelił go jakiś oficer, którego usiłował oszukać przy pokerze.

- Wszystko stracił? - Tristan nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Ano wszystko. Domek myśliwski w Midlands, dom w Londynie, farmy w Suffolk, nawet Winterhaven wraz ze wszystkimi meblami.

- Garth przeczesał palcami gęste blond włosy. - W spadku zostawił swoim dzieciom jedynie długi karciane we wszystkich spelunkach Londynu sięgające dwudziestu tysięcy funtów.

Tristan patrzył na brata z niedowierzaniem. Stary hrabia zawsze miał lekką rękę, ale normalnemu człowiekowi życia by nie starczyło na to, by przegrać wszystkie posiadłości Ramsdenów i tyle pieniędzy na dokładkę. Ogarnęła go dzika furia. Zaklął pod nosem najokropniejszymi przekleństwami, jakie słyszał w paryskich slumsach. Przez sześć lat spędzonych we Francji nauczył się sztuki przetrwania, lecz tych troje ludzi, których kochał całym sercem, nie potrafiło się obejść bez pieniędzy.

Nadal w szoku, otulił lady Ursulę pierzyną i podszedł do kominka, by rozpalic ogień. Garth obserwował go bez słowa.

- Ale to jeszcze nie wszystko - powiedział tym samym, monotonnym głosem, którym opowiedział mu pierwszą część niesamowitej historii.

- Hipoteki na wszystkie posiadłości, podobnie jak ponad połowa długów, zostały wykupione przez jednego człowieka - Caleba Harcourta.

Tristan podniósł wzrok znad swojej roboty.

- Tego bogacza? Właściciela Linii Żeglugowej Harcourta? Garth kiwnął głową.

- I Przędzalni Bawełny Harcourta, dwóch hoteli w Londynie i Bóg wie czego jeszcze. Zastanawiam się, czy ten idiota przypadkiem nie sądzi, że posiadając majątek hrabiego Randa przejmie też jego tytuł? Plotka głosi, że chciał spłacić co niektóre bardziej naglące długi księcia regenta w zamian za nadanie mu szlachectwa.

- Nie wydaje mi się, żeby Caleb Harcourt był durniem.

- Tristan w zamyśleniu przewracał pogrzebaczem węgiel na kominku, dopóki suche drewno nie zajęło się ogniem.

- Musiał mieć ważny powód, by zadać sobie trud odszukiwania wierzycieli hrabiego i spłacania jego długów... Choć Bóg mi świadkiem, zupełnie nie rozumiem motywów jego działania.

- Ja też nie. Ale zamierzam go o to zapytać. Prosił, bym mu jutro złożył wizytę w dokach, gdzie prowadzi swoje interesy.

- Doskonale. Więc pójdziemy do niego razem. Dorwiemy lwa w jego własnej jaskini - rzekł Tristan stanowczo. Serce go bolało na myśl o cierpieniu brata. Jakim strasznym ciosem musiało być dla Gartha to, że w gniewu oka stoczył się z wyżyn bogactwa i poszanowania do takiej biedy i pohańbienia.

- Czy to aby rozsądny pomysł, moi kochani? - Zapytała lady Ursula. Na jej małej twarzy w kształcie serca malowało się zaniepokojenie. - Przecież to zwykły prostak, na miłość boską. Czy dżentelmen ma szansę na zrozumienie u kogoś stojącego o tyle niżej? Nawet jeżeli ten ktoś jest bardzo bogaty?

Garth odsunął się od paleniska i wyciągnąwszy krzesło spod biurka, opadł na nie bez sił.

- A czy mam inne wyjście, mam? - zapytał z lekkim zniecierpliwieniem. - Dzięki zamięłowaniu ojca do hazardu ten zwykły prostak posiada wszystko, co prawnie mi się należało. Jestem na jego łasce.

- Spojrzał z rozpaczą na Tristana.

- Nie mogę nawet dać ci tego majątku w Suffolk, który obiecałem ci tyle lat temu. On też przepadł.

Tristan ukrył wielki zawód pod maską obojętności. Wzruszył ramionami.

- Nie martw się. Marny byłby ze mnie hodowca owiec.

- Zmusił się do uśmiechu.

- A jeżeli chodzi o dogadywanie się z prostakami, to od czasu, gdy osiadłem we Francji, nie robiłem nic innego. Z doświadczenia wiem, że nie są ani lepsi, ani gorsi od szlachty. Zobaczymy, jak temu angielskiemu przedsiębiorcy z oczu patrzy i dostosujemy się do sytuacji. Popłyniemy z prądem.

To było wyjątkowo głupie; nic nowego nie wносиło, nic nie obiecywało, ale sądząc po spojrzeńiach dwóch par błękitnych oczu, wywarło oczekiwane wrażenie na Carolyn i hrabinie.

Pusty wzrok Gartha świadczył o tym, że on nie dał się nabrać na czcze zapewnienia brata. Na szczęście nie powiedział nic, co zburzyłoby spokój pań. Kilka minut później bracia wyszli z salonu, tłumacząc się zmęczeniem Tristana i koniecznością przygotowania strategii na następny dzień.

- Czy lady Sara wie o twoich problemach? - Zapytał Tristan w drodze do biblioteki. Córka ich sąsiada, wicehrabiego Tinsdale, praktycznie wychowywała się z nimi i zawróciła Garthowi w głowie już dawno temu. Obie rodziny doskonale wiedziały, że ślub jest tylko kwestią czasu.

- Jakoś nie potrafię zmusić się do zakończenia naszego związku.

- Przepelniony bólem głos Gartha drżał.

- Wszystkie moje kłopoty bledną wobec świadomości, że muszę zranić kobietę, którą kocham... i to w najgorszy możliwy sposób. Sara czekała na mnie tak długo... Wszystkie dziewczęta w jej wieku już dawno powychodziły za mąż... A teraz muszę jej powiedzieć, że wszystkie nasze plany nie są warte funta kłaków.

Tristan spojrział na niego spod oka.

- Znam Sarę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie . przestanie cię kochać tylko dlatego, że nie jesteś już bogaty.

- Oczywiście że nie. Ja też nigdy nie przestanę jej kochać. Ale czy naprawdę sądzisz, że wicehrabia Tinsdale pozwoli swojej jedynej córce wyjść za mąż za bankruta, nawet jeżeli ten bankrut ma hrabiowski tytuł? A może zdaje ci się, że jestem takim egoistą, iż poproszę Sarę, by dzieliła ze mną życie w nędzy i hańbie? - Garth potrząsnął głową.

- Nie... Kiedy już dowiem się, na czym stoję, znajdę w sobie siłę, by powiedzieć jej o wszystkim i skończyć z tym raz na zawsze.

Garth wyprostował szczupłe plecy, co tylko wzmogło współczucie Tristana. Żał mu było nieszczęśliwego brata, tym bardziej że sam nigdy nie zaznał podobnych rozterek. Z obserwacji innych wiedział, że miłość przynosi więcej bólu niż radości.

- Teraz potrzebujesz tylko mocnego drinka na uśmierzenie bólu - powiedział stanowczo.

- A ja bardzo chętnie pomogę ci utopić smutek w alkoholu. Co powiesz na małą wyprawę do piwnicy? Może znajdziemy jakąś buteleczkę francuskiej brandy? Przez ostatnie sześć lat zdołałem polubić to świństwo.

Uśmiech Gartha był bardzo smutny.

- Doskonały pomysł - przytaknął jakoś zbyt szybko.

- Ale najpierw chcę ci coś dać.

- Z szuflady biurka wyciągnął złoty zegarek na łańcuszku i podał go bratu.

- To jeden z dwóch przedmiotów, których ojciec nie przegrał w karty.

Tristan oglądał z niesmakiem bogato zdobiony zegarek.

- Dziękuję ci bardzo, ale nie mam ochoty na żadne pamiątki po tym starym libertynie, który nigdy nie uznał mnie za swego syna.

- Zachowaj zegarek z tego choćby powodu, dla którego ja zachowałem tę wysadzaną kamieniami tabakierkę - odrzekł ponuro Garth. - Jako przypomnienie tego, co złe i zdeprawowane na świecie... wszystkiego, czym nie chcę się stać.

Biura Linii Żeglugowej Harcourta mieściły się w obdrapanym, dwupiętrowym magazynie tuż obok targu rybnego na Billingsgate. Tristan i Garth przyjechali tu z Winterhaven w sportowej dwukółce starego hrabiego - nie najlepszym pojeździe do przeciskania się przez tłum biednych przekupniów i służących kręcących się przy stoiskach ze śledziami, homarami, łososiami i innymi owocami morza serwowanymi na stołach londyńczyków.

Wszędzie roznosił się silny zapach ryb. Górował nad odorem brudnych doków i nie domytych ludzi kręcących się po placu i sprawił, że nawet odpornemu Tristanowi zrobiło się niedobrze. Nocne poszukiwania w piwnicach Winterhaven zaowocowały nie jedną, lecz dwiema butelkami brandy, które bracia rozpili, zanim nastał zimny, szary świt i przypomniał im, że do spotkania z Calebem Harcourtem zostało im zaledwie parę godzin.

Słońce zimowego poranka boleśnie tortuowało nabiegłe krwią oczy Tristana, a przeraźliwe głosy przekupniów wdierały się do obolałej głowy. Zacisnąwszy zęby, młodzieniec błagał w myślach litościwego Boga nie tylko o cierpliwość, ale i jasny umysł, gdy spotkają się wreszcie twarzą w twarz z bogatym prostakiem, który ma w rękach przyszłość rodziny Ramsdenów. Zatrzymał dwukółkę przed drzwiami z tabliczką „Linie Żeglugowe

Harcourta" i rzuciwszy chłopakowi w liberii miedziaka za pilnowanie konia, pomógł Garthowi wysiąść z powozu.

Gdy chwilę później weszli do środka, czekało ich miłe zaskoczenie. Choć z zewnątrz budynek był obdrapany i brudny, wewnątrz było pięknie utrzymane, eleganckie i czyste. Ogromna poczekalnia wyłożona była kolorowymi dywanami, stały tu głębokie fotele, a na ścianach wisiała imponująca kolekcja obrazów.

Jednak największym błogosławieństwem było to, że upiorny zapach ryb został za drzwiami. Wnętrze budynku pachniało przyprawami i ziołami, co wyjaśniał napis nad schodami wiodącymi na piętro: „Przyprawy i Egzotyczne Zioła Harcourta”.

- Miałaś rację, że linia żeglugowa to nie jedyna inwestycja pana Harcourta - mruknął wskazując napis bratu.

W pokoju znajdowało się około dwudziestu mężczyzn ubranych w jednakowe czarne fraki i czarne spodnie. Stojąc w małych grupkach rozmawiali ścisłymi głosami. Zdawało się, że czekają na audiencję u księcia regenta w Carlton House. Wszystkie rozmowy jednak ucichły, gdy tylko Garth i Tristan przekroczyli próg poczekalni i zdjęli wysokie cylindry. Powód zdawał się oczywisty. Choć ich ubrania skrojone z doskonałego materiału już dawno wyszły z mody, w porównaniu z tymi skromnie ubranymi kupcami wyglądali jak dwa pawie wśród stada gęsi.

Ledwie zdążyli stanąć po środku poczekalni, gdy podszedł ku nim niski, szczupły mężczyzna ubrany na czarno. Na nogach miał dziwnie wyglądające trzewiczki, a na siwych, rzadkich włosach krzywo założoną peruczkę. Na nosie miał okulary w drucianej oprawce.

- Lordzie Rand? - zapytał patrząc nerwowo to na Gartha, to na Tristana.

- Ja jestem hrabią Rand - odparł sztywno Garth.

- To mój brat, lord Tristan.

- Oczywiście, oczywiście. Ja się nazywam Ephiriam Scruggs, do pańskich usług.

- Mały człowieczek zgiął się w głębokim ukłonie. Wyprostowując się dodał: - Kapitan czeka na panów od godziny. Jest wściekły jak sam szatan. Pójdę i powiem mu, że panowie już przyszli.

- Odwrócił się na pięcie i drobnymi kroczkami przeszedł szybko przez pokój. Zniknął za masywnymi dębowymi drzwiami, by po chwili wysunąć głowę i "skinąć na braci zakrzywionym palcem.

Garth i tak od rana nie wyglądał najlepiej, lecz teraz jego twarz miała dziwnie zielonkawy odcień.

- Jezu, a cóż to za dom wariatów? - wyszeptał z przerażeniem.

- Odwagi, mój drogi - odszepnął Tristan i poprowadził go przez pokój czując na sobie spojrzenia pozostałych mężczyzn.

- Mam wrażenie, że najgorsze dopiero przed nami.

Małe biuro Caleba Harcourta było jeszcze elegantsze niż poczekalnia. Jednak patrząc na olbrzymiego mężczyznę stojącego za dębowym biurkiem obaj młodzieńcy odnieśli wrażenie, że lepiej czułby się na pokładzie jednego ze swych statków niż w tym pokoju. Jego opaloną twarz znaczyły głębokie bruzdy, a siwe włosy były nad wyraz długie. Miał na sobie czarny frak, doskonale skrojony, lecz tak pomięty, jakby pan Harcourt spał w nim przez ostatni tydzień. Przyglądał się młodzieńcom z ogromnym zainteresowaniem.

- Który z was jest hrabią, a który bękartem? - zagrzemiał po chwili.

Widząc wściekłość malującą się na twarzy Gartha, Tristan zabrał głos.

- Jestem Tristan Thibault - rzekł pospiesznie. Harcourt był najwyraźniej wstrętnym prostakiem, lecz trzymał wszystkie asy w garści. W tej chwili rozpoczęcie z nim wojny byłoby czystą głupotą.

- Ulubiony szpieg Castelreagha, jak donoszą moje źródła.

- W szarych oczach Harcourta paliło się coś na kształt szacunku.

- Myślałem, że jesteś w Wiedniu.

- Pańskie „źródła” mają nieaktualne wiadomości. Mam nadzieję, że ich pan nie przepłaca. Już od trzech dni jestem w Anglii.

Ku ogromnemu zdumieniu Tristana, Harcourt odrzucił do tyłu kudłatą głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Bezcelny z ciebie szczeniak. Ale masz rację. Moi informatorzy dostaną tym razem nieco mniejsze czeki. - To powiedziawszy odwrócił się do Gartha.

- A co pan ma do powiedzenia, milordzie? A może pozwala pan mówić za siebie bratu?

Garth wyprostował się dumnie, lecz nadal był o głowę niższy od Tristana, nie wspominając już o olbrzymim piracie.

- Sam mówię za siebie, proszę pana, ale tylko wtedy, gdy mam coś do powiedzenia. Jak na razie, to pańskie karty są na wierzchu, jeżeli wolno mi się tak wyrazić.

Harcourt postukał palcem w stos dokumentów leżących na biurku.

- I to jeszcze jak. Ale proszę, siądźcie. Porozmawiajmy. - Wskazał im miejsca, po czym usiadł za biurkiem.

- Nie ma sensu owijać w bawełnę. Wasz ojciec był doprawdy żalosną kreaturą. Rzeczą gorszą od pijaka i kobieciarza jest tylko oszust karciany, a wasz tatuś był i jednym, i drugim, i trzecim. Zostawił was na lodzie.

Tristan rzucił bratu uspokajające spojrzenie. Może i słowa tego człowieka zabrzmiały obraźliwie, lecz było w nich wiele prawdy.

Harcourt rozparł się w fotelu.

- Wątpię, czy macie jakiś pomysł, jak zaopiekować się matką i siostrą, nie wspominając już o tych umierających z głodu biedakach we wsiach w waszym majątku. - W pokoju zapadła cisza. - Tak też myślałem - dodał, jak gdyby Garth potwierdził milczeniem, że nie wie, jak rozwiązać swe problemy finansowe. Na twarzy potężnego mężczyzny pojawił się zwycięski uśmiech. - Doskonale, milordzie. Oto moja propozycja. Zapomnę o tej całej górze długów, którą pan odziedziczył, i dodam nawet wcale pokaźną sumkę na postawienie posiadłości na nogi... ale pod dwoma warunkami.

Tristan i Garth wymienili zaskoczone spojrzenia. Podczas długiej, sówicie zakrapianej alkoholem nocy rozważyli wiele scenariuszy tej rozmowy, lecz przez myśl im nie przeszło, że Caleb Harcourt zechce umorzyć im dług.

- Jakimi dwoma warunkami? - zapytali jak na komendę.

- Po pierwsze, milordzie, chcę, żeby pan osobiście pracował.

nad zagospodarowaniem posiadłości i odbudowaniem majątków... nie powierzył tę pracę nadzorcy, lecz sam ją wykonał. Nie jest mi potrzebny facet, z tytułem szlacheckim czy bez, który boi się pracy.

Garth przełknął ślinę, z wysiłkiem zdusił gniew.

- Jeżeli dojdziemy do porozumienia, będę harował od świtu do nocy, by tylko dotrzymać zobowiązań.

- Znowu przełknął.

- Jestem poważniejszym człowiekiem niż mój ojciec.

- A ja mu pomogę.

- Tristan położył bratu dłoń na ramieniu.

- Nie tak od razu - zaproponował Harcourt.

- Mam o wiele ważniejsze zadanie do wykonania na Kontynencie i właśnie przyszło mi do głowy, że to ty mógłbyś je wykonać. Moje źródła donoszą, że znasz Francję lepiej niż niejeden Francuz.

- Uniósł dłoń, by powstrzymać protest cisnący się Tristanowi na usta. - Nie zabierze ci to wiele czasu, a dobro twojego brata też jest tu na szali. Radzę ci się zastanowić, zanim mi odmówisz.

Tristan zacisnął zęby. Nie podobała mu się utajona groźba w słowach Harcourta, nie miał jednak wyboru; dla dobra rodziny musi wysłuchać tego do końca.

Olbrzym pochylił się nad biurkiem i splótł palce.

- A więc tak: moja córka Madelaine mieszka w Lyonie ze swym dziadkiem ze strony matki, francuskim księciem. Stary przysłał mi niedawno list, mówiąc, że jest chory i nie chce, by po jego śmierci Maddy została sama jak palec. Cóż, ja też tego nie chcę, więc masz mi ją tu przywieźć. Popłyniesz do Calais na jednym z moich statków. Każę kapitanowi poczekać, aż przywiesz Maddy z Lyonu, co nie powinno być trudne dla człowieka z twoim doświadczeniem.

Tristan mruknął coś pod nosem, chcąc wysłuchać reszty historii, zanim odpowie zdecydowanie tak lub nie. Harcourt odwrócił się znowu do Gartha.

- I to przywiodło nas do drugiego punktu naszej umowy, milordzie. Chcę, byś w zamian za spłatę długów podpisał mi tu oświadczenie, że gdy tylko Maddy zjawi się w Anglii, ożenisz się z nią.

Lekki rumieniec wywołany nadzieją, który przez chwilę zagościł na twarzy Gartha, ustąpił równie szybko jak fala przyływu,

- Chce pan, bym poś... poślubił pańską córkę?! - wyjąkał z niedowierzaniem. - Ależ jak mogę się zgodzić na coś podobnego? Przecież ja jej wcale nie znam.

- I co z tego? Sam jej nie widziałem od piętnastu lat! Jej matka wróciła do Francji z Madelaine w powijkach, gdy okazało się, że tutejsze towarzystwo nie da żyć żonie ubogiego kupca. Miałem wtedy tylko jeden statek, którego sam byłem kapitanem. Nic nie mogłem na to poradzić. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Teraz jestem bogaty i chcę dopilnować, by wszystkie drzwi w

Londynie, włącznie z tymi w Carlton House, stały przed Maddy otworem. A ponieważ mogę to zapewnić tylko dając jej tytuł przed nazwiskiem, niech i tak będzie.

Harcourt walną pięścią w biurko z taką siłą, że kałamarz z hukiem stoczył się na podłogę. Brzęk obudził nową falę bólu w głowie Tristana. Tylko siłą woli młodzieniec powstrzymał się od głośnego jęku.

Widział, że Garth nawet nie próbuje zachować pozorów spokoju. Zamknął oczy, przycisnął drżące palce do skroni i siedział w fotelu lekko kiwając się to w przód, to w tył. Zdawało się, że nieoczekiwana propozycja Caleba Harcourta w połączeniu z całonocną libacją i porannym kacem wpędziły go w chorobę umysłową.

Harcourt niecierpliwie zamachał dokumentami przed nosem Gartha.

- Przyjmij moją ofertę, milordzie, dobrze radzę. Albo odrzuć ją i cierp konsekwencje własnej głupoty! Może i jesteś doskonałym materiałem na zięcia, ale na pewno nie jesteś jedynym zubożałym szlachcicem w Anglii. - Garth zachnął się słysząc te słowa. - Ilu mężczyzn w twojej sytuacji ma szansę umorzenia długów i jeszcze dostania ponętnej żony na dokładkę?

- Ponętnej? - powtórzył słabo Garth. Nadal miał zamknięte oczy, a jego twarz przybrała dziwny, niebieskawy odcień.

Tristan przyglądał się bratu z coraz większym niepokojem, lecz Harcourt zdawał się nie dostrzegać w jego zachowaniu niczego dziwnego.

- Więc co ty na to, mój chłopcze? - zapytał donośnym barytonem roznoszącym się niczym gong po maleńkim pokoju.

- Zgoda? Twój tytuł za mój majątek?

Garth zerknął z rozpaczą w stronę brata. W jego oczach czaiła się rozpacz lisa zapędzonego przez psy w róg stodoły.

- Zgoda - powiedział zduszonym głosem.

Tristan z przerażeniem patrzył, jak jego brat, piąty hrabia Rand, podchodzi do biurka Caleba Harcourta i podpisuje cyrograf.

Madelaine Harcourt nie wiedziała, czy ten, kto dobija się do drzwi domu jej dziadka, jest przyjacielem, czy wrogiem

- czy to znajomy rojalista przyszedł pomóc jej opiekować się umierającym arystokratą, czy też jakiś bonapartysta chce zemścić się na zażartym wrogu cesarza.

Od pięciu dni, odkąd pogłoski o ucieczce imperatora z Elby dotarły do Lyonu, na ulicach i placach gromadzili się sympatycy Bonapartego i radośnie rozprawiali o jego powrocie do władzy. Teraz, gdy cesarz wraz ze swymi grenadierami dotarł już do Grenoble, wzięli się za niszczenie sklepów i wybijanie szyb w domach znanych rojalistów. Stary kamerdyner dziadka uciekł ze służby bez słowa, podobnie jak zgryźliwa kobieta od sześciu lat pełniąca obowiązki gospodyni domu i jednocześnie przyzwoitki Madelaine. Trudno było mieć do nich o to pretensje.

Dziewczyna podeszła po cichu do okna w swej sypialni, które wychodziło na front domu, i odsunawszy ciężkie zasłony, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Było już ciemno, lecz księżyc był w pełni i wyraźnie widziała męczyznę pukającego do drzwi. Był wysoki - o wiele wyższy niż arystokraci odwiedzający ten dom.

Przez długą chwilę stała przytulona do ściany nie mogąc opanować drżenia. Kiedy serce wreszcie przestało tłuc się jej w piersi, pobiegła wąskim korytarzem do pokoju dziadka. Leżał w łóżku oparty o poduszki; miał zamknięte oczy, oddychał z trudem, a jego twarz nosiła już piętno śmierci.

Madelaine poczuła przypływ żalu. Dziadek zawsze był taki pełen wigoru, taki dumny i tak okropnie autokratyczny. Nie mogła znieść jego powolnej agonii. Staruszek od wielu godzin uparcie trzymał się ostatniej iskierki życia, nie chcąc poddać się śmierci. Pochyliła się nad nim i delikatnie pocałowała go w pomarszczony policzek.

W tej samej chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Madelaine aż podskoczyła. Wielkie nieba! Intruz musiał wybić okno przy drzwiach. Pewno już sięga do klamki i otwiera sobie drzwi do jej domu!

Rozpaczliwie rozejrzała się za jakąś bronią. Jej wzrok padł na komodę stojącą pod ścianą. Pomiędzy różnymi osobistymi drobiazgami dziadek trzymał w niej drewniane pudło z pistoletami do pojedynków. Pistolety nie były oczywiście naładowane, ale czy to ważne? Intruz i tak o tym nie wiedział. Podbiegła do komody, wyjęła pudełko i ujęła śmiertelne narzędzie w obie dłonie.

- Jest tam kto? Niech mi ktoś odpowie! - W głosie nieznanego nie było nienawiści. Jednak mówił z twardym akcentem paryskiej biedoty. Serce

dziewczyny znowu zaczęło walić jak oszalałe; zacisnęła dłonie na kolbie pistoletu.

Parę chwil później w drzwiach sypialni stanął wysoki mężczyzna w zakurczonym podróżnym ubraniu. Głową sięgał niemal framugi. Jego ciemne, długie włosy w nieładzie opadały na opaloną twarz. Miał dziwne, jasne oczy.

- Arrêtez vous! Ani kroku dalej, bo będę strzelać! - powiedziała Madelaine drżącym głosem. Ręce jej się trzęsły, lecz dała radę utrzymać pistolet wycelowany prosto w pierś nieznajomego.

- Mademoiselle Harcourt? - zapytał patrząc niepewnie na pistolet w jej dłoniach. - Mon Dieu! Niech pani uważa, do kogo pani z tego mierzy! - Przyjrzał się jej dokładnie i po chwili wilczy uśmiech ukazał się na jego ustach. Dziewczyna poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku. - Następnym razem, gdy będzie pani chciała kogoś zastrzelić, mademoiselle, radziłbym odwieść kurek.

Szybkim ruchem, który zaskoczył ją zupełnie, wyrwał jej broń i odłożył na stojący opodal stolik.

- No i, oczywiście, tego typu zabawki są o wiele przydatniejsze, jeżeli się je wcześniej naładuje. Jak na przykład to... - dodał pokazując jej mały, lecz śmiertcionie wyglądający rewolwer, który trzymał w prawej dłoni. - Coś pani poradzę. Niech pani nigdy nie celuje do mężczyzny z nie naładowanego rewolweru, bo on też może mieć coś w zanadrzu. Gdybym chciał panią zastrzelić, już byłaby pani martwa.

Madelaine wycofała się do łóżka dziadka.

- Kim... kim pan jest? - wyjąkała z przerażeniem. - Czego pan chce?

Tristan zatknął rewolwer za pas spodni i uważnie przyjrzał się dziewczynie. Uśmiechnął się bezwiednie. Jeżeli ta ciemnowłosa panna o chłopczej figurze i ogromnych przerażonych oczach jest „ponętą” córką Caleba Harcourta... No, no...

Tego się nie spodziewał. Jeżeli się nie myli, to ta pannica jest o ładnych parę centymetrów wyższa od swego przyszłego oblubieńca.

Uklonił się uprzejmie.

- Nazywam się Tristan Thibault. Przyjechałem tu w odpowiedzi na list księcia de Navareil.

- A cóż to znowu za brednie, monsieur! Mój dziadek nie utrzymuje korespondencji z nikim w Paryżu.

- W Paryżu? - Nieznajomy uniósł brwi ze zdumieniem.

- Aaa, mój akcent! - Wzruszył ramionami. - Niech się pani uspokoi, nie przybywam z Paryża, tylko z Londynu.

Zanim Madelaine Harcourt zdążyła zareagować na tę rewelację, starsuszek na łóżku poruszył się nerwowo.

- Kto tu jest, moja kochana? - zapytał słabym głosem.

- Czy mi się śniło, czy też on powiedział, że przybył z Londynu?

Tristan odwrócił wzrok od przerażonej dziewczyny i spojrzął na siwowłosego starsuszka, o pomarszczonej twarzy, haczykowatym nosie i głęboko osadzonych oczach wypatrujących go w mroku.

- Dobrze pan usłyszał. - Podszedł do łóżka. - Przysłał mnie tu Caleb Harcourt z poleceniem, bym odszukał jego córkę i zabrał ją do Londynu, o co prosił pan w liście.

- Dzięki Bogu, moje modlitwy zostały wysłuchane na czas! Niech ją pan zabierze jak najdalej stąd, monsieur! Niech ją pan zabierze, zanim Korsykanin przybędzie do Lyonu i...

- Nie! Dziadku, nie mów tak! - Madelaine ujęła chudą dłoń starca. - Nie każ mi cię opuszczać i jechać do ojca, który nigdy mnie nie chciał! Nigdy w życiu nie byłam ci nieposłuszna, ale tym razem...Uśmiech starego księcia pełen był czułości. W oczach zabłysły mu łzy.

- To nie ty mnie opuszczasz, lecz ja ciebie, moja kochana.

Tam, dokąd idę, nie możesz mi towarzyszyć.

- Nagle skrzywił się z bólu i jeszcze bardziej pobladał.

- Ten Anglik, twój ojciec, zawsze się o ciebie troszczył. Zawsze. Nigdy się nie zastanawiałaś, skąd mieliśmy pieniądze w czasach, gdy rojaliści przymierali głodem pod butem Bonapartego?

- Starzec oddychał z coraz większym trudem. Wreszcie wykrztusił cicho:

- Przebacz mi, że cię oszukałem. Przebacz, że kłamałem, mówiąc ci o ojcu. Obawiałem się, że gdy powiem prawdę, stracę cię na zawsze. To twoja niemądra matka była wszystkiemu winna, a nie angielski kupiec. Madelaine przycisnęła usta do dłoni dziadka.

- To nie ma znaczenia. I tak nigdy bym cię nie opuścił. Ale on już jej nie słyszał. Przymknął oczy i lekko westchnąwszy, oddał swe ostatnie tchnienie na tym padole łez.

SK

Rozdział drugi

Madelaine Harcourt upadła na ciało dziadka wstrząsana gwałtownym szlochem. Jej ból nieoczekiwanie wzruszył Tristana. Wyszedł na palcach z pokoju, lecz dźwięk jej płaczu prześladował go jeszcze długo po tym, jak przestał go słyszeć. Było oczywiste, że dziewczyna bardzo kochała dziadka, i że jego śmierć była dla niej ogromnym ciosem, podobnie jak przed laty ogromnym ciosem była dla niego śmierć matki pod kołami rozpędzonego powozu. Nawet teraz czuł na dnie duszy ogromną pustkę i ból po stracie tej cudownej kobiety.

Stał w salonie na pierwszym piętrze wyglądając w ciemną noc i zastanawiał się, jak też ma dalej postąpić. Pozornie łatwe zadanie, do wykonania którego zmusił go Caleb Harcourt, zaczęło się nagle komplikować.

Jak na razie wszystko, co tylko mogło się nie udać, nie udało się. Przede wszystkim Napoleon Bonaparte, ten koszmarny sen Europy, wpadł na szatański pomysł ucieczki z Elby i dotarł do Prowansji właśnie tej samej nocy, kiedy Tristan zszedł na ląd w Calais. Wieść o ucieczce Korsykanina rozeszła się po kraju jak burza. Wielu dawnych podkomendnych Napoleona wyciągało z szaf stare mundury i biegło na spotkanie z imperatorem. Jadąc wiele mil na wschód do Lyonu, Tristan słyszał dzikie okrzyki wzywające do buntu przeciw znieenawdzonym Bourbonom. Caleb Harcourt nie mógł sobie wybrać gorszego czasu na wysłanie do Francji byłego brytyjskiego szpiega z misją sprowadzenia na Wyspę panny o rojalistycznych poglądach. Chyba tylko sam diabeł wiedział, czy wyjdą z tego cało.

A potem, zanim jeszcze zdążył się wytłumaczyć pannie Harcourt, jej dziadek zamknął oczy i wydał ostatnie tchnienie.

I jak on ma ją teraz przekonać, by powierzyła swe bezpieczeństwo i życie nieznanemu mężczyźnie, przysłanemu przez ojca, którego nie widziała od piętnastu lat?

- Monsieur Thibault? - Cichy głos Madelaine przerwał jego rozmyślenia. Dziewczyna stała w drzwiach. Była śmiertelnie blada, oczy miała

zapuchnięte i zaczerwienione, lecz wydawała się bardzo spokojna. Najwyraźniej była odporniejsza, niż się spodziewał. - Będę potrzebować pańskiej pomocy - dodała spokojnie, bez cienia emocji. - Zawinęłam dziadka w prześcieradło, lecz jest za ciężki, bym go sama uniosła.

- Uniosła? A gdzie chce go pani zanieść, mademoiselle?

- Do kościoła pod wezwaniem Świętego Bartolomeusza Męczennika. Do grobowca rodziny Navareil. Dziadek musi zostać pochowany w poświęconej ziemi...

Tristan nie wierzył własnym uszom.

- Pani chyba żartuje!

Ale widząc jej zdecydowany wyraz twarzy i mocno zaciśnięte usta zrozumiał, że dziewczyna mówi bardzo poważnie. Spojrzał na swój niedawno odziedziczony zegarek.

- Dobiega północ, mademoiselle. W Lyonie aż kłębi się od bonapartystów. Na ulicach jest niebezpiecznie. Czy wie pani, jakie kłopoty możemy napotkać na naszej drodze, jeżeli będziemy próbować nieść ciało znanego rojalisty przez sam środek miasta? Na pewno w Lyonie są odpowiednie władze, które zajmą się pochówkiem...

- Przedstawiciele władz w tym mieście są bonapartystami i zagorzałymi przeciwnikami mego dziadka. Nie tylko nie pochowaliby go w rodzinnym grobowcu, ale pewno nawet nie daliby mu spocząć w poświęconej ziemi - odparła spokojnie dziewczyna.

- Nie udało mi się sprowadzić księdza, by oddał dziadkowi ostatnią posługę; nie mogę dopuścić, by został pochowany pod jakimś płotem, skąd dobry Bóg nie będzie mógł wziąć jego duszy.

Tristan zamruczał gniewnie. Wystarczająco dużo czasu spędził we Francji by wiedzieć, jak ważny jest tu rytuał kościelnego pogrzebu. W normalnych warunkach bardzo chętnie spełniłby życzenie dziewczyny, lecz teraz warunki były dalekie od normalności. Lyon był beczką prochu mogącą lada moment wybuchnąć.

- Bardzo mi przykro, mademoiselle - powiedział łagodnie.

- To, o co pani prosi, jest nie tylko niebezpieczne; to po prostu niewykonalne. Już przeszukałem stajnie za domem. Jest w nich tylko jeden koń... mała srokata klacz.

- Gdzieś tu powinny być taczki ogrodnika.

- Dziewczyna wzdrygnęła się na myśl o tym, że zwłoki dziadka mogą zostać przetransportowane do kościoła w tak okropny sposób.

- Nie proszę, by pan dla mnie ryzykował, monsieur. Do kościoła nie jest daleko. Z łatwością sama dociągnę tam taczki. Proszę tylko, by pomógł mi pan znieść ciało do ogrodu. Jeżeli zrobi to pan dla mnie, obiecuję, że zaraz po pogrzebie pojedę z panem do Anglii.

- Głos jej się załamał.

- We Francji nic już mnie nie czeka.

Tristan zgrzytnął zębami. Podziwiał jej lojalność w stosunku do dziadka... i jej odwagę. Rozumiał jej ból i szczerze jej współczuł, lecz to wcale jeszcze nie znaczyło, że podporządkuje się jej zachciankom. Nie miał zamiaru ryzykować życia. Jej też na to nie pozwoli. Jeden pogrzeb nie jest tego wart i nic nie zmieni jego zdania.

To znaczy nic, oprócz jej łez.

A żeby to wszyscy diabli! Zanim zdążył jej odpowiedzieć, bursztynowe oczy dziewczyny wypełniły się łzami, które po chwili zaczęły spływać po białych policzkach i spadać na szary materiał sukni. Odkąd pamiętał, kobiece łzy działały na niego jak zaklęcie, a w płaczu Madelaine Harcourt było coś wyjątkowo wzruszającego. Jego rozsądek gdzieś się ulotnił.

Przez kilka minut usiłował przekonać Madelaine, by wzięła ze sobą do kościoła rzeczy, które chce zabrać do Anglii, lecz i tu spotkało go rozczarowanie.

- Najpierw to, co najważniejsze - powiedziała spokojnie pannica.

- Spełnię moją powinność wobec dziadka, a dopiero potem zajmę się swoimi sprawami.

Tristan miał do wyboru albo zgodzić się z nią, albo też zawieźć ją do Calais związaną. Z ponurą miną zniósł ciało hrabiego do ogrodu, a potem wyciągnął taczki przez dziurę w murze na ocienioną drzewami ulicę.

Spora grupa mężczyzn w wytartych mundurach zgromadziła się przed bramą. Ucichli na widok dziwnego konduktu żałobnego, ale Tristan wiedział, że nie należy spodziewać się po nich niczego dobrego. Widział już podobne zamieszki w Paryżu; hołota szukała rozróby.

Madelaine Harcourt szła przed nim, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w jakim się znajduje. Latarnia, którą trzymała w prawej ręce rzucała jasny krąg światła, lecz twarz dziewczyny ukryta była pod szarym kapturem płaszcza.

Młody żołnierz w splamionym krwią mundurze z pustym rękawem wyskoczył tuż przed dziewczynę i wrzasnął:

- Vive l'empereur!

Nawet nie zwalniając kroku, Madelaine zsunęła kaptur z głowy i spojrzała młodzikowi prosto w oczy. Ten zaklął i cofnął się pod mur. Tristan odetchnął z ulgą.

Poświata księżycy w pełni przeświecającego przez nagie gałęzie drzew przydała niezemskiej urody bladej twarzy dziewczyny. Z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona, wysokim czołem i oczyma utkwionymi przed siebie wyglądała niczym dziewiętnastowieczna Joanna d'Arc wiodąca swe wojska do bitwy. O dziwo, rozwścieczony tłum rozstał się przed nią bez słowa. Kilku mężczyzn przeżegnało się, gdy ich mijala.

Oddychając głęboko Tristan podążył za nią. Z trudem pchał taczkę. Kiedy dotarli do rogu ulicy, okazało się, że na wysadzanej kocimi łbami drodze wiodącej do kościoła nie ma demonstrantów. Wygrali tę potyczkę, ale czy uda im się wygrać całą bitwę? Z oddali słychać było krzyki i chyba strzały... Nad miastem unosiła się czerwona luna - znak, że tłum podpalił domy lyońskich rojalistów.

- Teraz to już niedaleko, monsieur - odezwała się dziewczyna.

- Widać już dzwonnice.

Tristan tylko mruknął coś pod nosem. Zaciśnął dłonie na rączkach taczek i z trudem podążył za Madelaine.

Nagle kąciakiem oka dostrzegł ruch pod murem. Jakiś cień oderwał się od ściany i podążył za nimi. Ciało Tristana spięło się jak do skoku. Zerknął w dół, by upewnić się, czy nadal ma rewolwer zatknięty za pas spodni. Potem obejrzał się przez ramię i ze zdumieniem zobaczył małego człowieczka o rzadkich czarnych włosach i twarzy zaniepokojonej łasicy.

Aż się zatrzymał.

- A niech to diabli! To naprawdę ty, Forli? - zapytał rozpoznając jednego z najlepszych angielskich szpiegów - człowieka zwanego popularnie

Oliwkarzem, gdyż zdobył wstęp do domu Bonapartego na Elbie sprzedając oliwę z oliwek jego matce i siostram. Tristan pracował z Forlim wcześniej, gdy starali się infiltrować Ministerstwo Bezpieczeństwa w Paryżu w czasie wojny.

Madelaine Harcourt zatrzymała się w pół kroku. Obróciła się na pięcie i spojrzała na nich ogromnymi, przerażonymi oczyma.

- O co chodzi?

- Wszystko w porządku, mademoiselle. Monsieur Forli to... przyjaciel.

- Przyjaciel, tak? - Spojrzała na nich podejrzliwie, lecz odwróciła się i poszła dalej bez dalszych narzekań.

Tristan ujął rączki taczek.

- Cóż ty, u Boga Ojca, robisz w Lyonie? - zapytał cicho, kiedy mały człowieczek zrównał z nim krok.

- Przyjechałem z Grenoble, by wysłać wiadomość do Paryża przez znajomego posłańca. Chciałem ostrzec króla Ludwika o planach Bonapartego. Korsykanin chce zdobyć Paryż przed dwudziestym marca. Ale przybyłem za późno. Mój kontakt został pochwycony przez bonapartystów. Do rana miasto upadnie.

Tristan zaklął cicho. Dziwaczna sytuacja, w której znalazł się mimo woli, pogarszała się z minuty na minutę.

- Słyszałem, że Korsykanin porusza się bardzo szybko, ale nie miałem pojęcia, że aż tak... I co teraz? Pojedziesz na północ, do następnego punktu kontaktowego?

- Nie, milordzie. Klimaty we Francji robią się niezdrowe. Właśnie miałem udać się do posiadłości moich rodziców w Toskanii, gdy zobaczyłem, jak wjeżdżasz do miasta, i zmieniłem plany. Pojechałem za tobą. Byłem bardzo ciekawy, co sprowadziło słynnego Angielskiego Lisa do Lyonu o tak dziwnej porze. - Forli spojrzał znacząco na taczkę, którą pchał Tristan. - Czy wolno mi zapytać, dlaczego stałeś się tak nieostrożny, że wozisz w taczce rojalistę po mieście bonapartystów?

- Aj, Forli, czy w tobie nie ma za grosz przyzwoitości? Ja tylko pomagam pewnej pani pochować dziadka!

- A taak... Piękna mademoiselle Harcourt. Moje źródła w Lyonie donoszą mi, że ona i jej dziadek są doskonale znani w środowisku rojalistów.

- W oczach małego człowieczka pojawił się porozumiewawczy błysk.

- Śliczna dziewczyna, co? Ale czy to warto? Odkąd Korsykanin został zesłany na Elbę, władza ministra bezpieczeństwa Foucheta została ograniczona, jednak teraz przyплыw się odmienił. Pamiętasz, co stary Fouche ci obiecywał? Jeżeli któryś z jego ludzi cię rozpozna, Madame la Guillotine będzie miała robotę. Tristan spojrział na niego spod oka.

- Taak, słyszałem groźby Foucheta. Problem polega na tym, że najpierw będzie musiał mnie złapać.

- Spojrział uważnie na dziewczynę. Choć nie zwolniła kroku, mógłby przysiąc, że stara się usłyszeć każde ich słowo.

- Mów ciszej

- polecił. - Mademoiselle uważa, że jestem jednym z pracowników jej ojca. W tej chwili właściwie nawet tak to wygląda.

Forli skinął głową.

- Pracujesz dla bardzo bogatego pana Caleba Harcourta?

- Znasz go?

- Nie osobiście, ale czasem zdobywałem dla niego wiadomości, jeżeli nie byłem zbyt zajęty szpiegowaniem dla Castelreagha.

- W głosie Forliego zabrzmiało rozgoryczenie.

- Jedno muszę mu przyznać: płaci za usługi. Brytyjskie ministerstwo wojny jeszcze nie zapłaciło mi za tę robotę na Elbie i wątpię, czy w ogóle mi zapłacą po ucieczce Korsykanina. Choć dobry Bóg wie, ile razy im powtarzałem, że powierzenie pułkownikowi Neilowi Campbellowi czuwania nad Bonapartem to jak kazanie myszy, by pilnowała lwa.

Tristan skinął ponuro głową. Jemu też należały się pieniądze od ministerstwa. A po powrocie do Londynu będą mu bardzo potrzebne...

Zaciskając dłonie na rączkach taczki, wtaszczył swój makabryczny ładunek na dziedziniec kościoła pod wezwaniem Świętego Bartolomeusza.

Forli zatrzymał się przy bramie.

- Więc teraz i ty pracujesz dla Harcourta. Czy wolno mi zapytać, co konkretnie robisz dla tego dżentelmena?

Tristan zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią. Nie chciał rozmawiać o planach dotyczących panny Madelaine Harcourt, lecz z drugiej strony pomoc Forliego mogła się okazać nieoceniona.

- Harcourt postanowił wziąć tę małą ptaszynę pod swoje skrzydła i przysłał mnie, bym odstawił ją na Wyspę - odparł wreszcie.

- Bardzo rozsądnie! Skoro zabrakło starego, by jej pilnował, stałaby się łatwą zdobyczą dla rozpasanego tłumu w Lyonie.

- Mały szpieg uśmiechnął się z sympatią.

- Więc żegnaj. Chciałbym ci jakoś pomóc. Wiesz, że mam u ciebie dług wdzięczności. Wolę nie myśleć, co by się ze mną stało, gdybyś mi nie pomógł wtedy w Paryżu.

- Uniósł dłoń w geście pożegnania.

- Powodzenia, monsieur le Renard. Będziesz potrzebował dużo szczęścia, jeżeli chcesz przemierzyć Francję z tą ślicznotką u boku. Czasy są niespokojne. Podejrzewam, że stary Fouche tylko czeka na okazję, by złapać w swe szpony wnuczkę księcia de Navaretf... nie wspominając już o sławnym Angielskim Lisie.

Ojciec Bertrand, proboszcz kościoła Świętego Bartolomeusza, sam odprawił nabożeństwo żałobne, za co Madelaine była mu głęboko wdzięczna. Jeżeli dziadek spoglądał na to z nieba, na pewno był bardzo zadowolony - on i proboszcz byli dla siebie jak bracia.

Wiele razy dziewczyna słyszała opowieści o tym, jak to dobry ojciec udzielił schronienia dziadkom w czasach Wielkiego Terroru. Tego krwawego roku ponad trzy tysiące mieszkańców Lyonu zostało posłanych na gilotynę, a księżę i księżna z pewnością podzieliliby ich los, gdyby ojciec Bertrand nie ukrył ich w grobowcu, w którym teraz oboje spoczywali snem wiecznym.

- Spełniłaś swój obowiązek wobec dziadka, Madelaine. Już nic więcej nie możesz dla niego zrobić - powiedział stary ksiądz z trudem wchodząc po kamiennych schodach prowadzących z grobowca w podziemiach kościoła do głównej nawy.

- Więc gdy tylko spakuję swoje rzeczy, pojedę do ojca, do Anglii - obiecała dziewczyna siwowłosemu księdzu, którego zawsze traktowała jak drugiego dziadka.

Ale zanim jeszcze doszli do wyjścia, ciężkie dębowe drzwi kościoła otworzyły się z trzaskiem i wpadł przez nie mały, dziwnie wyglądający człowieczek, który pół godziny wcześniej szedł za nimi przez miasto.

- Tłum wdarł się do domu księcia de Navareil! Nie ostał się kamień na kamieniu, a hołota biegnie w tę stronę! - zawołał z trudem łapiąc oddech.

- Musicie natychmiast wyjechać z Lyonu, milordzie! Grozi wam ogromne niebezpieczeństwo!

Serce podeszło dziewczynie do gardła. To nie mogła być prawda! Jej dom... oprócz niego nie miała nic na tym świecie. Z trudem przełknęła ślinę. Wszystko spalone... nawet portret dziadka, jedyna pamiątka, jaka jej po nim została... Zbyt późno zrozumiała, że Tristan Thibault miał rację mówiąc, by zabrała wszystkie swe rzeczy, zanim wyruszą do kościoła.

Pomimo otepiającego bólu, poczuła palącą wściekłość. Wielu mężczyzn zgromadzonych przed bramą domu dziadka było ich długoletnimi sąsiadami, a mimo to czekali niczym sępy, aż stary książę umrze. Ci sami mężczyźni, którzy jeszcze przed kilkoma dniami witali ją radosnymi pozdrowieniami, teraz spalili jej dom i wszystko, co do niej należało... nastawali nawet na jej życie.

Oszolomiona Madelaine przysłuchiwała się rozmowie Tristana z małym szpiegiem.

- A co z tą srokatą klaczą księcia i koniem, na którym tu przyjechałem?

- Widziałem, jak dwóch osiłków wyprowadzało je ze stajni, zanim inni podpalili dom.

- No cóż... to przesądza sprawę. Musimy uciekać pieszo.

- Tristan Thibault złapał dziewczynę za ramię i stanowczo poprowadził ku drzwiom kościoła.

Ojciec Bertrand uniósł dłoń.

- Niech pan chwilę zaczeka, monsieur. Dopóki jesteście wewnątrz kościoła, jesteście bezpieczni. Motłoch nie ośmieli się wejść do domu bożego. Nawet w najgorszych dniach Terroru nigdy nie posunęli się aż tak daleko.

- Ojciec ma rację. - Forli skinął głową.

- Bonaparte wydał ustawę chroniącą kościoły i księży przed represjami tłumu. Zdaje się, że w ten sposób chce zyskać poparcie kleru.

Madelaine wyglądała przez okno ponad głową księdza. Nawet przez brudną szybę widać było płomienie liżące dach domu, w którym mieszkała od tylu lat. Patrząc na to nie potrafiła powstrzymać łez żalu i gniewu.

- Nie chcę spędzić ani chwili dłużej w Lyonie - powiedziała gorzko.
- Mnie też spieszno do odjazdu - przytaknął Tristan.
- A ustawa Bonapartego będzie naszą przepustką, jeżeli dobry ksiądz zechce nam pomóc.

Ojciec Bertrand oparł się ciężko o marmurową kolumnę z boku nawy.

- Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, by pomóc wnuczce mego starego przyjaciela - obiecał ponuro.

- Lecz bardzo nie podoba mi się pomysł, by dobrze urodzona młoda panienka podróżowała bez przyzwoitki.

- Obawiam się, że czasy są zbyt niebezpieczne, by zaprzętać sobie głowę konwenansami - odrzekł niecierpliwie Tristan.

- Ale jeżeli to uspokoi sumienie księdza, obiecuję, że będę chronić honoru córki mego pracodawcy nawet za cenę własnego życia.

- O nic więcej nie mogę pana prosić, monsieur. - Stary ksiądz westchnął ciężko. - Niech jej pan pomoże. Niech ją pan zabierze do kraju, gdzie ziemia nie jest splamiona krwią Francuzów zabijanych przez własnych braci. Jak mogę wam pomóc?

- Potrzebna mi będzie duża sutanna... i brzytwa. Na szczęście dokumenty i pieniądze zabrałem ze sobą. Wszystko inne pozostało w torbach podróżnych w domu hrabiego.

- Zerknął na Madelaine. - I niech ksiądz znajdzie jakąś koszulę i spodnie...

Ojciec Bertrand wybałuszył oczy.

- Chcesz podróżować przebrany za księdza? I na dodatek przebrać panienkę za kleryka? Czy to aby nie zbyt ryzykowne? A co się stanie, jeżeli ktoś was zdemaskuje?

- Myślę, że to mniej ryzykowne, niż podróżowanie bez przebrania. - Tristan przecesał palcami gęste włosy. - Dzięki Bogu księża waszego wyznania nie golą głów. - Potem zerknął na Madelaine i na jego ustach zagościł wilczy uśmiech.

- Ale i tak potrzebujemy nożyczek. Mademoiselle będzie pięknym chłopcem, gdy tylko obetniemy jej włosy.

- Obetniecie mi włosy? - W głosie dziewczyny zabrzmiało niedowierzanie. Instynktownie sięgnęła do swej największej dumy - ciemnobrązowych, długich aż do pasa włosów, teraz schludnie związanych w ciężki kok na

karku. Straciła już wszystko inne, a teraz to nieczule zwierzę, które nie strzyże własnej grzywy, chce ją zmusić do oddania jej największej dumy!

Tristan uśmiechnął się do siebie. Gest Madelaine, jej przerażenie i niedowierzenie były tak kobiece, Itak próżne i tak słodko bezbronne, że po raz pierwszy poczuł iskierkę nadziei. Może jednak ta szalona misja znajdzie szczęśliwe zakończenie? Już zaczął podejrzewać, że eskortuje do Londynu istną świętą. To byłby dopiero koszmar dla Gartha! Według Tristana nie było na świecie nic gorszego niż świętoszkowata żona dla prawdziwego mężczyzny. Teraz jednak odetchnął z ulgą. Mademoiselle Harcourt na szczęście okazała się zwykłą kobietą.

Z pomocą Forliego udało mu się przekonać ją o sensowności całego planu. Potem ojciec Bertrand zaprowadził ich do zachrystii, by dokonać dzieła. Posadzili dziewczynę na wysokim stołku i poczekali, aż zdejmie z głowy chustkę i powyjmuje spinki z misternej fryzury.

Na widok jedwabistej grzywy spływającej aż do szczupłych bioder dziewczyny Tristan westchnął cicho. Ogromne nożyce zaciążyły mu w dłoni. Nie potrafił zmusić się do ich użycia. Nie potrafił zniszczyć takiego piękna.

- Mogę je obciąć, jeżeli pan woli, milordzie - zaproponował Forli. - Mój ojciec był fryzjerem, więc znam się na fachu.

Wyjął nożyce ze zdrtwiałych palców Tristana i kilkoma szybkimi ruchami obciął lśniące włosy tuż poniżej uszu dziewczyny.

- C'est fini! - zawołał po chwili i odstąpił o krok, by podziwiać swe dzieło. Madelaine otworzyła oczy i spojrzała z niepokojem na Tristana, prosząc go o szczerą ocenę. Ale on odwrócił się pospiesznie w obawie, że dziewczyna wyczyta z jego oczu prawdę - że z krótkimi, sterczącymi na wszystkie strony włosami wygląda jak wyleniała kotka.

- Wspaniale - powiedział niczym nie zrażony Forli i sięgnął do miski z ciepłą wodą, o którą wcześniej poprosił księdza. Zmoczył dłonie i przejechał nimi po najeżonych włosach dziewczyny. O dziwo, po chwili nastroszone piórka przestały istnieć, a na ich miejsce pojawiły się lśniące delikatnie loki.

Voilà, milordzie! Oto pański chłopiec! - Forli wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Tristan uśmiechnął się mimo woli, podobnie jak i stary ksiądz. Nawet na ustach dziewczyny pojawił się smutny uśmiech, gdy Forli podał jej lustro.

Przeczesała palcami delikatne loki okalające jej twarz.

- Czuję się teraz tak lekko - powiedziała ze zdumieniem. Przez chwilę przyglądała się długim lokom leżącym na ziemi u jej stóp, po czym wyprostowała plecy i uniosła podbródek tym samym dumnym gestem, który onieśmielił bonapartystów koczujących przed bramą domu jej dziadka.

- Wygląda o wiele lepiej, niż się spodziewałam. Może udawanie chłopca nie będzie aż takie okropne? Bardzo panu dziękuję, monsieur Forli.

Mały szpieg uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo proszę, mademoiselle. Ale muszę panią uprzedzić, że aby dobrze udawać kleryka, powinna pani ograniczyć piękną mowę arystokracji i dziękować zwykłym merci.

- Ma pan rację, monsieur. - Madelaine ponuro kiwnęła głową. Potem wzięła z rąk księdza koszulę i spodnie i przeszła do sąsiedniego pokoju, by się przebrać. Tristan podziwiał jej opanowanie. Kilka minut później Madelaine wróciła, lecz jakże odmieniona!

Tristan włożył w tym czasie sutannę, na szyję nałożył łańcuch i krzyż, a rewolwer schował do kieszeni. Uniósłszy głowę zobaczył, że Forli przygląda mu się spod zmarszczonych brwi.

- O co chodzi?

- Właściwie o nic... Ale muszę przyznać, że po chwili zastanowienia, to przebranie nie wydaje mi się najszcześniejsze. Może ktoś da się nabrać, ale wątpię, czy wszyscy. Nie wygląda pan na księdza, milordzie.

- A ty nie wyglądasz na wojownika - odrzekł cierpko

Tristan wiedząc doskonale, że mały Włoch często pokonywał w walce dwa razy większych od siebie mężczyzn. Forli tylko wzruszył ramionami.

- No cóż... Kościół przetrwał Hiszpańską Inkwizycję i ekscesy papieża z rodu Borgiów, przetrwa więc zapewne i księdza o oczach Lucyfera.

Tristan zacisnął zęby. Gadanie małego szpiega nie było wcale gorsze od potajemnych chichotów i ukradkowych spojrzeń rzucanych mu od czasu, gdy był wystarczająco dorosły, by kobiety zaczęły go zauważać. Przyzwyczał się już do komentarzy na temat dziwnego koloru swoich oczu... udało mu się nawet podtrzymać reputację godną Lucyfera. Miał tylko nadzieję, że Madelaine Harcourt nie słyszy słów Forliego. Tylko tego brakowało, by zaczęła się go obawiać. A przecież spędzenie z nią tylu dni - i nocy - sam na

sam będzie wystarczająco krepujące. Zerknął niespokojnie w jej stronę, lecz z ulgą zobaczył, że jest zajęta pakowaniem chleba i sera do podręcznej torby.

Odwrócił się do Włocha.

- Jeszcze zobaczymy, czy moje przebranie będzie aż takim fiaskiem, jak ci się zdaje. Teraz bardziej martwi mnie to, jak będziemy podróżować?

- W pobliżu La Croix Rouse ukryłem konia i powozik, którym przyjechałem tu z Grenoble. Są do waszej dyspozycji, nie wiem tylko, jak się tam przedostaniecie. Na ulicach pełno jest bonapartystów.

- Szkoda, że nie pochodzicie z Lyonu i nie znacie drogi po traboules - odezwał się ojciec Bertrand.

- W nocy mało kto ich używa... Jedno z przejść jest pod kościołem, więc moglibyście się dostać nim aż do La Croix Rouse. To by wam zaoszczędziło wiele kłopotu.

Tristan spojrział na niego nie rozumiejąc.

- Traboules? A co to takiego?

- To sieć podziemnych korytarzy, zbudowana w czternastym i piętnastym wieku. Rozciąga się pod całym Lyonem. To najprostsza i najbezpieczniejsza droga przez miasto w tych czasach. Wielu rojalistów przekonało się o tym w czasie Terroru. Jednak łatwo się w nich zgubić. Wielu mieszkańców Lyonu gubiło się w nich bez powrotu.

Madelaine Harcourt uniosła wzrok znad chlebaka.

- Czyżbyście zapomnieli, że i ja biorę udział w tej wypranej? - Posłała mężczyznom spojrzenie, które mówiło jasno: jeżeli nie potraficie dać sobie z tym rady, zostawcie to mnie.

Tristan jęknął. Jeżeli do tej pory miał jakieś wątpliwości, czy Madelaine jest córką Caleba Harcourta, to spojrzenie rozwiało wszystkie.

- Znam doskonale traboules - dodała spokojnie. - Dziadek nauczył mnie, jak się w nich nie zgubić. Często chodziliśmy do La Croix Rouse, by kupować jedwabie bezpośrednio od farbiarzy. Jestem pewna, że tam trafię.

- Oto i rozwiązanie. - Na twarzy ojca Bertranda pojawił się uśmiech. - Bóg działa w zaskakujący sposób. Madelaine opuści Świętego Bartolomeusza tą samą drogą, jaką jej dziadkowie szukali tu schronienia w czasach Terroru.

- Z pomocą dziewczyny wstał z fotela, w którym siedział przez cały czas.

- Chodźcie za mną!

Zaprowadził ich do maleńkiego pokoiku na tyłach kościoła, w którym przechowywano sutanny i szaty księży. Pośrodku jednej ze ścian znajdowały się masywne dębowe drzwi. Ksiądz wyjął z fałd sutanny ogromny klucz i otworzył je z niejakim trudem.

Tristan odetchnął głęboko i zarzuciwszy torbę na ramię wszedł do środka. Gdy uniósł latarnię, zobaczył, że stoi w wąskim korytarzu, którego ściany zrobione są z ogromnych skalnych bloków. Powietrze było zimne i wilgotne; unosił się w nim zapach pleśni.

Zadrzał. Zawsze obawiał się zamkniętych przestrzeni, choć nigdy nie rozumiał dlaczego. Te antyczne korytarze mogą być ich jedyną nadzieją na bezpieczne wydostanie się z Lyonu, lecz podróż nimi będzie dla niego istnym piekłem. Miał nadzieję, że nie zbląźni się przed dziewczyną. Już teraz czuł, że zaczyna się pocić i że drżą mu kolana.

Ksiądz zdjął z szyi złoty łańcuch z krzyżem i dał go Madelaine.

- Wątpię, czy zobaczymy się jeszcze na tym świecie, moje dziecko - powiedział łagodnie.

- Do końca życia będę się za ciebie modlić, dziecino. Niech Bóg ma cię w swej opiece.

Z oczyma błyszczącymi od powstrzymywanych łez dziewczyna uściskała starego przyjaciela i wstąpiła do traboules. Przeszła szybko obok wysokiego Anglika i ruszyła w głąb korytarzy, które odegrały tak znaczną rolę w historii jej rodziny.

Trzymając latarnię przed sobą w wyciągniętej ręce, poprowadziła dwóch mężczyzn niesamowicie długim korytarzem, a potem w górę po kamiennych schodach aż do następnego, tym razem szerokiego korytarza. Szli tuż pod ziemią, gdyż tu i ówdzie tuż przy suficie korytarza znajdowały się prześwit, przez które widać było nocne niebo.

Tristan Thibault oparł się ciężko o kamienną ścianę i wpatrzył się w rozgwieżdżone niebo. Oddychał z niejakim trudem, a na jego wysokim czole widać było strużkę potu. Nawet w mdłym świetle latarni dziewczyna zauważyła, że jest dziwnie blady.

- Czy dobrze się pan czuje, monsieur! - zapytała przyglądając mu się z niepokojem. W odpowiedzi zaklął pod nosem i spojrzął na nią z taką wściekłością, że serce w niej zamarło. Zaskoczona odwróciła wzrok. Dziadek

zawsze powtarzał, że Anglicy mają wredne charaktery, a Tristan Thibault stanowił tego doskonały przykład. - Trzymajcie się blisko mnie - ostrzegła ruszając naprzód. - Korytarze mają tu wiele odgałęzień, łatwo się w nich zgubić.

Tristan natychmiast przyspieszył kroku, by iść tuż za nią. Ale podszedł zbyt blisko i dziewczyna, czując na karku jego oddech, poczuła się dziwnie nieswojo.

W końcu nie była dzieckiem; знаła mężczyzn. Każdy młody rojalista w Lyonie zabiegał o jej względy, przynajmniej z powodu pozycji dziadka. Ale to byli Francuzi: czarujący, romantyczni, uprzejmi... Szczególnie jeden z nich był wyjątkowo miły i przystojny - ale nawet jego bliskość tak na nią nie działała.

Dlatego tak mocno reagowała na bliskość niewychowanego-go, gruboskórnego Anglika, który patrzył na nią spode łba, gdy zadała mu proste pytanie, Anglika, który w najlepszym nastroju zachowywał się jak rozgniewany niedźwiedź, gdy skaleczy się w łapę? To po prostu nielogiczne... ale z drugiej strony, była tak zmęczona i zdołała, że może nie potrafiła już myśleć racjonalnie. Taak, to na pewno to. Dziadek od tak dawna chorował; nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio przespała całą noc.

W końcu dotarli do miejsca, którego najbardziej się obawiała - ogromnej komory, z której odchodziło sześć korytarzy. Mówiąc, że doskonale zna traboules, popełniła małe niedomówienie. Minęło już ładnych parę lat, odkąd chodziła po nich z dziadkiem, i szczerze mówiąc, niezbyt pamiętała, dokąd prowadzi który korytarz. Ale z drugiej strony, nie mieli innego wyboru - chowanie się w kościele i liczenie na łaskę tłumu było nie do pomyślenia.

Z przerażeniem przyglądała się sześciu identycznym korytarzom, nie mając pojęcia, który prowadzi do La Croix Rousse. Wystarczy jeden błąd, by zgubili drogę na wiele godzin, albo jeszcze gorzej - znaleźli się w przerażającym traboules mysterieuses, gdzie podobno regularnie odbywały się Czarne Msze. Dopiero wtedy wpadliby w kłopoty, tym bardziej że Tristan w księżej sutannie naprawdę wyglądał na brata samego diabła.

- Muszę się chwilę zastanowić - powiedziała zatrzymując się tak gwałtownie, że idący tuż za nią Tristan nie zdążył przystanąć i wpadł na nią, a Forli z kolei na niego.

- Uwaga! - zawołał cicho Tristan obejmując ją w pasie, gdyż siła zderzenia wytrąciła Madelaine z równowagi. Co prawda puścił ją natychmiast, lecz zdążyła poczuć jego niedźwiedzią siłę.

No i znowu. Była zdenerwowana niczym podłotek. Zadrżała zrozumiawszy, że popełniła ogromny błąd powierzając swe życie temu nieznanemu mężczyźnie tylko dlatego, że powiedział, iż przybywa z polecenia jej ojca. Zrozumiała też, że jest już za późno, by cokolwiek na to poradzić. Kości zostały rzucone. Musi grać kartami, które dostała. Zaciskając kciuki na szczęście, podjęła szybką decyzję i weszła do trzeciego korytarza z prawej strony.

Forli poszedł tuż za nią, a Tristan zamykał pochód modląc się w duchu, by jak najszybciej wyszli na otwartą przestrzeń, zanim nerwy zupełnie mu puszczą. Z ponurą determinacją szedł za nimi przysłuchując się słowom dziewczyny.

- Wiele sekretnych wyjść z domu najbogatszych mieszkańców Lyonu prowadzi do tych traboules. Kiedy zobaczę drzwi, prowadzące do dawnego domu dziadka, zdobędę pewność, że idziemy w dobrą stronę. La Croix Rouse leży jeszcze dalej na zachód.

Tristan uniósł latarnię i zobaczył w kamiennej ścianie rząd jednakowych drzwi.

- A jak je rozpoznasz? - zapytał. - Dla mnie wszystkie są takie same.

- Na drzwiach, których szukam, widnieje podwójny herb: rodziny Medyceuszy, którzy wybudowali ten dom, gdy w piętnastym wieku przybyli do Lyonu, i rodziny de Navareil, którzy mieszkali w tym samym domu przez ostatnie trzy stulecia.

- W jej głosie słychać było dumę.

- Teraz w tym domu mieszka prefekt Lyonu, bonapartysta, który przed rewolucją hodował świnie.

Słyszając w jej głosie nutę pogardy, Tristan po raz pierwszy zrozumiał obsesję Caleba Harcourta, by wydać córkę za mąż za angielskiego szlachcica. Podobnie jak matka, Madelaine Harcourt nie zadowoliliby się niczym innym. Sądząc po tonie, dziewczyna pogardzała przedstawicielami niższych warstw społecznych.

Uśmiechnął się pod nosem. Jakże musi boleć tę francuską szlachciankę uciekanie przed pospólstwem w przebraniu wieśniaka! Ciekawe, co by powiedziała mademoiselle Harcourt, gdyby wiedziała, że towarzysz jej wyprawy do Anglii jest synem biednej prostytutki?

Biedny Garth! Spędzenie całego życia z tą wyniosłą osóbką będzie doprawdy wysoką ceną za uratowanie majątku i tytułu! Po raz pierwszy w życiu Tristan docenił dobre strony bycia bękartem starego hrabiego.

Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że znalezienie pierwszej wady w przyszłej szwagierce dało mu dziwną satysfakcję.

Nie rozumiał tylko, dlaczego?

SK

Rozdział trzeci

Nie minęło jeszcze pięć minut od czasu, gdy weszli do tego korytarza, a Madelaine zaczęła mieć wątpliwości. Po pierwsze, drzwi w ścianach traboules były zbyt małe i zbyt blisko od siebie oddalone, by mogły prowadzić do domów bogatej szlachty. Po drugie, im dalej szli, tym biedniejsze sprawiały wrażenie. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie na ziemi leżało mnóstwo śmierdzących odpadków, a ściany pokrywały obsceniczne napisy.

Madelaine uniosła dłoń.

- Obawiam się, że skręcałam nie w ten korytarz, co trzeba

- powiedziała przepraszająco.

- Będziemy musieli zawrócić. Jej słowa przywitała cisza. Dziewczyna nie powiedziała nic

więcej, czekając na słowa niezadowolenia czy złości ze strony dwóch mężczyzn, lecz nic takiego nie nastąpiło. Ze zdumieniem zobaczyła, że Tristan Thibault stoi z wysoko podniesioną głową, niczym zwierzę wietrzące nieznany zapach. Forli przyglądał mu się z niepokojem.

- Przed nami są jacyś ludzie - odezwał się cicho Tristan.

- Nie wiem ilu. Są jeszcze daleko, ale posuwają się szybko i w naszym kierunku.

Dziewczyna wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

- Jesteś pewien? Nic nie słyszę...

- Lepiej niech mu pani uwierzy - rzekł Forli.

- Wiem z doświadczenia, że milord ma słuch i instynkt... lisa.

Nie mogą nas zobaczyć.

- W oczach Tristana zapalił się niepokój. - Musimy się gdzieś schować, a tu są tylko lite ściany.

- Podał swoją latarnię Forliemu, a sam wziął tę, którą trzymała Madelaine.

- Musimy wrócić do tej dużej komory i schować się w którymś z bocznych korytarzy.

To powiedziawszy uniósł wysoko latarnię, złapał dziewczynę za rękę i biegiem zawrócił tym samym korytarzem, którym przyszli.

Dziewczyna biegła szybko, lecz ledwo nadążała za Anglikiem, który mocno ścisnął jej zdrętwiałe ramię. Zanim dobiegli do komory, serce waliło jej jak młotem i brakowało jej tchu. Tristan bez wahania pociągnął ją do najbliższego korytarza. Biegł, dopóki nie miał pewności, że nikt, kto wejdzie do komnaty, nie zauważy ich w mroku.

- Daj mi kurtkę! - polecił pośpiesznie dziewczynie.

- Trzeba osłonić latarnię.

Błyskawicznie zdjęła kurtkę i po chwili wszystko zniknęło w mroku. Serce podeszło jej do gardła. Zazwyczaj nie obawiała się ciemności, lecz niezwykle klimat traboules połączony z obecnością tajemniczego nieznanego nieco nadwerżył jej nerwy.

- Czy nie byłoby lepiej odejść jeszcze dalej w głąb korytarza? - zapytała.

- Może i tak, ale wolę zostać tutaj.

Oczy dziewczyny przyzwyczyły się już do mroku i zobaczyła, że Tristan wpatruje się w oświetloną światłem księżycą komnatę.

- Czy nie zatrzymaliśmy się zbyt blisko? - spróbowała jeszcze raz.

- Czy uda nam się uciec, jeżeli ci ludzie zechcą iść tym właśnie korytarzem?

- Jeżeli masz jakieś chody w niebie, módl się, żeby poszli inną drogą.

- Gdybym miała jakiegokolwiek „chody w niebie”, nie czaiłabym się tu, w mroku jak tchórz, monsieur. - warknęła gniewnie.

- Jak tchórz? Pani, mademoiselle Harcourt? - Tristan spojrzał na nią przeciągle. - Gdyby miała pani stawić czoło gromadzie głodnych lwów, założyłbym się o ostatniego szylinga, że to pani by wygrała.

- Czy to ma być komplement? Tristan nadal wpatrywał się w mrok.

- Niech pani to traktuje, jak sobie życzy.

Więc Madelaine postanowiła zignorować jego uwagę. Zmieniła temat, by beczelnemu gburowi nie przyszło przez myśl, że zależy jej na jego opinii.

- Nie widzę światła latarni pana Forliego. Czyżby zgubił się gdzieś po drodze?

- Niech się pani o niego nie martwi. Da sobie radę. Madelaine wzdygnęła się na myśl o tym, co w tych

korytarzach może się przydarzyć małemu Włochowi, który był dla niej taki miły. Zastanawiała się, czy Anglik wykazałby równie mało zaniepokojenia, gdyby to ona zgubiła się w tra-boules. Z minuty na minutę coraz mniej lubiła Tristana Thibaulta - wydawał się człowiekiem zimnym, niezależnym... i egoistycznym. Czy to dlatego monsieur Forli nazwał go Lisem?

W tej samej chwili Tristan złapał ją za ramię i wyszeptał:

- A cóż to jest, u Boga Ojca?

Uniosła wzrok i zobaczyła pochód zakapturzonych postaci niosących świece wkraczający do oświetlonej księżycem komnaty. W tej samej chwili księżyc zaszedł za chmury i tylko wątle płomyki świec rozjaśniały mrok.

W głębokiej ciszy dziesięciu albo i więcej mężczyzn weszło do komnaty i stanęło w kręgu. Po chwili zaczęli nucić dziwną pieśń w jakimś nieznanym chropawym języku, którego Madelaine nigdy wcześniej nie słyszała.

- Nom de Dieu! - jęknęła.

- Więc plotki o Czarnych Mszach są prawdziwe!

Czarnych Mszach?! - Tristan zaklął szpetnie.

- Tylko tego nam tu teraz trzeba!

Po raz pierwszy, odkąd nieuprzejmy Anglik wtargnął w jej życie, Madelaine zgodziła się z nim w stu procentach. Przeżegnała się i z drżeniem serca czekała... Zakapturzone postaci przeszły z komnaty do korytarza znajdującego się dokładnie na wprost miejsca ich kryjówek.

Anglik ani drgnął, lecz uścisk jego potężnej dłoni zacieśnił się na jej ramieniu. Oddychał ciężko i spazmatycznie. Madelaine poczuła iskierkę triumfu. A więc pozornie niewzruszony dżentelmen wiedział jednak, co to strach.

Parę chwil później księżyc wyszedł zza chmur i znowu oświetlił komnatę u zbiegu korytarzy. Tristan puścił jej ramię i uniośszy wysoko latarnię, przyglądał się ścieżce księżycy na podłodze.

- I co teraz, moja pani? - zapytał głosem pozbawionym wyrazu.

- Czy wiesz może, gdzie jesteśmy?

Madelaine opanowała strach i spojrzała Tristanowi prosto w oczy.

- Trudno mi coś powiedzieć przy świetle jednej tylko latarni, ale coś w tym korytarzu wydaje mi się znajome - odparła spokojnie.

- Doskonale. Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej. Ale jeżeli masz jakieś wątpliwości, powiedz mi o tym tu i teraz. Jedna pomyłka starczy...

Madelaine zeszywniała, obrażona.

- Postaram się nie przysparzać panu więcej kłopotów, monsieur - odrzekła sztywno.

Po raz kolejny zaciskając kciuki, ruszyła korytarzem. Tym razem przejście było szersze i czystsze. Drzwi w ścianach były większy i ozdobione herbami.

Parę chwil później westchnęła z ulgą widząc małą alkowę z kamienną studnią i wąski korytarzyk odchodzący od głównego. Zaraz za tym odgałęzieniem znajdowały się drzwi prowadzące do dawnego domu dziadka.

- To te drzwi - powiedziała cicho zatrzymując się i dotykając koniuszkami palców podwójnego herbu wyrzeźbionego w drewnie. Dokładnie w ten sam sposób wodziła po nich palcami wiele lat temu, gdy w czternaste urodziny dziadek przyprowadził ją w to miejsce. Wyraźnie pamiętała gorycz w jego głosie, gdy opowiadał jej historię rodziny i tłumaczył:

- Nie śmiej prowadzić cię do głównego wejścia, moja maleńka. Musimy tu stać niczym żebracy u wrót bogacza, a hołota mieszka w naszym domu...

Nawet teraz w głębi serca współczuła staremu człowiekowi, który przez pół życia rozpacział po stracie swego majątku i przywilejów.

Madelaine odwróciła się od drzwi i rodzinnego herbu, by poprowadzić dalej tego dziwnego Anglika, który zabierał ją do nowego świata. Nagle zaświtało jej w głowie, że jest w stosunku do niej wyjątkowo cierpliwy, biorąc pod uwagę jego nieznośny charakter. Najpierw pomógł jej pochować dziadka zgodnie z obrządkiem kościelnym nie zważając na niebezpieczeństwa, a teraz stał spokojnie w ciemnym traboules i czekał, aż ona pożegna się ze wspomnieniami i Lyonem. Może nie był aż tak gruboskórny, jak się jej na początku zdawało.

- Możemy już iść - odezwała się nieśmiało do tego dziwnego mężczyzny, którego ojciec wyznaczył jej na obrońcę. - Obiecuję, że nie będę już więcej opóźniać naszej ucieczki.

- A ja obiecuję, że przy najbliższej sposobności przypomnę pani o tym. - Sarkazm w jego głosie nie pozostawiał cienia wątpliwości - Anglik nie był ani cierpliwy, ani opiekuńczy;

o prostu wykonywał zadanie, które powierzył mu Caleb Harcourt. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego wolała nie dociekać, dezaprobata monsieur Thibault zabolą ją. Zastanowiła się, ile też jej ojciec płaci temu człowiekowi za odstawienie jej do Anglii?

- Jak długo jeszcze? - zapytał Tristan kilka minut później. Zdawało się, że brak mu tchu.

- Nie jestem pewna, monsieur. Minęło już sporo czasu od mojej ostatniej wyprawy w te rejony traboules.

- Dobrze by było, gdyby pani szła nieco szybciej - dodał Tristan przez zaciśnięte zęby.

- Szybciej, monsieur! - Zaskoczona odwróciła się i spojrzała na swego towarzysza. Znowu miał tę groźną minę, która tak upodabniała go do diabła, a zaciśnięte pięści przyciskał do boków. Zdawało się, że ledwo nad sobą panuje.

- Szybciej, mademoiselle. Chciałbym jak najszybciej dotrzeć do konia i powozu, o których mówił Forli. Obawiam się, że mogą wpaść w ręce tych samych ludzi, którzy zabrali mojego wierzchowca.

Aaa, więc to o to mu chodziło. Przez nią stracił swoją szkapę i ubrania!

- Niech się pan nie obawia, monsieur - rzekła jadownicie.

- Dopilnuję, by ojciec wynagrodził panu straty.

- Straty? Jakie znowu straty? - zapytał ze zdumieniem wycierając zroszone potem czoło.

Przyglądała mu się z niedowierzaniem. Czy on oszalał? Czy też może zapadł na jakąś dziwną gorączkę, która pomieszała mu w głowie? To chyba dlatego tak się pocił w wilgotnych traboules, które ją przejmowały chłodem do szpiku kości...

Jednak patrząc na ponurą minę Anglika, zmusiła się do szybszego kroku i pozostałe ćwierć mili przebyli nieomal biegiem.

- To tu - odezwała się zadyszana, gdy dotarli do wyjścia przy La Croix Rousse.

- Będziemy jeszcze musieli przejść przez tę dzielnicę, zanim dotrzemy do miejsca, o którym mówił monsieur Forli.

- Dzięki Bogu - mruknął Tristan Thibault. Przyglądał się otwartemu niebu z dziwnym błyskiem w bladych oczach. Budynki stojące wzdłuż wąskiej

ulicy miały po dwa piętra. Tristan oparł się o mur i oddychał głęboko, jakby krótki bieg zupełnie pozbawił go tchu. Jak na człowieka pozornie tak silnego, miał zadziwiająco słabą kondycję.

Madelaine przyłożyła place do ust, nakazując mu milczenie. Ponownie okryła latarnię kurtką, lecz tym razem księżyc i światło padające z otwartych okiem i drzwi domów doskonale rozjaśniało mroki nocy. Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła zapach dymu i nafty oraz charakterystyczny zapach suszącego się po farbowaniu jedwabiu, z którego słynie Lyon.

Tristan Thibault dotknął delikatnie jej ramienia.

- Co to za dźwięk? Co to jest? - wyszeptał. Madelaine przysłuchiwała się znajomemu klik, klak, łup...

klik, klak łup.

- To canuts... warsztaty tkackie - odszepnęła najciszej, jak potrafiła.

- Wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy zajmują się obróbką jedwabiu... jedni przędą, drudzy farbują, a jeszcze inni sprzedają... Tu najwyraźniej jest ulica tkaczy. Domownicy tkają na przemian i na przemian śpią w pokoikach nad warsztatami... W ten sposób praca nigdy nie ustaje.

- Zmarszczyła nagle brwi.

- To jest bardzo ciężka praca... Drzwi warsztatów są zazwyczaj szeroko otwarte. Będziemy musieli bardzo uważać przechodząc przez tę dzielnicę. Mam nadzieję, że nikt nas nie zobaczy.

- Zakładam, że tkacze są w większości bonapartystami?

- Co do jednego. Choć najwyraźniej nawet powrót imperatora nie jest w stanie oderwać ich od pracy. Tak czy inaczej, oni zawsze nienawidzili starej arystokracji; gdyby tylko domyślili się naszej tożsamości, bez chwili wahania oddaliby nas w ręce żandarmerii. A i tak nie wiem, jak byśmy wytłumaczyli swą obecność u wylotu traboules... Lepiej chodźmy stąd jak najszybciej.

Tristan właściwie nie słuchał dziewczyny. Prawdę mówiąc, jeszcze nie doszedł do siebie po makabrycznej podróży przez wąskie korytarze traboules. Dziękował Bogu, że nie skompromitował się przed mademoiselle Harcourt. Tylko tego brakowało.

Poprawił torbę na ramieniu i ruszył za dziewczyną przez ciemne uliczki. Najpierw jednak zerknął przez okno najbliższego budynku. Nad warszatem tkackim siedział siwowłosy staruszek pogrążony bez reszty w swej pracy.

Tristanowi przypomiała się niemiecka bajka o złym krasnalu Rumpelstitskinie, którą usłyszał w dzieciństwie z ust lady Ursuli. Do końca życia zostanie mu w pamięci ten zgarbiony starzec pracujący po nocy w małym pokoiku. Klik, klak, łup... klik klak, łup.

Tymczasem jego przewodniczka ubrana w męski strój przemykała cicho i zwinnie niczym cień pomiędzy jasnymi smugami światła padającego z otwartych drzwi. Tristan poszedł w jej ślady, pilnując, by latarnia była szczelnie zakryta kurtką dziewczyny.

Właśnie zaczął się cieszyć, że przebrnęli przez dzielnicę bez kłopotów, gdy doszli do miejsca, gdzie dwa wozy załadowane belami jedwabiu stały na środku ulicy zagradzając drogę.

Nie mieli innego wyjścia, jak przesunąć jeden z wozów na tyle, by mogli się przecisnąć między nim a ścianą. Tristan podał latarnię dziewczynie, a sam napiął muskuły. Na szczęście, mimo ogromnych rozmiarów, wóz ruszył z miejsca wyjątkowo łatwo - niestety, drewniane koła zaskrzypiały głośno w mroku nocy.

Wysoki, chudy tkacz natychmiast uniósł głowę znad swego warsztatu i spojrzął w kierunku otwartych drzwi. Madelaine przywarła do ściany z przerażeniem jasno wymalowanym na twarzy, a Tristan wyciągnął z kieszeni rewolwer modląc się, by okoliczności nie zmusiły go do użycia broni.

Okropne wyczekiwanie przedłużało się. Tristan widział, że dziewczyna przygląda się rewolwerowi w jego dłoni z niekłamanym przerażeniem; zauważył, że wstrzymała oddech, gdy odciągnął kurek i wymierzył. Po długiej chwili tkacz wzruszył obojętnie ramionami i wrócił do pracy, a dwoje uciekinierów prześliznęło się bezpiecznie przed jego drzwiami i pobiegło dalej ku granicom miasta.

- No i jeszcze raz nam się udało - wyszeptał Tristan chowając rewolwer z powrotem w fałdy sutanny. Madelaine Harcourt nie odpowiedziała - nawet na niego nie spojrzała - i Tristan zrozumiał, że dziewczyna boi się go; może nawet bardziej niż bonapartystów szalejących po mieście.

Nie miał nastroju na uspokojanie histerycznie usposobionej niewiasty. Obudził się tuż przed świtem poprzedniego dnia i był na nogach od dwudziestu czterech godzin. W głowie mu huczało, ledwo powłóczył

nogami, a przeprawa przez koszmarnie traboules zachwiała jego wiarę we własną męskość.

A jakby tego było jeszcze mało, jego podziw dla odważnej młodej kobiety, która została powierzona jego pieczy, rósł z każdą minutą. W ciągu ostatnich paru godzin straciła wszystko, co posiadała na tym świecie. Każda inna kobieta, którą znał, byłaby tym faktem całkowicie załamana i niezdolna do dalszego działania. A ona zdawała się z minuty na minutę gromadzić więcej sił i odwagi. Przez chwilę przyszło mu do głowy, że w tej sytuacji to ona ratuje jego, a nie na odwrót.

Kiedy wreszcie przeszli bezpiecznie przez La Croix Rousse i zeszli nad brzeg Synaju w miejscu, o którym mówił Forli, właśnie zaczynało świtać. Różowozłote promienie słońca

akurat zaczynały barwić horyzont. Gryzący zapach dymu nelnił im nozdrza. Za nimi niebo było czerwone od ognia żarów trawiących domostwa ostatnich rojalistów Lyonu;

przed nimi znajdowała się kępa drzew. W ciszy poranka rozległy się dzikie okrzyki. Usłyszeli nuty

Marsylianki i głosy nawołujące nazwy Friedlandu, Marengo i Austerlitz. Tam stoczono walki w imię cesarza. A więc Lyon padł pod naporem wojsk Bonapartego. Madelaine Harcourt zakryła oczy z rozpaczą. Instynktownie

przyciągnął ją do siebie chcąc pocieszyć i samemu znaleźć pocieszenie w bliskości drugiego człowieka.

- Jak widzę, koń i powozik Forliego czekają na nas między tymi drzewami
- powiedział, chcąc odwrócić jej uwagę od katastrofy rodzinnego miasta.

Dziewczyna odjęła ręce od twarzy i spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. W tej samej chwili od kępy drzew na drugim brzegu Synaju odłączyła się samotna figurka i zamachała ku nim obiema rękami. Tristan wskazał ją dziewczynie.

- To Forli! Tylko co on prowadzi, u Boga Ojca? Osła?

- Na pewno ukradł go gdzieś po drodze.

Madelaine zdołała się uśmiechnąć.

- Miał pan rację, monsieur. Nie było sensu martwić się o pańskiego małego przyjaciela. Ale jak on do nas dołączy, skoro jest na przeciwnym brzegu rzeki?

- Podejrzewam, że nie dołączy. My jedziemy na zachód do Paryża, a potem do Calais. On jedzie na wschód, do Toskanii.

- Więc od tej pory podróżujemy tylko we dwoje?

- Ano tak.

- Tristan skinął głową.

Dziewczyna przyglądała mu się niepewnie. W jej bursztynowych oczach widać było też zmęczenie. Zachwiała się lekko.

- Hej, Maddy! Co ci jest? - zawołał Tristan i na czas ją podtrzymał. Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc dziewczynę za sobą, doszedł do powoziku.

- Maddy? - powtórzyła pocierając oczy niczym zaspane dziecko.

- Nazwałeś mnie Maddy? Nikt tak do mnie nie mówił od piętnastu lat. Nikt oprócz ojca nigdy się tak do mnie nie zwracał.

Tristan uśmiechnął się lekko.

- Od tej pory tak właśnie będę cię nazywać. Ponieważ żaden Francuz nie zna takiego imienia, równie dobrze może pasować do chłopaka, jak do dziewczyny.

- Zdmuchnął świeczkę w latarni.

- I choć pewno nie przyjdzie ci to łatwo, od tej pory powinnaś zwracać się do mnie per „ojcze Tristanie”. Musimy dostosować się do konwencji naszego przebrania.

Oparła się o bok powozu.

- Jak powinnam się do pana zwracać? - powtórzyła niewyraźnie. Głowa opadła jej na piersi.

Tristan złapał ją, zanim upadła. Jej ciało było dziwnie lekkie i delikatne.

- Ojcze Tristanie - powtórzył sadzając ją w powozie. Natychmiast zwinęła się w kłębek i przytuliła policzek do skórzanego obicia siedzenia.

- Maddy, słyszysz mnie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Oczy mademoiselle Harcourt były zamknięte, usta lekko uchylone, a oddech równy i miarowy. Spała snem sprawiedliwego.

Madelaine śniło się, że biegnie nie kończącym się traboules uciekając przed niesamowitym czarnowłosym mężczyzną o bladych oczach, który grozi jej srebrnym rewolwerem... Obudziła się zwinięta w kłębek na siedzeniu małego kabrioleciku jadącego powoli drogą. Dach był opuszczony i słońce przyjemnie grzało jej policzki. Wielkie nieba! Obok niej znajdował się mężczyzna, którego widziała we śnie.

Usiadła gwałtownie i spuściła nogi na podłogę.

- Nom de Dieu! - wyszeptała rozglądając się na boki. - Gdziez my jesteśmy?

- Na drodze do Rowanny. Przejechaliśmy już spory kawał. Spałaś ładnych parę godzin. - Anglik wyglądał na brata samego diabła. Czarne włosy rozwiewał mu wiatr, śniadą twarz pokrywał jednodniowy zarost. - Powiedz, Maddy, jak radzisz sobie z batem?

Z batem? Nie rozumiem, monsieur.

- Czy potrafisz powozić? Jesteśmy zbyt blisko Lyonu, by móc sobie pozwolić na zatrzymanie się, a ja bardzo potrzebuję snu.

Madelaine patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nigdy w życiu nie powoziłam, monsieur. Nikt nie oczekuje takich umiejętności od damy!

- Może nie w Lyonie. W Anglii każda panienka z dobrego domu potrafi powozić końmi. - Wzruszył ramionami. - Najwyższa pora się nauczyć. Ta stara szkapa Forliego jest wyjątkowo łagodna. - Podał jej lejce. - To naprawdę bardzo łatwe. Trzeba pociągnąć za lewy lejc, jeżeli chce się pojechać w lewo, a za prawy, jeżeli w prawo. Jeżeli chcesz się zatrzymać, trzeba ściągnąć oba lejce naraz i zawołać „prrr!”.

Bez dalszych wyjaśnień Tristan opadł na siedzenie i od razu zasnął. Z mocno walącym sercem Madelaine ujęła lejce. Na szczęście droga była prosta jak drut, a koń, z własnej woli, szedł grzecznie samym jej środkiem.

Przejechawszy pierwszą milę, dziewczyna doszła do wniosku, że monsieur Thibault ma rację: powożenie tym łagodnym zwierzęciem wymagało jedynie pewnej ręki i odrobiny rozsądku. Po przejechaniu kolejnej mili, odprężyła się na tyle, że nieco rozluźniła kurczowy uchwyt na lejcach.

I to był poważny błąd. W tej samej chwili mały szary zając wyskoczył wprost przed potężne kopyta konia i Madelaine, pisnąwszy cicho,

gwałtownie ściągnęła lejce. Koń zatrzymał się natychmiast, a szaraczek dotarłszy bezpiecznie na drugą stronę drogi poruszył nosem, jak gdyby chciał powiedzieć:

„Czy naprawdę sądzisz, że młody silny zając nie zdążyłby w porę uskoczyć przed kopytami starego konia?” A potem strzygąc uszami, zwierzątko zniknęło w wysokiej trawie pobocza.

Sądząc po donośnym parskanii, stary człapak wcale nie był zadowolony z nagłego szarpnięcia za pysk.

- Przepraszam, koniku - powiedziała cicho.

- Jeszcze nie bardzo się na tym znam. Naprawdę nie chciałam wyłamać ci szczęki i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Możesz iść dalej.

Ale koń ani drgnął.

Madelaine spróbowała przemówić do niego najgrzeczniej jak umiała.

- S'il vous plait, kochany koniku. Rozsądniej byłoby iść naprzód, zwłaszcza że Korsykanin depcze nam po piętach.

Koń parskał i zastrzygł uszami, lecz ani na krok nie ruszył do przodu.

Choć dziewczyna była pewna, że szkapa jest francuskiej narodowości, próbowała namówić ją do współpracy po angielsku, włosku a nawet niemiecku. Na wszelki wypadek.

Bezskutecznie.

Najwyraźniej wredna szkapa nie miała zamiaru ruszyć z miejsca, a ten głupi Anglik powiedział jej tylko, jak zatrzymać konia, nie mówił nic o ruszaniu ani poganianiu.

Wreszcie zrozpaczona Madelaine potrząsnęła ramieniem śpiącego obok mężczyzny.

- Niech się pan obudzi, monsieur Potrzebuję pańskiej pomocy!

Ale on nie otworzył oczu, natomiast, ku jej zaskoczeniu, złapał ją za rękę, uniósł jej dłoń do ust i pocałował delikatnie.

- Spij spokojnie, ma chérie - zamruczał gardłowo. - Rano ci dogodzę.

Madelaine wyrwała rękę. Najwyraźniej śnił o kobiecie

Może o żonie, skoro śniło mu się, że razem śpią? Zarumieniała się.

Bezmyślnie potarła miejsce, gdzie jego wargi dotknęły wrażliwej skóry jej nadgarstka. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Anglik o tak paskudnym charakterze i wyglądzie diabła może mieć gdzieś żonę.

Jaka kobieta może wytrzymać z takim diabłem wcielonym?

Jaka kobieta zdołała usidlić takiego pełnego temperamentu mężczyznę?

Jaka kobieta potrafi przeobrazić warczącego tygrysa w mrużące kocię.

SK

Rozdział czwarty

Monotonny stukot końskich kopyt wytrącił Tristana ze snu. Choć jeszcze nie zdołał do końca się obudzić, rozumiał, że poruszają się o wiele za wolno. Co też to głupie dziewczusko sobie myśli, że wlecze się polną dróżką w tempie ślimaka z armią Bonapartego tuż za plecami?

Przekreślił głowę i ostrożnie otworzył jedno oko. Siedzenie obok było puste, a lejce wisiały luźno na boku powoziku. Więc dlaczego pojazd w ogóle się porusza? Zaniepokojony obudził się natychmiast - wyprostował się i zobaczył, że dziewczyna idzie obok konia i trzyma zwierzę za uzdę.

- Do wszystkich diabłów! Cóż ty znowu wyprawiasz?

- zawołał.

Zatrzymała się w pół kroku.

- To chyba oczywiste - odparła urażona.

- Prowadzę to okropne stworzenie, bo gdy raz się zatrzymało, nie chciało więcej ruszyć z miejsca. Zapomniałeś mi powiedzieć, jakiego magicznego sygnału potrzebuje koń, by ruszyć...

- Co takiego? Nie potrafiłaś potrząsnąć lejcami i zawołać „wio”? - Uniósł dłoń, by powstrzymać jej odpowiedź.

- Wiem... wiem. Kobieta o twoim statusie społecznym nie musi znać języka woźniców, czy tak? Właż z powrotem do powozu - polecił niecierpliwie.

- Musimy nadrobić zaległości Korsykanin nadal depta nam po piętach.

Obserwował dziewczynę kątem oka; zobaczył, że siadając obok niego, odruchowo wygładza spodnie, jak gdyby była to suknia. Nie wystarczą krótkie włosy i długie spodnie, by zakryć kobiecość Madelaine Harcourt. Jak panna odzyska dobry humor, trzeba będzie zwrócić jej na to uwagę.

I pewno nie powiesz mi, dlaczego koń nagle zatrzymał się w pół drogi, co? - zapytał potrząsając lejcami. Szkap natychmiast przyspieszyła kroku i przeszła do żywego kłusa.

- Nie powiem.

Bez trudu dostrzegł, że dziewczyna jest zakłopotana. Uśmiechnął się mimo woli.

- Tak też myślałem. Zastanawiam się tylko, dlaczego wolałaś poprowadzić konia, zamiast mnie obudzić.

Krwistoczerwony rumieniec wypłynął na policzki mademoiselle Harcourt.

- Próbowałam, ale pan nie chciał się obudzić. Coś się panu śniło.

- Rozejrzała się niespokojnie na boki, jak gdyby spodziewając się, że ktoś podsłuchuje.

- Zdaje się, że żona.

- Żona? Moja żona? - W głosie Tristana zadźwięczało szczere zdumienie.

- A skądże przyszło ci do głowy, że jestem żonaty?

Jej rumieniec tylko się pogłębił.

- Mówił pan przez sen. Sądziłam, że kobieta, do której zwraca się pan tak... swobodnie musi być pańską żoną.

Teraz to on poczuł się zażenowany. Nie pamiętał, co mu się śniło... ani kto. Nie wiedział też, co mówił - co aż tak zszokowało dziewczynę. Z ciężkim sercem przypomniał sobie intymne rozmowy z Minette - kochanką, którą miał przez wiele lat w Paryżu. Ale to chyba nie to...

- Nie jestem żonaty - odparł krótko. Niech sobie sama wyciąga wnioski. Madelaine zacisnęła usta. A niech ją diabli! Niech sobie myśli, co chce! Świętoszka się znalazła! Nie przywykł do rozmów z młodymi niewinnymi panienkami, które się zaszokowane słowami śpiącego mężczyzny. Przyzwyczyił się do kobiet o nieco większym doświadczeniu i mniejszej wstydlivości.

Przez następną godzinę jechali w milczeniu, którego żadne z nich nie chciało przerwać. Po pewnym czasie Tristan zorientował się, że koniowi już od dawna należy się wypoczynek.

- Szkapą powinna się napić i odpocząć... My też - powiedział szorstko.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłem.

Zatrzymał powozik na skraju małego sadu nieopodal strumienia. Szybko zeskoczył na ziemię i klnąc pod nosem niewygodną sutannę, wyprzągł konia z dyszli.

- Zaprowadzę staruszka do wody, a ty bądź tak dobra i przynieś torbę - rzucił przez ramię.

Maddy nie raczyła mu odpowiedzieć, lecz zanim skończył poić konia, rozłożyła koc na ziemi i położyła na nim bochenek chleba i dwa kawałki sera.

Dzień był słoneczny i delikatny wietrzyk poruszał listkami drzew - idealny dzień na piknik. Do Tristana wróciły wspomnienia innych pikników w Winterhaven - pogaduszek, śmiechu i piosenek, do których lady Ursula akompaniowała im na gitarze.

Jedli w milczeniu, przerywanym jedynie trelami szpaków ukrytych w gałęziach drzew, najwyraźniej zdenerwowanych obecnością ludzi w ich królestwie. Spokój tego miejsca był tak różny od rozruchów w Lyonie, że dopiero po długiej chwili Tristan przypomniał sobie, iż nie powinni zbyt długo tu pozostawać.

Wyciągnął się na wilgotnej, słodko pachnącej trawie i założył ręce za głowę. Dziewczyna siedziała opierając się o pień jabłoni, sztywno wyprostowana, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali.

Tristan przyglądał się jej z niepokojem.

- Jeżeli coś cię trapi, Maddy, lepiej porozmawiajmy o tym teraz, kiedy nikt nie może nas podsłuchać. Mamy przed sobą długą drogę. Będzie nam ciężko i bez jakichś głupich nieporozumień wywołanych snem, którego nawet nie pamiętam.

Madelaine wreszcie odwróciła głowę i spojrzała na niego zmrużonymi oczyma.

- Twoje erotyczne sny nie mają dla mnie żadnego znaczenia, ojcze Tristanie. Nie obchodzi mnie też, o kim śniłeś. To tylko potwierdza moją opinię o mężczyznach.

- Która zdaje się i tak jest już bardzo negatywna.

- Urwał źdźbło trawy i zaczął je powoli gryźć.

- Jak mam się bronić, skoro nawet nie wiem, co takiego powiedziałem przez sen, a co tak bardzo uraziło twoje dziewicze uszy? Nie twierdzę, że jestem święty, ale nie jestem też diabłem wcielonym, za jakiego niektórzy mnie uważają. Maddy, uwierz mi, że nie stanowią żadnego zagrożenia dla twojej cnoty!

- Nie o to się martwię. Chodzi mi tylko o to, że wszyscy mężczyźni tak bez zmrużenia oka kłamią. Nigdy nie są tymi, którymi wydają się być.

- W jej głosie słychać był gorycz.

- Jak mogę ufać twoim słowom, czy słowom jakiegokolwiek innego mężczyzny, jeżeli mój własny dziadek oszukiwał mnie przez ostatnie piętnaście lat?!

A więc to o to chodzi! Tristan poczuł, że zaczyna się w nim budzić złość. Dlaczego każda kobieta krąży dokoła tematu niczym jastrzęb nad ofiarą, zanim wreszcie wykrztusi z siebie, o co tak naprawdę jej chodzi? Dał się nabrać na jej pozorny spokój przy łożu śmierci starego księcia i dopiero teraz rozumiał, że perfidia dziadka zraniła ją bardzo boleśnie.

- Nawet ja, zupełnie obcy człowiek, rozumiem, że księżę Navereil był przerażonym starym człowiekiem, który kurczowo trzymał się ukochanej wnuczki, w jedyny sposób, jaki znał - odrzekł łagodnie.

- To go wcale nie usprawiedliwia, ale ośmielę się zauważyć, że ludzie przerażeni często postępują w sposób, z jakiego nie są potem dumni.

Dziewczyna uniosła dumnie podbródek. Był to gest, który Tristan zaczął rozpoznawać jako ukrywanie bolesnych uczuć.

- Więc teraz, po piętnastu latach, bez żadnego przygotowania mam uwierzyć, że ojciec zawsze mnie kochał, tak? Czy to aby nie za wiele, monsieur!

- Spotkałem Caleba Harcourta tylko raz, gdy wraz z bratem, piątym hrabią Rand, rozmawiałem z nim w jego biurze, w londyńskich dokach. Niewiele mogę ci o nim powiedzieć, ale jedno wiem na pewno. On naprawdę bardzo za tobą tęskni i nie zawahał się przedsięwziąć nadzwyczajnych kroków, byle tylko jak najszybciej sprowadzić cię do Londynu.

Tristan poczuł ukłucie poczucia winy, że zataja przed dziewczyną najważniejszy aspekt sprawy - że ojciec zamierza wydać ją za mąż za Gartha natychmiast po jej przybyciu na angielską ziemię.

- Jakie... nadzwyczajne kroki... ojczy Tristianie?

- Kiedy jesteśmy sami, możesz mi mówić po imieniu. A na twoje pytanie tylko ojciec może ci odpowiedzieć.

- Dobrze. Może więc odpowiesz mi na inne. Dlaczego angielski lord nadstawia karku, by przywieźć do kraju córkę kupca? Matka opowiadała mi, jak angielska arystokracja traktuje mieszczan.

Tristan nie chciał jej opowiadać ze szczegółami, z jakiego powodu został posłany do Francji. Uważał, że Maddy sama dowie się wszystkiego wystarczająco szybko. A jednak pod poważnym spojrzeniem jej bursztynowych oczu nie potrafił zmusić się do kłamstwa.

Podparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Po pierwsze, twój ojciec nie jest zwykłym kupcem. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

- I płaci ci za wykonanie zadania, czy tak? – Spoglądała na niego z góry z wyrazem wyższości i nieomal pogardy.

- Mam nadzieję, że skórka jest warta wyprawki.

- Nikt mi za to nie płaci - odrzekł Tristan ledwo hamując irytację.

- Podjąłem się odwiezienia cię do ojca, gdyż on w zamian pomógł mojemu bratu.

- Twojemu bratu? Piątemu hrabiemu Rand, tak? Musiał popaść w niezłe tarapaty, skoro lord naraża teraz życie podróżując po Francji w tak niebezpiecznych czasach. I to dlaczego? Dlatego, żeby spłacić dług wdzięczności u bogatego kupca?

A niech ją szlag! Dlaczego nie może zostawić tej sprawy w spokoju?

- Nie jestem żadnym lordem - powiedział sztywno. - Jestem zaledwie bękartem czwartego hrabiego Rand. Ale hrabina, wyjątkowo dobra kobieta, wychowała mnie jak własnego syna, a jej syn i córka przyjęli mnie jak brata. To wielka rzadkość w brytyjskich wyższych sferach. Oddałbym za nich własne życie. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Niezupełnie. Wyjaśniłeś, dlaczego podjąłeś się tak niebezpiecznego zadania, ale nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego mój ojciec uważa cię za właściwą osobę do jego wykonania?

Pannica jest stanowczo zbyt dociekliwa. Nie zadowolili się półprawdami. Niech to wszyscy diabli! Równie dobrze może być z nią szczerą. Najwyraźniej nie miała zamiaru się poddać, zanim nie wycisnie z niego wszystkich interesujących ją informacji. Zaklął pod nosem i postanowił zignorować względy bezpieczeństwa.

- A kogo lepszego mógłby znaleźć niż agenta Brytyjskiego Ministerstwa Wojny, który przez ostatnie sześć lat mieszkał w Paryżu udając rodowitego Francuza?

- Szpiegowałeś przeciwko Francji w czasie wojny?

- Nie przeciwko Francji. Przeciwko chciwemu Korsykaninowi, który chciał zniszczyć całą Europę. Jako rojalistka chyba widzisz tę różnicę?

- Coś mi się zdaje, że dziadek lepiej by zrozumiał takie rozgraniczenie - odparowała zimno. - On wszystko potrafił zwalić na Bonapartego.

- A ty nie? - W Tristanie zawrzała wściekłość. Jak ta bezczelna pannica śmie go osądzać?! - Myślałem, że wy, rojaliści, tak właśnie postępujecie - warknął wreszcie.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Wątpię, czy król Ludwik bardziej niż Bonaparte przejmuje się losem swoich poddanych. Nie sądzę, by był lepszy od cesarza.

- W tym przynajmniej się zgadzamy. - Zaskoczyło go, że wychowana w fanatycznej atmosferze panna potrafi aż tak samodzielnie myśleć.

Oparta o pień drzewa Maddy obserwowała go bacznie.

- Więc dlaczego szpiegowałeś przeciwko Bonapartemu?

- Na pewno nie po to, by posadzić Ludwika Osiemnastego na tronie Francji. Bardzo szanuję Wellingtona i Castelreagha, ale tu nasze poglądy się różnią. Po sześciu latach spędzonych wśród ciężko pracujących Francuzów zrozumiałem, dlaczego aż tak bardzo nienawidzą Bourbonów.

- Wszystko to bardzo pięknie, ale dalej nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego zostałeś szpiegiem?

Tristan przyglądał się szarym chmurom na horyzoncie i zastanawiał się, jak odpowiedzieć na pytanie i nie wzbudzić jeszcze większej pogardy bezczelnej pannicy. Przecież musi spędzić z nią najbliższych parę dni w zgodzie... A to graniczyło z cudem.

- Ważyły się losy Anglii - rzekł wreszcie. - To był jedyny sposób, by wykorzystać dany mi przez Boga rozum i przysłużyć się krajowi. Mój brat, Garth, służył w piątym pułku kawalerii northumberlandzkiej. Ta droga była dla mnie, jako bękarta, zamknięta. Gdybym został żołnierzem, mógłbym służyć jako zwykły szeregowiec, a pomysł służenia za mięso armatnie niezbyt mi się podobał.

Maddy wyczuła w nim ledwie hamowaną wściekłość, skierowaną na całą niesprawiedliwość, jaka spadła na niego tylko z tego powodu, że jego matka nie była hrabiną, żoną ojca. Z doświadczenia wiedziała, że rozszluszczony mężczyzna może być bardzo niebezpieczny. Powinna drżeć z obawy... Myśl o spędzeniu czterech dni sam na sam z Tristanem Thibaultem powinna przerażać ją do szpiku kości, a tymczasem Maddy była dziwnie podniecona.

Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, kto by się przyznał do bycia szpiegiem, i aż gotowało się w niej z ciekawości.

- A więc to dlatego monsieur Forli nazwał cię Brytyjskim Lisem... To twój kryptonim.

- To był mój kryptonim. Zrezygnowałem z tego szlachetnego zajęcia, gdy tylko Bonaparte został zesłany na Elbę. Przez ostatni rok służyłem pod rozkazami lorda Wellingtona w Paryżu i jako adiutant lorda Castelreagha przy Kongresie w Wiedniu. - Zmarszczył brwi. - I teraz bardzo tego żałuję. Zna mnie wielu bonapartystów włącznie z osławionym ministrem Fouchetem, który swego czasu przysiągł mi długą i powolną śmierć. Obawiam się, że twój ojciec nie najszcześliwiej wybrał mnie na twego opiekuna.

Może i nie najszcześliwiej, ale też i nie najgorzej, pomyślała Maddy. Tristan Thibault miał może paskudny charakter i potrafił być bardzo niemiły, ale na pewno nie był nudny. Wszyscy mężczyźni, jakich знаła do tej pory, nudzili ją niemiłosiernie i to była miła odmiana. Uśmiechnęła się pod nosem.

- Widzę, że mamy więcej wspólnego, niż się nam z początku wydawało. Fouche był zażartym wrogiem mojego dziadka i jestem pewna, że i ja znajduję się na jego czarnej liście.

Tristan zmarszczył brwi.

- Następnym powód, dla którego powinniśmy jak najszybciej opuścić Francję. - Odrzucił na bok swoją trawkę i wstał pospiesznie. Długa sutanna krępowała mu ruchy, więc zaklął brzydko. Odszedł parę kroków w stronę pasącej się szkapy, po czym odwrócił się i zawołał: - Pospiesz się i włącz do powozu! - Potem założył koniowi uprząż na kark i zaczął wprzęgać go w dyszle.

- I tak straciliśmy już wiele cennego czasu przez twoje głupie pytania. Musimy zmykać stąd jak najszybciej.

Dziewczyna widziała, że Tristan już żałuje swych zwierzeń. Pewno miał do niej pretensje, że wyciągnęła od niego tyle szczegółów dotyczących wspaniałej przeszłości. Uwijając się przy koniu miał tak groźną minę, że gdyby Fouche mógł go teraz zobaczyć, na pewno dwa razy by się zastanowił, zanim podniósłby na niego rękę.

Ale ona już się go nie bała. Przez piętnaście lat mieszkała z dziadkiem, który nie miał najłatwiejszego charakteru, i teraz trzeba było więcej niż groźnej miny, by ją przestraszyć.

Bez pośpiechu włożyła resztę chleba do torby i powoli podeszła do powozu, wdrapała się do środka i z godnością usiadła obok swego towarzysza.

- Możemy już jechać, ojcze Tristanie - powiedziała spokojnie, na co Tristan zaklął szpetnie i uderzył konia lejcami po zadzie.

Dziewczyna zignorowała jego niemile zachowanie i złożywszy dłonie na kolanach, po prostu patrzyła przed siebie. Jeżeli czegoś się nauczyła przez te wszystkie lata z dziadkiem, to tego, że nie należy zwracać uwagi na drobne nieporozumienia.

Tristan sam nie bardzo wiedział, czego się spodziewa po dziewczynie. Myślał, że jego szokujące wyznania o nieprawym pochodzeniu i malowniczej przeszłości zaskoczą ją... może zgorszą? Nie spodziewał się jednak spokojnej akceptacji. zupełnie go to zaskoczyło. Nie zadawała mu więcej pytań nie rozmyślała głośno nad tym, czego już się dowiedziała. Właściwie odkąd podjęli przerwana podróż, nie wypowiedziała więcej niż tuzin słów. A jednak cisza panująca między nimi była przyjemna, zupełnie jak gdyby byli długoletnimi przyjaciółmi, a nie parą nieznanym, których połączyła złośliwość losu.

Przez pierwsze dwie godziny jechali między sadami. Przez wiele mil wzdłuż wąskiej drogi rosły jabłonie i śliwy, których blade pąki i jasnozielone listki dawały przyjemny cień. Tristan przyglądał się bladym płatkom osiadającym delikatnie na włosach dziewczyny niczym motyle. Uśmiechnął się pod nosem uświadomiwszy sobie, jakie to romantyczne porównanie.

Wreszcie sady ustąpiły miejsca rozległym, zielonym łąkom ciągnącym się w nieskończoność. Pasące się na nich owce przypomniały Tristanowi małą posiadłość w Suffolku, którą dawno temu przyobieczał mu Garth. Teraz już pewno nigdy nie zobaczy tej ziemi. Od chwili, gdy Caleb Harcourt przejął rodzinny majątek, Garth nie ma władzy nadawania ziemi swemu przyrodniemu bratu.

Wieśniak przygotowywał pole do wiosennych siewów; widząc zbliżający się powóz księdza, zdjął kapelusz i zgiął się w pokłonie.

- Musisz uczynić znak krzyża świętego, ojczu - szepnęła Maddy.

- On oczekuje, że pobłogosławisz ziemię.

Tristan westchnął cicho i przeżegnał wieśniaka. Najwyraźniej przebranie było wystarczająco dobre, by nabrać wierną owieczkę. Potem przeżegnał się już na własny rachunek, gdyż sumienie nieco go gryzło i miał wątpliwości, czy aby dobry Bóg nie gniewa się na niego za tę świętokradczą szaradę.

Wraz z nadchodzącym wieczorem coraz ciemniejsze chmury zaczęły gromadzić się na horyzoncie, a podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. Zmierzchało już, gdy poczuli pierwsze krople deszczu. Wkrótce nadejdzie noc. Tristan był głodny i zmęczony, a choć Maddy nie narzekała ani słowem, też wyglądała na wykończoną. Niestety, od dawna nie spotkali na drodze żadnej gospody, w której mogliby zatrzymać się na noc.

Nie minęło parę chwil, gdy drobne krople zamieniły się w gęstą ulewę, która siekła ich w podmuchach wiatru niczym lodowate igielki. Wkrótce miękkie loki dziewczyny, zupełnie zmoczone, przylegały ściśle do głowy, a krople wody ściekały jej po policzkach. Zgrzebna wieśniacza koszula, również przemoczona, przylegała do jej ciała uwypuklając kobiece kształty. Na ten widok Tristanowi dech zaparło. Powodowany odruchem wyciągnął spod siedzenia kurtkę i zarzucił jej na ramiona.

- Musimy znaleźć jakieś schronienie - powiedział pospiesznie, starając się ukryć zdenerwowanie. Chwilę później na horyzoncie zamajaczyły jakieś gospodarze budynki.

- Kiedy tam dotrzemy, będzie już ciemno. Przenocujemy tam i jeżeli wstaniemy przed świtem i ruszymy w dalszą drogę, nikt nas nawet nie zauważy.

- Mamy spać w stodole? - Maddy zamrugła ze zdumienia. Czy on naprawdę spodziewał się, że ona, Madelaine Harcourt, spędzi z nim noc na sianie niczym prosta dziewczka? Chyba nawet jej lekkomyślny ojciec nie wpadłby na podobny pomysł! Spojrzała na niego z ukosa. - Nawet jeżeli nie zależy nam na wygodach, monsieur, to dla zachowania resztek przyzwoitości powinniśmy poszukać raczej jakiegoś zajazdu.

- Wiem... wiem. Ja też marzę o gorącej kolacji i miękkim łóżku. - Tristan pokiwał głową ze zrozumieniem. - Jeżeli znajdziemy karczmę lub zajazd nie dalej niż za milę, chętnie zgodzę się, byśmy tam właśnie spędzili tę noc.

- Wiesz dobrze, że to niemożliwe!

Wzruszył ramionami.

- W takim razie będziesz musiała zadowolić się sianem na posłanie i resztką chleba na kolację. Zgodnie z jego obliczeniami, zanim dotarli do zagrody, było już ciemno. Co prawda w oknie domu paliło się światło, lecz kamienna stodoła stała wystarczająco daleko od domostwa, by nikt nie zauważył ich nieproszonej obecności.

Tristan szybko wyprzągł zmęczonego konia i przywiązał go pod szerokim zadaszeniem przy stodole.

- Odpoczywaj, stary; zasłużyłeś sobie na to. Niedługo przyniosę ci wodę i trochę siana - zamruczał do ucha zwierzęciu i otworzył drzwi stodoły. Dziewczyna przeszła obok niego bez słowa.

Zamknąwszy drzwi, Tristan sięgnął po krzesiwo, w które zaopatrzył ich ojciec Bertrand, i zapalił świeczkę w latarni. Wnętrze stodoły było czyste i schludnie utrzymane. Wszystkie narzędzia wisiały na haczykach na ścianie, a zwierzęta spały spokojnie w specjalnie zrobionych boksach. Tuż przy drzwiach zobaczyli koszyk, w którym leżała kotka i sześcioro kociąt. Pod ścianą stały bele świeżego siana i ogromne worki ziarna, w boksach stały dwie mleczne krowy i ogromny siwy pociągowy koń, który prychnął z niezadowolaniem na ich widok. Ostatni boks był pusty, lecz leżało w nim świeże siano.

Tristan wciągnął głęboko zapach ciepłych zwierzęcych ciał i siana; wróciło do niego wspomnienie dawno minionej nocy, kiedy to wraz z Garthem zakradli się w nocy do stajni w Winterhaven, by obserwować narodziny źrebaka.

Długie godziny po tym, jak nowo narodzone źrebę stanęło na chwiejnych nóżkach i mokrym noskiem sięgnęło do wymienia matki, chłopcy leżeli obok siebie na sianie i snuli marzenia o przyszłości. Już wtedy Garth myślał o tym, że pewnego dnia wraz z Sarą będzie gospodarować na ziemi ojca i dziadka.

I dziadka

Jaka to parszywa złośliwość losu pokierowała ich drogami tak, że właściwie żadne z ich chłopięcych marzeń się nie spełniło. Teraz to Maddy Harcourt, nie Sara Summerhill, będzie żoną Gartha i matką jego dzieci; i to miłość do ziemi a nie do kobiety, przywiedzie jego brata przed ołtarz.

Tristan spojrzął na młodą kobietę kłęczącą obok koszyka z kociakami i głaszczącą mrużącą kotkę. Zęby dzwoniły jej z zimna, lecz nie skarżyła się nawet jednym słowem. Co by

o niej nie mówić, Madelaine Harcourt miała niezłomny charakter. Na pewno nie zhańbi rodziny Ramsdenów zostając hrabiną Rand. Ze zdumieniem pojął, że życzy jej jak najwięcej szczęścia w tej nowej roli, którą załatwił dla niej kochający tatuś.

Ale przecież szczęście Madelaine Harcourt nie było jego problemem. To Garth miał ją poślubić, a Tristan obiecał sobie, że dołoży wszelkich starań, by odbudować majątek Ramsdenów. Przynajmniej tyle mógł uczynić dla ludzi, którym zawdzięczał całe życie.

W tym czasie postanowił robić dobrą minę do złej gry, czyli odstawić do Anglii mocno przerażoną dziewczynę.

- To doskonałe miejsce na nocleg - powiedział pogodnie, choć nawet on usłyszał fałszywą nutkę w swym głosie.

- Mogliśmy trafić o wiele gorzej.

Rozejrzał się po suficie i zobaczył, że w żadnym miejscu nie przecieka. Doskonale.

- Wiele lat minęło od ostatniego razu, gdy spałem na świeżym sianie - kontynuował z tą samą nieszczerą pogodą.

- Żadne łóżko na świecie nie może się równać z takim posłaniem.

- Przyjrzał się wiadrom stojącym na ławce pod ścianą.

- Nie ma też nic lepszego niż ciepłe mleko prosto od krowy.

Maddy zdołała się uśmiechnąć, lecz szybko odwróciła wzrok

I pochyliła się nad kociakami. Tristan zmierzwił jej mokre włosy, jak gdyby naprawdę była zwykłym wiejskim chłopcem.

- Nie ma się czym martwić, mon petit garçon - powiedział żartobliwie.
- Bóg się do nas uśmiechnął. Tej nocy będziemy spać łącznie po królewsku.

Długo po tym, jak Tristan zdmuchnął świeczkę w latarni, Maddy leżała z szeroko otwartymi oczyma i ścisnęła w dłoniach ciężki krzyż, który dostała od ojca Bertranda. Burza zbierająca się przez cały dzień rozszalała się z dziką furją właśnie w chwili, gdy ułożyli się na świeżym, pachnącym sianie. Krople deszczu wybijały monotony rytm o dach nad ich głowami, zupełnie jak gdyby ktoś rzucał kamykami o dachówki. Wiatr wył niczym głodne zwierzę. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i zagubiona.

Właściwie mężczyzna śpiący teraz obok niej zachował się z całą dżentelmenią, na jaką było go stać w takich warunkach. Ale w jego podejściu do niej było coś dziwnie bezosobowego - zupełnie jakby była jeszcze jednym zwierzęciem, o które on musi się troszczyć; jeszcze jedną starą szkapą, o którą trzeba zadbać, zanim samemu zje się kolację i położy spać.

Nawet wytarł ich oboje parcianymi workami, które znalazł w jakimś kącie. I co śmieszne - najpierw wytarł konia, dopiero potem ją. Wyjaśnił pospiesznie, że to najlepsze wyjście, gdyż muszą jakoś wyschnąć, a przecież nie mają jak zdjąć mokrych ubrań.

Potem podał jej inny worek, by ona z kolei wytarła jego. Podchodził do tego tak samo beznamiętnie jak do czyszczenia konia, a dla niej była to najintymniejsza rzecz, na jaką kiedykolwiek zdobyła się w stosunku do mężczyzny. Nadal mrowiły ją dłonie na wspomnienie jego twardych mięśni i kościstych ramion. Nigdy wcześniej nie dotykała ciała żadnego mężczyzny, oprócz dziadka. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że istnieje różnica między ciałem silnego, młodego mężczyzny a schorowanego starca.

Dziadek. Na samą myśl o nim poczuła, że ogarnia ją nowa fala rozpaczy. Był samolubny, wymagający, złośliwy; nawet kłamał, jeżeli to tylko służyło jego celom. A jednak na swój sposób kochał ją i potrzebował jej. A teraz nie było już nikogo na całym świecie, komu byłaby potrzebna. Nikt jej już nie

kochał. Na pewno nie ojciec. On doskonale radził sobie bez niej przez ostatnie piętnaście lat.

Ogarnęła ją fala samotności i rozpacz. Łzy, które powstrzymywała przez cały dzień, wreszcie wypłynęły jej na policzki i popłynęły strumieniem. Nie mogła powstrzymać już ani tej powodzi, ani szlochu rozsadzającego jej piersi. Ukryła twarz w dłoniach i głośno zapłakała.

Tristan nie spał. Jakże mógłby zasnąć, nadal mając w pamięci dotyk delikatnych palców dziewczyny. A niech to wszyscy diabli! Każdy centymetr jego ciała reagował na kobietę leżącą tuż obok. Chciał ją tylko rozgrzać... Nie miał pojęcia, że tak się to skończy.

Leżał więc rozbudzony i wściekły na siebie, nasłuchując szeleszczenia siana. Maddy też nie mogła zasnąć. Kręciła się i wierciła na tym sianie, jak gdyby coś ją kłuło. Boże, niech ta podróż wreszcie się skończy! Ostatnia rzecz, jaka była mu potrzebna do szczęścia, to pożądanie narzeczonej brata!

Nagle w ciemności dał się słyszeć dziwny dźwięk. Jakby zduszony szloch. I następny. I jeszcze jeden. Dobry Boże! Płakała, szlochała w ten przeraźliwie rozdzierający sposób, który łamał mu serce. Kobięce łzy zawsze wzbudzały w nim bezradność i jakąś dziwną tkliwość. Uniósł się na łokciu i odwrócił w jej stronę.

- Maddy? - Sam nie wiedział, jakiej odpowiedzi oczekuje. Usłyszał tylko kolejny rozdzierający szloch. Wiedział, że jest jeszcze bardzo młoda, niewiele starsza od Caro; pewno ulega tym samym nastrojom. To nic... zaraz jej przejdzie.

Nieprawda. Żadna kobieta, jaką znał, nawet Caro, nie zniosłaby tego, przez co ona przeszła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin z takim spokojem i opanowaniem. Maddy płakała, bo miała po temu ważne powody i serce go bolało na myśl o jej bólu.

Pragnął wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale miał niejasne wrażenie, że jeżeli raz podda się temu impulsowi, jego życie ulegnie zmianie.

A jednak, gdy mówiła o tym, jak zabolęła ją kłamstwo dziadka, w jej twarzy było tyle cierpienia, że Brytyjski Lis się wzruszył. Od lat mu się to nie zdarzyło, a jednak... Nadal prześladowała go jej bezradność, gdy wypytywała go o ojca, którego nigdy nie widziała. A niech to wszyscy diabli! Pochylił się ku niej i przyciągnął ją do siebie.

- Płacz, Maddy! Wyrzuć to z siebie... - mrucał cicho i czule. Kołysał ją w ramionach, aż wreszcie odprężyła się nieco i przytuliła do niego. Ukryła twarz na jego ramieniu i płakała, aż jego koszula przemokła na wylot.

Dużo później, gdy wreszcie ucichła i zaczęła miarowo oddychać, Tristan odważył się poruszyć. Ułożył ją wygodniej, nadal nie wypuszczając z ramion. Przez długi czas leżał przysłuchując się odgłosom burzy i cichemu biciu jej serca.

Nagły poryw pożądania, który zawładnął nim wcześniej tego wieczora, rozmył się i zamienił w ogromną czułość dla tej smukłej dziewczyny, która teraz z takim zaufaniem spała w jego ramionach. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego do żadnej innej kobiety.

Leżał wpatrując się w otaczającą go ciemność, zaskoczony głębią i siłą własnych uczuć. Jak zwykle nie mylił się w przypuszczeniach. Jego życie zmieniło się i to wcale nie na lepsze. Tkliwość i czułość rozbudzone w sercu będą go dręczyć o wiele bardziej niż przemijające pożądanie.

Rozdział piąty

Maddy, obudź się! Już prawie świta!

W głosie Tristana słyhać było zniecierpliwienie i dziewczyna spróbowała otworzyć oczy, by zobaczyć, o co mu chodzi. Jednak jej powieki były bardzo ciężkie, a oczy obolałe, zupełnie jakby ktoś wtarł w nie piasek.

Kiedy wreszcie zdołała je otworzyć, zobaczyła pochylonego nad nią Tristana. W dłoni trzymał latarnię. Nagle przypomniała sobie, że zanim zasnęła, długo płakała w jego objęciach.

Czyżby całą noc spędziła w jego ramionach? Wgniecenie w sianie właśnie na to wskazywało. Pamiętała też, że jej ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła tego, jak to miło być tuloną przez silnego mężczyznę.

Chciała mu podziękować za okazaną dobroć i zapewnić, że nie ma się już więcej o co martwić; wyplakała już wszystkie łzy. A jednak on nie dał jej sposobności. Znowu wycofał się do swej zimnej skorupy i zdawał się być równie obojętny jak poprzedniego dnia. Zastanawiała się, czy to tylko przed nią krył lepszą stronę duszy, czy też życie nauczyło go trzymać resztę świata na dystans.

Jednak już po chwili przekonała się, że wredny Anglik znowu kompletnie ją ignoruje. Zajął się właśnie namawianiem starej szkapy, by wyszła z przytulnego boksu, co szło dość opornie. Przypomniał sobie o obecności Madelaine dopiero wtedy, gdy ustalał, kto ma usunąć ślady ich obecności w stodole. Postanowił, że on zaprzęgnie konia do bryczki, a ona ma posprzątać po nich i po koniu. Maddy omal nie zakłęła z oburzenia. Wyrzucając śmierdzące końskie łajno na przyzme w dalekim kącie, przysięgła sobie, że przy najbliższej sposobności usadzi monsieur Thibaulta na miejscu.

Skończywszy swe niemiłe zajęcie, wyszła na dwór, gdzie powitało ją poranne pianie kogutów. Stary konik i powóz były prawie niewidoczne w

mdłym światłem świtu. Właśnie zastanawiała się, gdzie podział się Tristan, kiedy wypadł z za węgła i porwawszy ją w ramiona, nieomal wrzucił ją do pojazdu. Potem, zakasawszy sutannę, pospiesznie wdrapał się na kozioł.

- Oszalałeś? - prychnęła i chciała dodać coś więcej, gdy od strony domu usłyszała wściekłe głosy. Kurczaki pierzchły spod kopyt starej szkapy, a gdy w pośpiechu mijali błotnistą sadzawkę, dał się słyszeć kwik niezadowolonej maciory i wtórujące mu głosiki prosiąt.

Wrzaski oburzonego farmera cichły w oddali, lecz zanim skręcili na gościniec z błotnistej dróżki, tuż obok ucha Maddy świsnęła kula i utkwiała w pniu pobliskiej jabłonki.

- Niewiele brakowało - mruknął ponuro Tristan nawet nie spojrzawszy w jej stronę.

- Już nigdy więcej nie zatrzymamy się w żadnej stodole bez wiedzy gospodarza.

Maddy przełknęła głośno ślinę i skinęła głową. W tej chwili nie była w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa, nawet gdyby jej życie od tego zależało.

Niedługo potem wjechali na mały wzgórek, z którego roztaczał się wspaniały widok na wschodzące nad polami słońce.

- Mamy szczęście - zauważył Tristan.

- Zdaje się, że burza przeszła na dobre i będziemy mieć piękną pogodę. Doskonały dzień na podróż.

Maddy wydawało się, że mówi to z uśmiechem, lecz nie była pewna. Twarz Tristana pokryta była dwudniowym zarostem i trudno było cokolwiek z niej odczytać.

Ściągnąwszy lejce zasapanemu koniowi i pozwoliwszy mu na spokojny trucht, Tristan usadowił się obok dziewczyny; w jego oczach pojawiły się szelmowskie błyski. Czy naprawdę nie zauważył, że ledwie uniknęli śmierci z rąk rozwścieczonego chłopca? Czy też może temu podobne przyjemności należały do jego dnia powszedniego?

- Mam nadzieję, że zanim zapadnie zmrok, dotrzemy do pewnej wioski nieopodal Rowanny - powiedział parę minut później. - Jest tam wspaniały zajazd, gdzie serwują najwspanialszą pieczeń, jaką kiedykolwiek jadłem i gdzie pierzyny są miękkie niczym kaczki puch. - Zawahał się przez moment.

- Jest też spory targ, gdzie będę mógł przehandlować naszego konika.

- Jak to „przehandlować”?

- Ano tak. Nie możemy liczyć na żadne publiczne środki transportu.

Wszystko przestało funkcjonować wraz z ucieczką Bonapartego z Elby. Nasz staruszek ma dzielne serce, lecz nogi już odmawiają mu posłuszeństwa. Najwyższa pora, by dostał się na zasłużoną emeryturę.

Maddy przyjrzała się chudemu konikowi i, choć niechętnie, musiała przyznać Tristanowi rację. Stara szkapka nigdy nie dowiozłaby ich do Paryża, a co dopiero do Calais. Zasmuciło ją to, jak gdyby stawała w obliczu kolejnej straty kogoś bliskiego.

Zamrugła, by powstrzymać piekące łzy.

- Szkoda mi będzie się z nim rozstawać. Polubiłam go, podobnie jak i ty.

- Ja? - warknął Tristan z obrzydzeniem.

- Nigdy nie myślę sentymentu z praktycznością. Nie jestem taki głupi, by wdawać się w podobne nonsensy!

Maddy poczuła się tak, jakby uderzył ją w twarz. Najwyraźniej mówił o czymś więcej niż tylko o starym koniku ciągnącym ich powóz. Zdawało się, że ostrzega ją, by nie przywiązywała zbytnej wagi do jego nocnej chwili słabości. Też pomyśl! Przecież nie była głupia!

Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni w jego kraju są aż tak nieprzyjemni. Jeżeli tak, nigdy nie popełni błędu, jaki popełniła jej matka - nigdy nie wyjdzie za mąż za Anglika!

Byli sami na drodze, zupełnie tak jak poprzedniego dnia; a jednak z godziny na godzinę spotykali więcej ludzi. Wielu jechało na północ - głównie byli to rojaliści uciekający przed zbliżającą się armią Napoleona. Inni, lojalni cesarzowi, pędzili na południe, by jak najszybciej dołączyć do wojsk generała Cambronne.

Dwa razy omal nie zostali wplątani w bójkę między dwiema frakcjami, lecz na szczęście najczęściej rojaliści i bonapartyści mijali się spokojnie, wykrzykując co najwyżej obelgi. Bez względu na orientację polityczną, większość Francuzów miała już dość rozlewu krwi. Tristan podejrzewał, że to zagra na korzyść cesarza. Na pewno znajdzie się jakiś pokojowo nastawiony rojalista, który podda kraj i podda Paryż Bonapartemu.

Coraz częściej ich powozik zatrzymywali bonapartyści pytając, czy jadą z Lyonu, i czy to prawda, że miasto poddało się bez jednego strzału. Z początku Tristan obawiał się tych ciekawskich, lecz gdy nikt nie zakwestionował tożsamości jego ani Maddy, odzyskał pewność siebie i spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania.

Pech chciał, że gdy dotarli do zachwalanego przez niego zajazdu, budynek wprost pękał w szwach. Do wynajęcia na noc został już tylko maleńki pokoik na poddaszu, zazwyczaj zajmowany przez służących co bogatszych podróżnych. A Tristan i tak musiał zapłacić za niego niebotyczną sumę.

Postanowił, że tę nowinę zatrzyma w tajemnicy przed dziewczyną aż do czasu, gdy spokojnie zjedzą kolację.

Był bardzo głodny; w brzuchu mu burczało i ślinka napływała mu do ust na samą myśl o wspaniałej pieczeni przyrządzanej w kuchni gospody. Dopilnowawszy, by koń i powóz zostały bezpiecznie odstawione do stajni, poprowadził Maddy na kolację.

Hałas w głównej sali był potworny. Zdawało się, że wszyscy mówią naraz, ponadto od zapachu przepoconych ciał i taniego wina kręciło się w głowie. Zanim usiedli przy ogromnym stole, Maddy zrobiło się słabo. Tristanowi nic jednak nie potrafiło odebrać apetytu, a już na pewno nie po dniu spędzonym na gościńcu.

W pewnej chwili Maddy pochyliła głowę i pociągnęła go za rękaw.

- Obawiam się, że musimy stąd wyjść - szepnęła przerażona.

- Znam tych dwóch starszych mężczyzn siedzących przy końcu stołu. Obawiam się, że i oni mogą mnie rozpoznać. To rojaliści z Lyonu... Często bywali w domu dziadka.

Ale głód przytłumił zwykłą ostrożność Tristana.

- Bzdury! Masz opaloną twarz i obcięte włosy! Nikt cię nie rozpozna w takim przebraniu. Siedź i jedz.

Przyjęła spokojnie jego decyzję, lecz sądząc po sceptycznym błysku w oczach, nie była ani trochę przekonana o jej słuszności. Na szczęście nie wiedziała, że Tristan jest o wiele bardziej zdenerwowany niż daje po sobie poznać.

Raz jeszcze przyjrzał się mężczyznom siedzącym dokoła stołu - większość z nich wcale nie była zajęta jedzeniem; wszyscy albo przeklinali obrzucając

się nawzajem wyzwiskami, albo toczyli zajadłe dyskusje o powrocie Bonapartego. Westchnął ciężko. Po jednej stronie stołu siedzieli mężczyźni noszący białe kokardki rojalistów, a po drugiej - osobnicy przybrani w trójkolor bonapartyistów. Zdawało się, że lada moment rozpętają drugą rewolucję. Gdyby ich stary koń był w stanie przejść kolejną milę, Tristan opuściłby to miejsce w tej sekundzie.

Ale szkapa była już na ostatnich nogach, a dziewczyna była tak wykończona, że ledwo trzymała oczy otwarte. Prawdę mówiąc, sam nie był w lepszym stanie. Zostało więc tylko modlić się i mieć nadzieję, że do rana nie wybuchnie tu jakaś bójka.

Ale źle nie ści... Ledwo Tristan rozsiadł się wygodnie na drewnianej ławie, gdy podeszła do nich ciemnowłosa barmanka

o obfitych kształtach, niosąc zamówioną pieczeń. Przez chwilę przyglądała się fałszywemu księdzu, po czym upuściła drewniany półmisek wraz z mięsem.

- Mon Dieu! - wykrzyknęła.

- To ty... Paryżanin o diabelskich oczach i zwinnych dłoniach!

- Przeżegnała się gwałtownie.

- Matko przenajświętsza, przespałam się z księdzem!

Po tych słowach w całej sali zapadła martwa cisza. Wszyscy, rojaliści i bonapartyści, zwrócili podejrzliwe spojrzenia na Tristana.

Zamrugał oczyma; przypomniał sobie barmankę Babette - czy też może Colette? Wszak po drodze do Lyonu spędził z nią upojną noc w zajeździe oddalonym od tego przeklętego miejsca o dobry dzień drogi na północ. Była tak chętna i namiętna... Jakaż to złośliwość losu kazała jej zmienić miejsce pracy akurat teraz?

Kątem oka zauważył wściekle spojrzenie Maddy. Zignorował je i zajął się o wiele ważniejszym problemem.

- Moja dobra kobieto - zaintonował tym samym tonem, jakim ojciec Bertrand odprowadzał mszę nad grobem starego hrabiego. - Nie wiem, za kogo mnie bierzesz, ale zapewniam cię, że po raz pierwszy widzę cię na oczy.

- Ależ pańskie oczy, monsieur! Na całym świecie nikt nie ma takich oczu jak...

- Aha! - Tristan odchylił się i oparł o ścianę z uśmiechem przyklejonym do warg.

- To wszystko wyjaśnia.

- Potrząsnął głową.

- Bardzo mi przykro, ale zaszła pomyłka. Ze wstydem muszę się przyznać, że mam brata; jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Ale on, wbrew woli naszego dobrego ojca, odmówił wstąpienia na drogę Pana i skumał się z Lucyferem.

Obecni na sali mężczyźni zamruczeli z ubolewaniem i wrócili do swych zajęć, zupełnie usatysfakcjonowani takim wyjaśnieniem.

- Je ne connais pas Lucifer - zamruczała pod nosem barmanka.

- Może on i nie jest święty, jak ojciec mówi, ale jedno trzeba mu przyznać. W całej Francji nie ma większego i hojniejszego dżentelmena niż pański przystojny brat.

Upadła na kolana i zaczęła sprzątać z podłogi resztki pieczeni. Wytarłszy stół brudnym już fartuchem, podniosła na Tristana bezmyślne brązowe oczy. Jezu Chryste! Musiał być pijany jak szewc, że połakomił się na tak głupią dziewczkę.

Barmanka raz jeszcze spojrzała na niego z błogim uśmiechem na pulchnej twarzy.

- Zostawił mi dziesięć franków na poduszce... taak, całe dziesięć franków. Właśnie tyle potrzebowałam, by dostać się do tego zajazdu. Mój ukochany jest tu stajennym.

Maddy omal się nie udławiła. Słyszając jej dziwny charkot, Tristan spiorunował ją wzrokiem, lecz właściwie nie miał o co jej winić. Poległ od własnej broni.

- To wspaniale, moje dziecko - zaintonował jak najpoważniej.

- Ale współzycie bez sakramentu małżeństwa jest grzechem, więc radzę ci jak najszybciej się z niego wypowiadać.

- Odkaszlnął i dodał: - Czy byłabyś tak dobra i zaniosiła nam kolację do naszego pokoju, moje dziecko? Obawiam się, że nastroje panujące w tej sali są nieco zbyt gwałtowne dla mojego młodego towarzysza.

Nie zdążył jeszcze dokończyć zdania, a młody rojalista o błędnym spojrzeniu i wściekle rudych włosach poderwał się na równe nogi i wrzasnął

na całą salę: „Vive le roi!” Zareagował na to natychmiast równie szczeniakowaty bonapartysta. Chlusnął rojalście winem w twarz i wrzasnął: „Vive l'empereur!”

W jednej chwili wszyscy siedzący przy stole poderwali się na nogi z wyciągniętymi szpadami i mordem w oczach. Tristan pociągnął Maddy za sobą i wypadł z sali pchając przed sobą przerażoną barmankę.

- Pamiętaj o kolacji - zawołał za znikającymi w drzwiach kuchni plecami dziewczyny.

- I przynieś jeszcze miszkę ciepłej wody! Jeżeli nie będzie cię w moim pokoju za pięć minut, przyjdę po ciebie.

Maddy wyszarpnęła ramię z jego uścisku.

- Zachowaj swoje „zwinne dłonie” dla siebie i jej podobnych - warknęła. Minęła go i poszła przodem po wąskich schodach. Plecy miała sztywno wyprostowane i tupąła mocno butami o drewniane stopnie. Zatrzymała się na pierwszym piętrze i zaczęła, aż Tristan wskaże jej, do którego pokoju ma się udać.

Bez słowa wskazał schody wiodące na strych. Potem poszedł za nią rzucając tęskne spojrzenie na kłębowisko w głównej sali na dole. Tego rodzaju męskie porachunki rozumiał i doskonale potrafił sobie w nich radzić. W końcu sześć lat życia spędził na ulicach Paryża. Ale czy jakkolwiek mężczyzna przy zdrowych zmysłach chętnie stawiałby czoło rozgniewanej kobiecie? Ponuro wszedł po schodach prowadzących do małego pokoiku na poddaszu.

Maddy uchyliła drzwi i długo przyglądała się wąskiemu łóżku i małemu stolikowi, na którym stała pojedyncza świeca kapiąca woskiem. Wściekłość tłąca się w niej od dłuższego czasu wreszcie wybuchła. Obróciła się na pięcie i z gniewem spojrzała mu w oczy.

- Co to ma znaczyć? Zakwaterowałeś mnie w pokoju służącej?

- Cii... Maddy. Mów nieco ciszej!

Posłuchała i po dłuższej chwili odezwała się lodowatym szeptem, który tylko on mógł usłyszeć:

- Nieco przesadzasz z realizmem naszego przebrania, ojczy Tristanie. Zgodziłam się udawać twojego pomocnika, ale nie wyraziłam zgody na

spanie na drewnianym łóżku, podczas gdy ty będziesz się wylegiwał w królewskim łożu na pierwszym piętrze.

Tristan popchnął ją lekko i wszedłszy do pokoju, zamknął po cichu drzwi.

- To był jedyny wolny pokój, jaki mieli. - Spojrzała na zegarek. - Jest już wpół do jedenastej w nocy! Wątpię, czy przed północą znajdzie się jeszcze jeden. Możesz wściekać się i płakać, ile dusza zapagnie, ale to i tak niczego nie zmieni. Jest albo ten pokój, albo wspólny barłóg z woźnicami na dole w stajni. A to niezbyt pociągająca perspektywa, nie sądzisz? Jednak jeżeli się uprzesz, nie będę cię zatrzymywać. Spij, gdzie chcesz. - Sięgnął do buta i z długiej cholewy wyjął nóż. - Sugerowałbym jednak, byś uzbroiła się w ten nóż, zanim pójdziesz spać między pospólstwo. Jak już się zapewne zorientowałaś, trafiliśmy tu na niezbyt przyjaźnie nastawione towarzystwo. Bóg raczy wiedzieć, co im może przyjść do głowy na widok młodego, ładnego chłopca... A gdyby się zorientowali, że jesteś kobietą...! Wolę o tym nie myśleć!

- I co? Mam się czuć pewniej w towarzystwie zadufanego łajdaka, który nie potrafi nawet wymyślić rozsądnie brzmiącego kłamstwa, by pokryć swe żałosne wybryki!?

Oczy Tristana zamieniły się w dwa lodowe kryształki. Spojrzała na nią wściekle i syknął:

- Niech się pani nie obawia, mademoiselle Harcourt! Jest pani ze mną równie bezpieczna, co w klasztorze. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że gdybyś mnie choć trochę podniecała, równie łatwo mógłbym cię pojąć w pokoiku na poddaszu, co na stropie pełnym siana. Tym bardziej, gdy bezczelnie tuliłaś się do mnie w środku nocy! Na szczęście pociągają mnie tylko gorącokrwiste niewiasty o ciepłym sercu. Nie znoszę chudych dziewcząt o chłopięcych kształtach i ciętych językach.

Maddy zatoczyła się, jakby ją uderzył. Miała ochotę odplacić mu czymś równie podłym i jadowitym, lecz właśnie w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Kolacja i woda do mycia, ojczu.

Instynktownie cofnęła się, by Tristan mógł otworzyć drzwi. Na progu stała mała pulchna barmanka. Na tacy niosła kolację, a za nią stał chłopiec z miednicą gorącej wody i dwoma ręcznikami.

Dziewczyna uśmiechnęła się przepraszająco.

- W kuchni nie ma już ani kawałeczka pieczeni. Ten kawałek, co wyładował na podłodze, był ostatni. W całej gospodzie niewiele zostało się do jedzenia, ale udało mi się znaleźć coś w spiżarni. - Podała im tacę. - Spory kawał sera i świeży chleb.

Ranek następnego dnia był pochmurny i zimny. Przez na wpół uchylone powieki Maddy obserwowała blade promienie wciskające się do maleńkiego pokoiku przez brudną szybę. Źle spała, choć całe wąskie łóżko miała dla siebie. Po posiłku, który zjedli w milczeniu, Tristan bez słowa otulił się kocem i wyciągnął na podłodze, podłożywszy sobie torbę pod głowę.

Długo po tym, jak świeczka wypaliła się i zgasła, Maddy leżała z szeroko otwartymi oczyma i wpatrywała się w ciemności. W kółko brzmiały jej w uszach jego okrutne słowa: „chuda dziewczyna o chłopięcej figurze i ciętym języku”.

Powtarzała sobie, że te słowa nic nie znaczą i że ona wcale się nimi nie przejmuje. W końcu wypowiedział je w gniewie - w gniewie, który ona sama wywołała. Ale jednak zdawało się, że w tych słowach więcej było szczerości, niż gniewu. Zawsze martwiła się tym, że ma za małe piersi. Ale cięty język? Może i miał rację? Ale jeżeli tak, to i on nie jest tu bez winy...

Przez na wpół zamknięte powieki obserwowała, jak Tristan przeciąga się, ziewa, podnosi sztywno z podłogi i zwija koc. Pogrzebał w torbie, którą dostali od ojca Bertranda, i wyciągnął długą brzytwę. Potem, przy pomocy resztek wody i mydła, ogolił się przed pękniętym lustrem.

Maddy jeszcze nigdy nie była świadkiem porannych męskich ablucji. Dziadek był człowiekiem starej daty i nawet gdy był już bardzo ciężko chory, domagał się, by wychodziła z pokoju, gdy kamerdyner mył go i golił.

Zafascynowana obserwowała, jak Tristan zeskrobuje cienką, ciemną warstwę zarostu, która pokryła jego śniadą twarz przez ostatnie dwa dni. Nawet w mdłym świetle poranka widziała, że jest bardzo przystojny. Mimowolnie zastanawiała się, ile kobiet, oprócz głupawej barmanki, uległo jego czarowi?

Ogoliwszy się, Tristan spakował torbę, złożył porządnie koc i stanął nad jej łóżkiem. Maddy udawała, że śpi. Tak było wygodnie. W tej chwili nie

potrafiła zmusić się do spojrzenia w jego zimne, jasne oczy. Chwilę później Tristan wyśliznął się bezszelestnie z pokoju.

Maddy usiadła sztywno wyprostowana. Gdzie też on poszedł? Poniewczasie zrozumiała, że powinna go zapytać, póki miała jeszcze okazję. Pospiesznie włożyła buty, ochlapała twarz zimną wodą i przeczesała palcami krótkie włosy. Tristan Thibault był może irytujący, ale obecnie był jedyną ostoją w jej życiu. Bez niego czuła się zupełnie zagubiona.

W sali na dole nie było nikogo oprócz małej barmanki, pracownicy sprzątajacej po wczorajszej bójce. Właśnie szorowała pracownicy płamę krwi. Słyszac kroki uniosła wzrok. - Mężczyźni! - warknęła ze złością. - Wszyscy są tacy sami. Pijani łobuzy, które aż rwą się do bitki, by potem zasnąć spokojnie i zostawić kobietom czas na posprzątanie całego bałaganu jaki narobili. Na twoim miejscu poszłabym za przykładem dobrego ojca i szybko się stąd zmyła.

Maddy roześmiała się wesoło. Oj! Pewno, że już sobie stąd idę - powiedziała, starając się mówić jak najgrubszym głosem.

- Ojciec zapukał do kuchni jakiś czas temu, poprosił o kubek kawy i o odjechał w tym swoim powoziku – dodała dziewczyna nie zdając sobie sprawy, jakie wrażenie wywarła na Maddy ta wiadomość.

- Ojciec wyjechał... Odjechał... Dokąd? - zdołała wykrztusić.

- Nie wiem. Objechał i już. Pomachał do mnie na pożegnanie i nawet przizęsał mi pocałunek. Wielka szkoda, że to ksiądz.

Maddy musiała a oprzeć się o krzesło. Przypomniała sobie furję Tristana, gdyly nazwała go lajdakiem. W małym pokoiku na poddaszu aż islskrzyło się od ich wzajemnej niechęci, lecz nigdy by się nie spodziewała, że on tak po prostu odjedzie i zostawi ją bez grosza przy duszy. Ciekawe, co też za ckliwą historyjkę opowie e ten parszywy lajdak jej ojcu? Na pewno niegłupią. Już raz i udowodnił, że potrafi doskonale kłamać.

- Zastanawiam i się, dlaczego dobry ojciec zostawił cię tu samego? - odezwała się barmanka przyglądając się dziewczynie badawczo.

- Dziwne...

Maddy zadrzała. Rzeczywiście, dziwnie to wygląda...

- Moja siostra i wraz z mężem mieszkają tu niedaleko. Ojciec Tristan zaproponował, że odwiezie mnie tu do nich - zaimprovizowania.

- Aaa... więc to tak.
- Służąca wytarła brudne ręce w fartuch i wstała z kłęczek.
- Chodź ze mną do kuchni. Dobry ojciec polecił mi dać ci coś do jedzenia i picia.

- To bardzo miło z jego strony.

- A tak. Mało kto jest teraz miły w pięknej Francji. Wszyscy są zbyt zajęci tym, kto ma zasiąść na tronie, by martwić się o takich jak ja czy ty.

t Pół godziny później, zaspokoiwszy głód i pragnienie, Maddy wyszła na dziedziniec przed gospodą. Wszędzie było pusto i cicho. Ze stajni dobiegały pokrzykiwania koniuszych i parskanie koni, i tylko te odgłosy przerywały chłodną ciszę poranka.

Wyszedłszy z ciemnego wnętrza, dziewczyna stała przez kilka minut przyzwyczajając oczy do słońca. Pierwszy szok już minął i teraz ogarnęła ją rozpacz.

Ponuro zastanawiała się, co robić dalej. Właściwie miała do wyboru tylko dwie możliwości: po pierwsze - mogła wrócić do Lyonu i poprosić ojca Bertranda o pomoc. Gdyby ktokolwiek pytał ją o cel podróży, mogłaby mówić, że chce dołączyć do armii Napoleona. Zdawało się, że to najrozsądniejsze wyjście.

Ale... Ale mogła też dotrzeć jakoś do Calais. Pamiętała, że Tristan wspomniał coś o okręcie ojca czekającym w tamtejszym porcie, by zabrać ich do Anglii. Potrzebowała tylko zdobyć jakiś środek transportu. Nigdy nie doszłaby tak daleko na piechotę, a nawet gdyby się uparła, statek dawno już by odpłynął. Przecież wielu rojalistów uciekało na północ. Może ktoś zabierze ją ze sobą? Mężczyzna podróżujący z żoną albo szlachcianka z dziećmi i służbą?

Maddy podjęła decyzję. Wyprostowała się dumnie i zaczęła iść... na północ. Nogi jej drżały i nadal czuła łyż pod powiekami, ale samo to, że podjęła tę trudną decyzję, dodało jej odwagi.

Droga była szeroka, ciągnęła się między polami, na których pasły się owce i krowy. Wiał lekki wietrzyk i niósł zapach świeżo ściętej trawy... gdzieś w oddali beczało jagnię. Czy to możliwe, by naprawdę szalała wojna o to, kto ma panować nad Francją?

W pewnym momencie droga wchodziła na mały kamienny mostek. Dalej widać było wieś, o której mówił Tristan. Maddy właśnie weszła na mostek, gdy za nią rozległ się tętent końskich kopyt na gościńcu. Odwróciwszy się na pięcie, zobaczyła konia i jeźdźca zbliżających się do niej w ogromnym pędzie. Pисnęła cicho z przerażenia i uskoczyła na bok - w porę, by uniknąć śmierci pod rozpędzonymi kopytami.

Klnąc na czym świat stoi, jeździec zatrzymał wierzchowca przy końcu mostka i obejrzał się na nią potrząsając groźnie pięścią. Rozpoznała go. To był ten młody rudowłosy rojalista, który rozpoczął wczorajszą bójkę. Był bez kapelusza, a jedno oko miał podpuchnięte i sine. Cienka czerwona pręga na policzku świadczyła jasno o tym, że poprzedniego wieczora napotkał lepszego od siebie szermierza.

- Sacre bleu, ty głupi wieśniaku! Mój koń mógł przez ciebie złamać nogę!
- zawołał patrząc na nią z góry.

W dziewczynie krew zawrzała. Nadal nie wierzyła, że ledwo uniknęła śmierci pod rozpędzonymi kopytami, a ten idiota oskarżał ją o narażanie zdrowia jeźdźcy konia!

- A co ze mną, to głupi smarkaczu!? - odwrzasnęła z wściekłością.
- Mógłbyś mnie zabić, gdybym nie uskoczyła na czas!
- I dobrze by się stało! Byłoby was o jednego mniej w armii Korsykanina!
- Wyciągnąwszy szpadę z pochwy, młodzieniec spiął konia ostrogami i podjechał do niej. Maddy nie miała innego wyjścia, jak tylko zeskoczyć z mostu do rzeczki.

Woda była przeraźliwie zimna, lecz niezbyt głęboka.

Niestety, kamienie na dnie były bardzo śliskie i wylądowawszy w rzeczce dziewczyna zaraz w niej usiadła. Poderwała się jak najszybciej, ale i tak całe ubranie miała już przemoczone. Podeszła jak najszybciej do brzegu, lecz jej prześladowca nie poddał się łatwo. Podjechał do niej galopem, nadal wymachując szpadą i tym samym zmusił ją, by cofnęła się do środka strumienia.

- Jedź swoją drogą, głupcze! - zawołała.
- Już i tak dość narozrabiałeś jak na jeden dzień.
- Głupcze? Śmiałeś nazwać mnie, kawalera de Montrassat, głupcem?!
Tym razem nie ujdzie ci to na sucho, ty bezczelny wieśniaku!

Ale Maddy miała już dość tego przedstawienia. Nachyliwszy się, zebrała garść kamieni z dna strumienia i zaczęła rzucać nimi w narwanego młodzieńca. Właśnie wtedy dostrzegła następnego jeźdźca zbliżającego się od strony wsi. Jakiś mężczyzna jechał na potężnym bułanym koniu i prowadził obok drugiego, drobnego i kasztanowatego.

Słońce świeciło Tristanowi prosto w oczy, więc dopiero po chwili dojrzał, co się dzieje na mostku. Zdawało się, że narwany rojalista z gospody wtrącił kogoś do rzeczki - pewno jakiegoś bonapartyście - i szykuje się do przeprowadzenia następnego ataku na biedaka.

Spojrzał raz jeszcze i ze zdumieniem przekonał się, że... o mój Boże! Toż to Maddy stoi po kolana w strumieniu i... rzuca kamieniami w młodzika!

Właśnie otworzył usta, by do nich zawołać, gdy jeden z pocisków trafił rojalistę prosto w czoło i strącił go z konia niczym szmacianą lalkę. Zwierzę odskoczyło kilka kroków dalej, a młodzieniec leżał na poboczu jak nieżywy.

Tristan zeskoczył ze swego wierzchowca i podbiegł do brzegu rzeczki.

- Maddy! Co ty tam wyprawiasz, u wszystkich diabłów!?

- A jak ci się zdaje, głupcze? - odburknęła mu z taką wściekłością, że nie ośmielił się zadać więcej żadnego pytania w obawie, by następny kamień nie poleciał w jego stronę.

Wzruszył ramionami i zostawił wściekłą pannicę w spokoju. Podeszedłszy do pokonanego rojalisty, przyjrzał mu się uważnie. Ogromny guz już wyskoczył mu na czoło, tuż nad jedynym dobrym zdrowym okiem.

Tristan uniósł wzrok i zobaczył Maddy gramolącą się na brzeg i fukającą ze złości niczym kotka. Ociekała wodą i drżała konwulsyjnie.

Oczyrna rozszerzonymi z przerażenia przyglądała się leżącemu na ziemi mężczyźnie.

- Czy... czy on nie żyje? - zapytała szcękając zębami.

Rozdział szósty

Kristana kusiło, by powiedzieć dziewczynie, że naprawdę załatwiła młodego napastnika. Należała się jej porządna nauczka. Wystarczyło, by na moment spuścił ją z oczu, a już zrobiła coś tak przedziwnego i zaskakującego, że ogarniała go rozpacz. Jednak rzuciwszy jej szybkie spojrzenie przekonał się, iż jest tak zdenerwowana i nieszczęśliwa, że nie miał już serca jej dręczyć.

Sprawdził puls chłopaka i przekonał się, że jest wyraźny i miarowy.

- Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że przeżyje - mruknął.

- Ale dzięki tobie będzie miał dwoje oczu podbitych i podwójny ból głowy...

Nieco koloru powróciło na blade policzki dziewczyny.

- Cóż... cieszę się, że go nie zabiłam, chociaż szczerze mówiąc, należało mu się to.

- Potrzęsnęła głową.

- Szłam właśnie przez most, gdy ten łajdak omal mnie nie stratował. Dobrze mu tak! Wcale nie żałuję, że podbiłam mu drugie oko!

- Dlaczego?

- Dlaczego chciał mnie stratować? Tylko dlatego, że wziął mnie za wieśniaka.

Tristan zmarszczył brwi i spojrzał na nią ponuro.

- Nie pytałem, dlaczego chciał cię rozjechać, tylko dlaczego w ogóle szłaś tym mostem?

Maddy miała ochotę odparować, że po to, by dostać się na drugą stronę strumienia, lecz powstrzymała złośliwe słowa. To nie był czas na ironię. Przyglądała się dwóm koniom pasącym się na poboczu drogi. Dopiero teraz przypomniała sobie, że poprzedniego dnia Tristan wspominał coś o przehandlowaniu starej szkapy monsieur Forliego. Więc jednak nie zostawił jej na

pastwę losu. Ta pocieszająca myśl rozbudziła w niej nadzieję. Mimo wszystko nie było jeszcze tak źle.

- Czekam na wyjaśnienie, Maddy. Dlaczego spacerowałaś sobie mostkiem oddalonym o dobre pół mili od gospody, w której miałaś na mnie czekać?

- W głosie Tristana brzmiała ostra nutka, jakby z trudem hamował wściekłość. Maddy zrozumiała, że nie zadowoli go nic oprócz samej prawdy.

Objęła się ramionami, by powstrzymać wstrząsające ją dreszcze.

- Przestraszyłam się - przyznała niechętnie.

- Nigdzie cię nie było, a ta mała pokojówka powiedziała, że wyjechałaś.

- No i oczywiście pomyślałaś, że cię zostawiłem, czy tak? - Tristan podniósł się znad ciała młodzika i spojrzał na nią z góry.

- Dlaczego, Maddy? Dlaczego zawsze uważasz, że chcę ci zrobić krzywdę? Najpierw wzięłaś mnie za złodzieja i mordercę, potem za gwałciela niewinnych panienek, a teraz za łotra bez serca i sumienia, który zostawiłby cię w samym grodku rozdartego wojną kraju!

Dziewczyna zwiesiła głowę, zawstydzona, że tak szybko domyślił się wszystkiego. Właściwie miał rację - zachowała się głupio. Niezależnie od tego, czym Tristan zajmował się wcześniej, w stosunku do niej zawsze zachowywał się jak na dżentelmena przystało. Właściwie jedyną rzeczą, o jaką miała do niego pretensje, były zmienne nastroje.

- Jeżeli to moje pochodzenie aż tak cię niepokoi, zapewniam cię, że kobieta, która mnie wychowała, nauczyła mnie manier.

- Ależ to nie ma nic wspólnego z twoim... pechowym pochodzeniem - odrzekła pośpiesznie.

- Aha. Więc może to moja wcześniejsza profesja ci przeszkadza?

- Chodzi ci o to, że byłeś szpiegiem? Dobry Boże, ależ nie! Przez to jesteś tylko bardziej pociągający.

- Maddy zaczerwieniła się po czubki uszu, gdy tylko zdała sobie sprawę z tego, co przed chwilą powiedziała.

Na szczęście właśnie w tej chwili młody rojalista poruszył się niespokojnie i jęknął. Tristan znowu się nad nim pochylał i przyłożył mu palce do szyi. Dziewczyna była jednak pewna, że to tylko drobny przerywnik, i że za chwilę znowu wróci do swego przesłuchania.

No i co ona ma mu powiedzieć? Dopiero teraz zrozumiała motywy swego zachowania - o wiele łatwiej było jej pogodzić się z myślą, że jej kompan jest łajdakiem, niż z tym, że wzbudza w niej emocje, jakich nigdy dotąd nie wzbudzał w niej żaden inny mężczyzna. Tylko jak mu to powiedzieć?

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że za każdym razem, gdy on na nią patrzy, przechodzi ją dreszcz? A kiedy ją dotyka... Wielkie nieba...

- Przepraszam - powiedziała po prostu.

- Zazwyczaj nie wyciągam tak pochopnych wniosków. Ale jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak daleko od domu i wszystkiego, co znam. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z Anglikiem. Trochę mnie to przerasta.

- Uniosła wzrok i dzielnie napotkała jego spojrzenie.

- Ale już wzięłam się w garść. Obiecuję, że nigdy więcej w ciebie nie zwątpię. Od tej chwili będę ci całkowicie ufać.

Niespodziewany uśmiech rozjaśnił ponurą twarz Tristana.

- Tylko się nie zagalopuj - powiedział łagodnie. Zdjął z grzbietu bułanego wałacha koc i otulił ją starannie.

- Żadnemu mężczyźnie nie powinno się ufać, jeżeli jest się młodą, piękną kobietą.

„Młodą, piękną kobietą?” Ponieważ wczoraj powiedział jej tak otwarcie, co o niej myśli, to kłamstwo zabolalo ją bardziej, niż powinno.

- Ma pan doprawdy dziwny gust, monsieur! Wątpię, czy jakikolwiek inny mężczyzna zachwyciłby się chudą pannicą o chłopczej figurze i ciętym języku!

- Niech to wszyscy diabli, Maddy! Dobrze wiesz, że te słowa wypowiedziałem w złości. Jakiej reakcji się spodziewałaś po tym, jak nazwałaś mnie łajdakiem?

Prawie mu uwierzyła. Tyle było szczerości w jego głosie... A jednak...

Wyciągnął do niej dłoń.

- Zgoda? Nie kłómy się więcej, dobrze? Jeżeli oboje będziemy się starać, może resztę naszej podróży spędzimy we względnej przyjaźni.

Maddy poważnie potrząsnęła jego dłonią. W głosie Tristana brzmiał jakiś dziwny smutek, gdy mówił o ich wspólnej podróży. Zrozumiała, że gdy już

spłaci dług brata i odwiezie ją do ojca, zniknie na zawsze z jej życia. To było bardzo przygnębiające.

Nieco zbyt szybko wyrwała mu dłoń. Dziwne, ale chyba będzie za nim tęsknić. A tam... Kto by tęsknił za bolącym zębem?

Tristan usadowił nadal oszołomionego młodzika pod mostkiem, po czym złapał jego konia i przywiązał nieopodal. Maddy obserwowała to z niedowierzaniem.

- Przecież nie możemy go tak tu zostawić - zaproponowała. Tristan uniósł brwi.

- A co chcesz z nim zrobić? - zapytał kładąc nieprzytomnemu rojaliście szpadę na kolanach.

- Mam go przerzucić przez wierzchowca, przywiązać do siodła i zabrać z nami? Jego kompani niedługo się obudzą i nie minie wiele czasu, jak go tutaj znajdą.

- A jeżeli banda Korsykanina dotrze tu wcześniej?

- Wierz rai, Maddy, jeżeli armia generała Cambronne jest aż tak blisko, powinniśmy martwić się o własną skórę.

Tristan podszedł do dwóch koni pasących się w pobliżu. Przywołał dziewczynę skinięciem ręki i pomógł jej wsiąść na kasztanowatą klacz. Zauważył, że dosiada konia dziwnie nieporadnie.

Tristan znowu zmarszczył brwi.

- Niech to licha! Nie pomyślałem, by cię wprzód zapytać, czy potrafisz jeździć konno...

- Oczywiście, że potrafię. Jestem doskonałą amazonką - odparła z oburzeniem.

- Po prostu nie jestem przyzwyczajona do takiego rodzaju siodła.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Jak mogłem być aż tak głupi! Oczywiście, że zawsze jeździłaś w damskim siodle! Ale cóż, żeby utrzymać nasze przebranie, będziesz musiała tym razem pojechać na koniu okrakiem.

- Poradzę sobie - zapewniła go Maddy pewnym głosem, choć naprawdę była przerażona. Wkrótce okazało się, że radzi sobie doskonale. Choć dziwnie czuła się w męskim siodle, cieszyła się z dobrego wierzchowca.

Z rozbawieniem obserwowała, jak Tristan wdrapuje się na wałacha. Długa sutanna najwyraźniej bardzo mu w tym przeszkadzała. W końcu, gniewnym ruchem, podciągnął ją powyżej pasa.

- Widzę, że nasze role się odwróciły, ojcze Tristanie

- powiedziała, starając się opanować rozbawienie.

- To ty powinieneś postarać się o damskie siodło.

Ku jej zdziwieniu, Tristan tylko się uśmiechnął.

- Zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni, mój mały pomocniku.

Ruszył wolnym klusem, lecz zobaczywszy, że Maddy spokojnie siedzi w siodle, pchnął konia do wyciągniętego galopu. Wkrótce pędzili na północ w szaleńczym pędzie.

Dziewczyna instynktownie trzymała się konia kolanami i mocno ściskając wodze w dłoniach, jechała u boku Tristana z najpewniejszą siebie miną, na jaką było ją stać. Pomimo lekkiego niepokoju, czy da sobie radę, czuła się wspaniale. Zawsze uwielbiała szybkie galopady. Słońce jasno świeciło na bezchmurnym niebie, powietrze było czyste i rześkie, a pogoda wyjątkowo piękna jak na początek marca. Jej ubranie szybko schło na wietrze, więc bardzo prędko zdjęła z ramion koc i przerzuciła przez łęk siodła przed sobą.

Opadły z niej smutne wspomnienia zdrady dziadka i zmęczenie spowodowane jego długą chorobą. Wreszcie poczuła się pogodzona z losem. Przysięgła sobie, że od tej pory każdy nadchodzący dzień będzie traktować jako wyzwanie i przygodę w towarzystwie tego dziwnego Anglika. Już nigdy więcej nie będzie oglądać się za siebie. Nigdy więcej nie będzie rozpamiętywać przeszłości.

Jechali szybko i po niecałych dwóch godzinach dziewczyna zrozumiała, o czym mówił Tristan - jazda okrakiem na koniu wymagała pracy zupełnie innych mięśni niż jazda w damskim siodle. Bardzo szybko rozboleły ją mięśnie ud i pośladków, lecz zacisnęła zęby i nic nie powiedziała. Duma nie pozwoliła jej prosić Tristana o wytchnienie czy zwolnienie tempa jazdy; poczeka, aż on uzna za stosowne dać odpocząć koniom.

Słońce było już wysoko na niebie i zbliżało się południe, gdy przejechali przez wąski drewniany mostek i zatrzymali się nieopodal strumyka wesoło wijącego się między kamieniami. Maddy szybko zeskoczyła z konia i podbiegła parę kroków w górę strumienia, gdzie woda była głębsza.

Kłękawszy na brzegu, zanurzyła dłonie w wodę, po czym ochlapała zarumienioną twarz.

Tristan napił konie i wyciągnawszy się na trawie, założył ręce za głowę. Przyglądał się dziewczynie z lekkim uśmiechem na ustach. Na obolałe mięśnie najlepiej zrobiłby jej masaż. Myśl była kusząca, lecz Maddy z pewnością oburzyłaby się słysząc jego bezczelną propozycję. Cóż... będzie musiała jakoś przeżyć ból w każdym stawie i ścięgnie.

Mieli na głowie większe problemy.

- Zostało nam mało pieniędzy - poinformował ją spokojnie, gdy usiadła obok niego na brzegu strumienia.

- Twój ojciec dał mi sporą sumkę na pokrycie kosztów podróży, lecz sądził, że pojedziemy dyliżansem. Nie wiedział, że będę zmuszony do kupna trzech koni; teraz dwóch i jednego na drogę z Calais do Lyonu.

- Spojrzał uważnie na swą towarzyszkę, lecz nic nie potrafił wyczytać z wyrazu jej twarzy.

- Kilka franków, jakie dostałem za powozik i konia, nie pokryły nawet połowy ceny naszych wierzchowców. To raczej zwierzęta, ale pomyślałem, że im szybciej opuścimy Francję, tym lepiej. Cena nie gra roli.

Maddy kiwnęła głową.

- Masz rację. Ale powiedz, czy starczy nam pieniędzy na choć jeden przyzwoity posiłek? Mam już dość chleba i sera.

- Wystarczy nam na więcej niż tylko jeden posiłek. Ja też nie mogę już patrzeć na ser. Będziemy tylko musieli zaoszczędzić na noclegach.

- Czy to znaczy, że mamy spać w stodołach? - zapytała, najwyraźniej zupełnie się tym nie przejmując.

- W stodołach, stajniach albo nawet w stogach siana. Zobaczymy...

Położyła się na trawie i zaczęła przyglądać się obłokom.

- Ja głosuję za stogami. Zawsze marzyłam o tym, by spać pod gołym niebem. To może być moja jedyna szansa.

Tristan spojrział na nią z niedowierzaniem. Wyciągnął dłoń i zmierzwił jej gęste loki.

- Jedno muszę ci przyznać, Maddy Harcourt. Niełatwo poddajesz się złemu losowi.

Po raz pierwszy zrozumiał, że jego stateczny i bardzo poprawny starszy brat może nie docenić żywiołowej istotki, którą Caleb Harcourt przeznaczył mu na żonę.

Reszta dnia minęła bardzo szybko. Najpierw dziewczyna jechała za nim, a kiedy droga stała się zbyt piaszczysta, dołączyła do Tristana i jechała dalej obok niego, by uniknąć tumanu kurzu. Niewiele się odzywali, lecz cisza panująca między nimi nie była nieprzyjemna.

Zapadał właśnie zmierzch, gdy dotarli do małego zajazdu stojącego w pobliżu kamiennego młyna.

- Wygląda obiecująco - mruknął Tristan zatrzymując konia.

- Zjemy tu kolację.

Maddy ściągnęła wodze małej klaczy.

- Jak to kiedyś powiedział pewien poeta, „jestem bardziej głodna, niż sfora wygłodzonych wilków”. Ostrzegam, że nie ręcę za swoje zachowanie, jeżeli moja kolacja znowu wyląduje na podłodze tylko dlatego, że jakaś barmanka pomyli cię z twoim szczodrym bratem bliźniakiem.

Tristan zarumienił się po uszy i zaklął cicho. Odkąd skończył siedemnaście lat, nie zarumienił się z powodu żadnej kobiety. Co też ta Maddy Harcourt sobie myśli!?

- Jak już powiedziałem - dodał ignorując jej złośliwą uwagę - zjemy tu kolację, a potem ruszymy dalej. Poszukamy jakiegoś odpowiedniego miejsca na nocleg. Obawiam się jednak, że będzie to musiała być jakaś stodoła lub obora, gdyż stogi siana nie są najlepszym rozwiązaniem o tej porze roku.

Maddy nie odezwała się ani słowem. Przyglądała się ogromnemu kołu młyńskiemu obracającemu się miarowo w wodzie. Nad kołem wisiała ogromna drewniana platforma, na której stały worki z ziarnem.

- Moglibyśmy spać tutaj - zaproponowała wskazując na platformę.

- Wykapiemy się w stawie za młynem, a na tych workach będzie się nam doskonale spało.

- Spojrzała na niebo.

- Słońce tak pięknie zachodzi... Na pewno i gwiazdy będą dziś wyjątkowo dobrze widoczne.

- Odwróciła się do Tristana zarumieniona z podniecenia.

- Proszę, zgódź się! Taka noc spędzona pod gwiazdami na zawsze zostanie mi w pamięci...

Tristan też był pewien, że na zawsze zapamięta noc spędzoną pod rozgwieżdżonym niebem w towarzystwie pannicy, która rozpalała mu serce samym uśmiechem. Tylko tego potrzeba mu było do szczęścia! Nie chciał mieć podobnych wspomnień z żoną brata w roli głównej!

- Proszę, Tristan! Proszę...

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu bez poprzedzania go sarkastycznym „ojcze”. Efekt był piorunujący. W jednej chwili Tristan zapomniał, że w języku angielskim istnieje słowo „nie”.

Maddy siedziała na workach z ziarnem, oparta plecami o ścianę młyna. Lekki wietrzyk mierzwił jej włosy i owiewał rozpalone policzki. Po raz pierwszy od wielu dni najadła się do syta. Potem wykąpała się w stawie za młynem. Te dwa luksusy sprawiły, że poczuła się o wiele lepiej.

Ciemnogrnatowe niebo usiane były gwiazdami błyszczącymi niczym brylanty, a ogromny sierp księżycy świecił nad drzewami rozjaśniając mroki nocy. Dziewczyna wyciągnęła nogi przed siebie i poruszyła gołymi stopami w wodzie. Tuż za nią, po ścianie piął się bluszcz i pachniał oszałamiająco.

Turkotało młyńskie koło i słychać był ciche chlupotanie wody w miejscu, gdzie w tej chwili kąpał się Tristan.

Maddy zamknęła oczy i wyobraziła sobie jego muskularne ciało zanurzone w krystalicznie czystej wodzie. Nagi, wyglądał zapewne jak rzeźba spartańskiego wojownika, którą kiedyś, dawno temu, widziała w muzeum w Lyonie. Ta myśl wydała jej się dziwnie podniecająca i dziewczyna zarumieniła się po uszy.

- To była najzimniejsza kąpiel w moim życiu - wyburczał Tristan gramoląc się z wody na platformę. Wytarłszy się pobieżnie kocem, usiadł na workach obok dziewczyny. Podciągnął kolana do piersi i objął nogi ramionami. Przez długą chwilę przyglądał się księżycowi. Z jakiegoś powodu, którego Maddy nie mogła zrozumieć - bardzo nie chciał spać pod gołym niebem. Najwyraźniej nadal mu się ten pomysł nie podobał, gdyż jego śniada twarz ściągnięta była w ponurym grymasie.

- Zaraz się rozgrzejesz, tak jak ja - usiłowała go pocieszyć.

- Czyż kilka chwil w zimnej wodzie nie jest wartych tego, by znowu być czystym?

Tristan zamruczał coś niezrozumiale, ale Maddy nie poddawała się.

- Wietrzyk jest taki ciepły i łagodny - spróbowała jeszcze raz.

- Włosy już mi wyschły.

Przyglądała się jego włosom. Były ciemne i gęste. Zmoczone wiły się niczym włosy kobiety i spadały na jego muskularne ramiona. To tylko jeszcze bardziej upodabniało go do pirata.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym, jak bardzo zszokowana byłaby jej dawna guwernantka, gdyby wiedziała, że mademoiselle Madelaine spędza noc pod gołym niebem w towarzystwie mężczyzny poznanego zaledwie przed kilkoma dniami. Ale to nie miało teraz najmniejszego znaczenia.

Maddy nagle poczuła się jak ptak, który uciekł z klatki.

Gdzieś w głębi piersi czuła tęsknotę za szerokim światem, którego nigdy nie poznała, a który teraz stał przed nią otworem. Noc spędzona pod gwiazdami to dopiero początek. Dla Tristana najwyraźniej nie było to nic niezwykłego, lecz dla niej była to zapierająca dech w piersiach przygoda.

Tristan obserwował grę uczuć na twarzy dziewczyny i zastanawiał się, co też takiego płacze się po jej główce, że uśmiecha się do siebie niczym wodna nimfa.

- O czym myślisz? - zapytał nagle powodowany impulsem. Maddy oparła się na łokciach i zadarłszy głowę do góry, spojrzała w gwiazdy.

- Myślę sobie, że to najpiękniejsza noc, jaką kiedykolwiek widziałam. Już nigdy żadna inna nie będzie taka piękna. Wszystko jest dziś magiczne.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. W jej bursztynowych źrenicach palił się jakiś cudowny, tajemniczy blask.

- Przestań - burknął Tristan. - Przestań natychmiast...

- Co mam przestać? - zapytała zdziwiona.

- Przestań wyglądać jak kobieta, która tylko marzy o tym, by ją pocałować!

Poniewczasie zdał sobie sprawę ze swego błędu. Spodziewał się, że Maddy oburzy się na niego i zaprzeczy! Może nawet go spoliczkuje, jak każda dobrze wychowana dama zrobiłaby na jej miejscu. Maddy nie zrobiła

nic podobnego. Przypatrywała mu się zamyślona, jak gdyby na poważnie rozważając jego słowa.

- Nie pomyślałam o tym, gdyż nie mam żadnego doświadczenia z mężczyznami - odezwała się wreszcie.

- Ale skoro o tym wspomniałeś... Cóż mogłoby być bardziej romantycznego niż doświadczenie pierwszego pocałunku w tak cudowną noc?

Nachyliła się ku niemu z wyrazem oczekiwania jasno wymalowanym na twarzy. Tristan cofnął się gwałtownie i przeklął własną głupotę. Że też musiał palnąć takie głupstwo i podjudzić ciekawość dziewczyny!

- Noc może i jest cudowna, ale ja nie - powiedział sucho.

- Jestem ostatnim mężczyzną na tym świecie, z którym powinnaś dzielić swój pierwszy pocałunek, Maddy.

- Dlaczego?

- Bo robiłem wszystkie haniebne rzeczy, o które mnie oskarżałaś... i jeszcze wiele innych, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Zakładam, że również całowałeś kobiety. - W świetle księżycy nie mógł nie zauważyć żartobliwych błysków w jej oczach. - Zakładam też, że masz duże doświadczenie z kobietami, co według mnie jest atutem... Jesteś idealny... Uważam, że to ty powinieneś mnie pocałować, żebym potem mogła porównywać pocałunki innych, mniej doświadczonych, z pocałunkami mistrza...

Przysunęła się do niego jeszcze bardziej, tak że teraz siedzieli ramię przy ramieniu. Czuł delikatny zapach jej ciała i miękką dłoń spoczywającą na jego ramieniu. Zdawać by się mogło, że wypił cały galon wina, a nie marne dwie szklanki do kolacji.

- Igrasz się z ogniem, moja pani - ostrzegł ją chrapliwie, wycofując się, aż plecami dotknął kamiennej ściany.

Zignorowała jego słowa i podsunęła się bliżej.

- Czy powinnam zamknąć oczy, kiedy mnie pocałujesz? - zapytała patrząc na niego spod zmrużonych powiek.

- Nie ma ustalonych reguł - zamruczał cicho Tristan przyglądając się jej miękkim, pełnym wargom. Aż do tej chwili nie zauważył, że jej dolna warga jest nieco pełniejsza niż górna. Zwilżył usta czubkiem języka i raz jeszcze

powiedział sobie, że nie powinien tego robić. To czyste szaleństwo. Maddy ma zostać żoną jego brata. Jeżeli dotknie ją choć jednym palcem, zdradzi zaufanie Gartha - zdradzi wszystko, co sam uważa za święte.

- Czyżby to była kwestia własnych upodobań? - zamruczała dziewczyna na wpół do siebie.

- Myślę, że ja zamknę oczy.

To powiedziawszy zacisnęła powieki i pochyliła się ku niemu. Tristan instynktownie złapał ją, zanim straciła równowagę. To był błąd. W momencie gdy poczuł ją w swoich ramionach, stracił poczucie rzeczywistości.

- Czy pocałujesz mnie na dobranoc, Tristanie? - zapytała Maddy gardłowym szeptem, nadal nie otwierając oczu.

Tristan przeknął z trudem.

- Tak, chyba tak. Choć obawiam się, że oboje będziemy tego żałować.

Ale nie było już odwrotu. Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. Mógł ją albo pocałować, albo udusić. I jak wytłumaczyłby morderstwo Calebowi Harcourtowi, a tym bardziej Garthowi, który mu zaufał?

Z cichym pomrukiem nachylił się nad nią i pocałował rozchylone usta dziewczyny.

Ten pocałunek spełnił wszystkie oczekiwania Maddy... Właściwie nawet je przewyższył. Był natarczywy. Bardziej wygłodniały, niż czuły... lecz była w nim też ogromna samotność...

Serce jej pękło. Zupełnie jak gdyby całe życie czekała na tego mężczyznę i tę chwilę... i odpowiedziała mu całym ciałem. Przytuliła się do niego mocno, ramionami objęła jego szyję i poddała się radosnemu upojeniu.

I nagle wszystko się skończyło. Z dziwnym, stłumionym pomrukiem Tristan oderwał ją od siebie. Pozbawiona oparcia, dziewczyna opadła na plecy i leżała na workach ziarna wpatrując się w gwiazdy.

- Mon Dieu! - wydyszała patrząc na niego w oszołomieniu.

- Nie miałam pojęcia, że to będzie takie... takie...

Tristan patrzył na nią równie zdumionym wzrokiem.

- Wiem - powiedział tylko. Potrząsnął głową, jak gdyby chcąc rozjaśnić myśli.

- Jestem równie zaskoczony, jak i ty.

Jak człowiek w głębokim transie, wstał i zaczął ustawiać worki ziarna dokoła leżącej dziewczyny, tworząc coś na kształt barykady.

- Co ty wyprawiasz, na miłość boską? - Maddy podniosła się na łokciach i obserwowała jego poczynania.

- Przygotowuję nasze posłanie.

- Dysząc ciężko z wysiłku, Tristan postawił trzeci worek obok dwóch poprzednich. - Jeżeli mnie pamięć nie myli, to się nazywa barykadowanie. W ten sposób amerykańscy koloniści zabezpieczali swe niewinne córki przed obcymi. Możesz sobie napytać niezłej biedy, jeżeli nadal będziesz taka natarczywa.

- Sądysz, że jestem natarczywa? - zapytała Maddy zaintrygowana pomysłem, że może być tragiczną femme fatale.

Za odpowiedź musiał jej wystarczyć następny pomruk. Potem Tristan rozwinął koc i okrył nim dziewczynę.

SK

Rozdział siódmy

Jeszcze długo Maddy leżała rozbudzona, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w nocne niebo. Cały czas od nowa przeżywała pocałunek z Tristanem. Przypominała sobie chwilę, kiedy jego pewne, ciepłe wargi spoczęły na jej ustach z namiętnością i natarczywością, której się po nim nie spodziewała.

Powtarzała sobie, że pocałunek Tristana wywarł na niej takie wrażenie tylko dlatego, że po prostu był jej pierwszym pocałunkiem, ale nigdy nie potrafiła kłamać. Nigdy nie potrafiła oszukiwać samej siebie. Prawda była taka, że ziemia pod nią zadrżała, a niebo się rozstało z tego prostego powodu, że to on, Tristan, ją pocałował.

Najwyraźniej był bardzo doświadczony i sporo wiedział o całowaniu - i o wszystkim, co może się zdarzyć między kobietą a mężczyzną. To ją w nim pociągało... Ale czuła, że łączy ich coś znacznie więcej. Kiedy ich wargi połączyły się w namiętym pocałunku, odniosła wrażenie, że to ich dusze się zespoliły.

Ostrzegł ją, że oboje tego pożałują... Jakaż była głupia, że go nie posłuchała! Jakaż była dziecinna i głupia! Nic dziwnego, że oskarżył ją o igranie z ogniem.

Cóż, będzie musiała zapłacić cenę za swój błąd. W ciągu tej jednej, porywającej chwili pieszczoty Maddy zrozumiała niebezpieczną prawdę: że zakochała się w tym upartym, nieznośnym Angliku, który pociągał ją od pierwszego wejrzenia.

I nawet nie wiedziała dlaczego - poza tym, że jest jedynym mężczyzną, na którego widok serce bije jej szybciej, którego dotyk wywołuje w niej dreszcze...

Westchnęła. Dlaczego musiała się zakochać akurat w nim, najbardziej nieodpowiednim kandydacie do serca młodej dziewczyny?

Chyba że... przecież i on zdawał się wstrząśnięty ich pocałunkiem; wzniosł nawet między nimi barykadę z worków ziarna, gdyż... najwyraźniej pociągała go.

Może... Może nie był aż tak nieczuły, jak udawał. Może i on był zdolny do odczuwania miłości...?

Westchnęła. Ciche, rozziewające westchnienia dochodzące zza muru z worków dały znać Tristanowi, że Maddy ma równie wielkie problemy z zaśnieciem, co i on. Prawdopodobnie z tego samego powodu.

Przeklęty pocałunek.

Co go opętało, żeby ją całować? I dlaczego pocałunek z kościstą Maddy podniecił go niczym pierwszy całus chłopaka, który dopiero co odkrył, że chłopcy różnią się od dziewczynek? Może to efekt „zakazanego owocu”? Nie... zbyt często czerpał z tego źródła.

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Pożąda dziewczyny, która wkrótce ma zostać żoną jego brata. Pożąda jej gorąco i każdą komórką ciała. Najgorsze zaś jest to, że jego pożądanie nie ogranicza się tylko do jej smukłego ciała...

Miało coś wspólnego z jej podziwu godną szczerością i tym, że stale go zaskakiwała. Właściwie, gdyby to w ogóle było możliwe, można by przypuszczać, że się w niej zakochał. A sądząc po jej namiętnym pocałunku, dziewczyna nie pozostała mu dłużna. Czy jest możliwe, by czuła to samo? Założyłby się o ostatni grosz, że ktoś tak szczery jak Maddy Harcourt nie byłby w stanie odpowiedzieć tak namiętnie, gdyby uczucie nie było szczere.

I dlatego już nigdy więcej nie może popełnić tego błędu... nie może jej już więcej całować ani dotykać. Nie mogą już więcej spać w stodołach ani pod otwartym niebem... Nie będą już więcej dzielić wspomnień ani sekretów. Będą gnać konie, dopóki nie dojadą do Calais, i nawet gdyby musiał sprzedać oba swoje pistolety i zegarek starego hrabiego, od tej pory będą spędzać noce w zajazdach. W osobnych pokojach.

Honor nakazywał mu dochować słowa Garthowi i ojcu Bertrandowi, i przywieźć córkę Caleba Harcourta równie niewinną, jak ją zastał.

Z nieco uspokojonym sumieniem wstał po cichu, zszedł po drabinie na ziemię i poszedł raz jeszcze wykapać się w lodowatym stawie. Maddy obudziła się przed świtem z mocnym postanowieniem, że od tej pory będzie się zachowywać jak dorosła i odpowiedzialna osoba. Może to zatrze wrażenie

jej wcześniejszej naiwności? Do czasu aż słońce wyszło nad horyzont, leżała drżąc z zimna i zastanawiając się, co też ma powiedzieć Tristanowi, by zatrzeć zakłopotanie po ich wczorajszym pocałunku.

Równie dobrze mogła zaoszczędzić sobie trudu. Tristan nie dał jej szansy na powiedzenie czegokolwiek. Prawdę mówiąc, przez następne trzy dni dokładał wszelkich starań, by trzymać ją na dystans... I Maddy w końcu zrozumiała - czuł do niej obrzydzenie po tym, że właściwie wymusiła na nim pocałunek.

W ciągu dnia był uprzejmy, lecz traktował ją z dystansem; a w nocy dokładał wszelkich starań, by spał w osobnych pokojach po przeciwnych stronach przydrożnych zajazdów, pomimo że wcześniej twierdził, iż pieniędzy starczy im zaledwie na posiłki. Dopiero gdy żartobliwie zapytała go, skąd bierze tyle pieniędzy, dowiedziała się, że sprzedał swój ozdobny zegarek.

Chciało jej się płakać i krzyczeć z rozpacz. Czy on naprawdę sądzi, że będzie mu się dalej narzucać? A może boisz się, że przy pierwszej możliwej okazji rzuci się na niego? Nigdy w życiu nie czuła się bardziej upokorzona.

Rano czwartego dnia miała już tak bardzo dość jego nużącej uprzejmości, że wbrew danej sobie obietnicy zaczęła się zastanawiać, jak też go sprowokować. Co może go najbardziej zirytować? Co sprawi, że zacznie zachowywać się jak dawniej?

- Czy ci się to podoba, czy nie, będziesz musiał mi pomóc wsiąść na konia - powiedziała, kiedy zatrzymali się nieopodal wąskiego strumyczka, by napoić wierzchowce.

- Po tylu dniach jazdy nogi odmawiają mi posłuszeństwa, nie dam rady sama wsiąść.

- Ani mi się śni - warknął odwracając się do niej plecami, ale gdy stała nieugięcie obok zwierzęcia z ponurą miną i nie wsiadała, poddał się. Składając dłonie, by miała o co się oprzeć, dosłownie wyrzucił ją w powietrze - coś, na co Maddy była zupełnie nie przygotowana. Nie trafiła na siodło i spadła ponownie w jego ramiona.

- Mówiłam przecież, że bolą mnie wszystkie mięśnie - powiedziała śmiejąc się z jego miny.

Ale Tristan nie widział w tym nic zabawnego. Przez bardzo długą chwilę po prostu trzymał ją w ramionach, a w jego oczach odbijała się cała gama uczuć. Serce w dziewczynie zamarło.

- Tristan, co się stało? - zapytała ze zdumieniem.

- Niech to diabli, Maddy! - wybuchnął marszcząc brwi.

- Ile razy muszę ci to powtarzać? Nie prowokuj mnie! Robię co w mojej mocy, by zachowywać się w stosunku do ciebie jak na dzentelmena przystało, ale wierz mi, nie jest to łatwe. Lepiej nie kuś mnie tak...

- To powiedziawszy postawił ją na ziemi i odszedł pospiesznie do swego konia. I Maddy musiała dosiąść wierzchowca o własnych, mocno nadwężonych siłach.

Przez następne dwie godziny jechała obok niego nie mogąc pozbyć się zdumienia. Więc jednak dobrze odczytała jego reakcję na pocałunek. On też czuł to coś, co ich do siebie przyciągało, lecz był zbyt honorowy, by się zdeklarować w tak kompromitujących okolicznościach.

Czyżby zamierzał starać się o jej rękę, gdy już bezpiecznie dojadą do Londynu? Zgodnie ze zwyczajem? Zadrzała z niecierpliwości. Myśl o tym, że Tristan mógłby ją adorować, dosłownie wyparła jej dech z piersi.

W jasnym słońcu, przy bezchmurnym niebie jechali do Paryża przez piękną okolicę winnic Burgundii, jednak Maddy nie widziała piękna otaczającego ją świata. Pograżona była w rozmyślaniach o chwili, gdy Tristan padnie przed nią na kolana i powie, że ma już zgodę jej ojca i prosi ją o rękę.

Zmarszczyła brwi. Jak też mężczyzna, który dopiero co przestał być szpiegiem, może utrzymać żonę i rodzinę? Przyglądała się jego dumnie uniesionej głowie i sztywno wyprostowanym plecami. Taki mężczyzna na pewno nie pozwoli, by teść go utrzymywał, niezależnie od tego, jak bardzo byłby on bogaty.

Czy jego brat, hrabia, da mu jeden z majątków, gdy dowie się o zaręczynach? Oczywiście. To było to. Najwyraźniej łączyło ich szczere uczucie, mimo iż Tristan był urodzony z nieprawego łoża. Szlachecka rodzina, taka jak Randowie, na pewno posiada sporo majątków ziemskich, gdzie można by hodować konie i owce... A Tristan najwyraźniej lubił owce.

Zauważyła błysk w jego oczach, gdy spoglądał na stada wełnistych zwierzątek, kiedy mijali je pasące się w pobliżu gościńca.

Maddy poczuła dziki przypływ szczęścia. Wreszcie znalazła mężczyznę, z którym chce spędzić resztę swoich dni, a on czuł to samo w stosunku do niej. Właściwie nawet jej nie obchodziło, gdzie będą mieszkać. Życie z Tristanem nigdy nie będzie nudne.

Kropla deszczu spadła na jej policzek. Potem następna... i jeszcze jedna. Maddy tak była pogrążona w radosnych rozmyślaniach, że nawet nie zauważyła ciemnych chmur zbierających się nad horyzontem. Nadchodziła jedna z gwałtownych wiosennych burz, z których słyszeła Burgundia.

- Musimy znaleźć jakieś schronienie - zawołał Tristan przekrzykując szum wiatru.

Oslaniając oczy przed siekącym deszczem, Maddy wypatrywała jakiejś stodoły lub obory, w której mogliby schronić się przed ulewą, lecz nic podobnego nie było widać. Kilkadziesiąt metrów na lewo, na zboczu porośniętego winoroślą wzgórza, zobaczyła mały szałas, w którym zazwyczaj mieszkają robotnicy rolni w czasie zbiorów. Mała chatka w kształcie ula nie miała okien i wyglądało, że ledwo się w niej zmieszczą - ale przynajmniej ukryją się przed deszczem, nawet jeżeli konie zmokną.

- Tam! - wskazała i nie czekając na niego skierowała kłacz w stronę kamiennej chatynki.

Tristan odwrócił się w stronę, którą wskazywała.

- Chyba żartujesz! - Omal się nie zakrztusił.

- Przecież tu nie zmieściłaby się nawet para królików! Będzie tam ciemniej niż w grobie...

Maddy uśmiechała się pod nosem. Czyżby Tristan obawiał się, że gdy znajdą się w tak małej przestrzeni, ogarnie go niepowstrzymana ochota, by znowu ją pocałować? Jak na zdeklarowanego rozpustnika, wykazywał zadziwiająco dużo poczucia przyzwoitości.

- Nie ma co sprzeczać się o szczegóły - mruknęła i po spiesznie zeskoczyła z konia. Przywiązała wodze kłaczy do najbliższej tyczki podtrzymującej winorośl i wślizgnęła się do szałas.

Kiedy Tristan nie poszedł w jej ślady, wyjrzała i zobaczyła że stoi na deszczu z zaciętą miną.

- Nie bądź niemądry - zawołała ze zniecierpliwieniem.

- Jeżeli tylko się schylisz, jest tu dostatecznie dużo miejsca dla nas dwojga.

Tristan jęknął. Nic na świecie nie było w stanie zmusić go do wpełznięcia do małego kamiennego szałasiku tylko po to, by uniknąć deszczu.

- Zaczekam na dworze - powiedział z uporem.

- To tylko wiosenna burza... Na pewno wkrótce minie.

- Taak... Zanim ty się przeziębisz, czy tylko trochę później?

- Maddy przyglądała mu się spod zmarszczonych brwi.

- Nie myśl, że nie doceniam twojej troski o moją reputację. Twoje zachowanie przynosi ci zaszczyt, ale jak sądzisz, jak ja się będę czuła, gdy z mojego powodu zaziębisz się na śmierć?

Tristan przyglądał się jej z otwartymi ze zdumienia ustami. Co też to głupie dziewczuszyko znowu wygaduje? I co jego paniczny lęk przed zamkniętymi przestrzeniami ma wspólnego z jej dobrym imieniem? Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież Maddy nie ma pojęcia o jego strachu przed małymi ciemnymi komórkami.

Niech to wszyscy diabli! Ale cóż... równie dobrze może się jej przyznać do swej słabości. Tylko co będzie, jeżeli Maddy uzna go za odrażającego tchórza? Lepsze to niż wyraz

uwielbienia, który pojawia się w jej oczach za każdym razem, gdy tylko na niego spogląda.

Twój honor nie ma tu nic do rzeczy. Nie zmusiłbym się do siedzenia w tym szałasie, nawet gdyby moje życie od tego zleżało - przyznał ponuro.

- Od dzieciństwa boję się zamkniętych przestrzeni... szczególnie małych, ciemnych pomieszczeń bez okien. Nasza droga przez traboules wystarczająco mi dopiekła, gdybym musiał jeszcze tu włązić, chyba bym oszalał.

No. To wszystko. Teraz niech panna Harcourt myśli sobie o nim, co chce. Do tej pory tylko Garth i Carolyn znali jego sekret.

Dziewczyna przyglądała mu się poprzez strugi deszczu.

- Słyszałam o podobnych przypadkach - rzekła spokojnie.

- To wcale nie jest takie niezwykle, jak ci się zapewne wydaje. Ale dlaczego nie powiedziałeś mi o tym, zanim weszliśmy do traboules? Oszczędziłoby nam to wielu nieporozumień.

- Zmarszczyła brwi.

- Nic nie mów. Już zgadłam. Twoja męska duma ci na to nie pozwoliła. Czasem zastanawiam się, co też dobremu Bogu przyszło do głowy, by powierzyć władzę nad światem rodzajowi ludzkiemu. Tym bardziej że mężczyźni są tak dziecinni i naiwni.

W ciągu paru minut Maddy Harcourt zredukowała jego odwieczny lęk do czegoś „co wcale nie jest takie znowu niezwykle”. Można by pomyśleć, że Tristan przyznał się do drobnego skaleczenia, a nie do tchórzostwa, które gnębiło go od dzieciństwa. Niech to diabli! Spokojna akceptacja dziewczyny była nieomal tak samo żenująca, jak jego strach.

Poruszył się niespokojnie patrząc, jak Maddy ociera z twarzy krople deszczu. Woda gromadziła się tuż nad wejściem do szałasu i drobnymi kropelkami spadała na jej włosy i czoło.

- Mógłbyś przynajmniej wziąć koc i narzucić go na głowę - dodała.

- Do pełnego szczęścia w tej wyprawie brakuje nam już tylko twojego zaziębienia.

Niech ją diabli! Najpierw sprawiła, że poczuł się jak ostatni głupiec, a teraz traktuje go jak dziecko.

- Ja się nigdy nie zaziębiam - odparł sztywno.

- Jestem odporny na takie głupstwa. Nigdy w życiu nie byłem chory!

Mimo wszystko naciągnął jednak kaptur sutanny na głowę i usiadł opierając się plecami o bok szałasu od strony zasłoniętej od wiatru. Jakoś przeczeka tę burzę.

- Pamiętasz może, co takiego wydarzyło się w twoim dzieciństwie, że zaczęłaś bać się ciemności i małych pomieszczeń? - zapytała Maddy wystawiając znowu głowę przez drzwi chatynki. Wiatr nieco ucichł, a i deszcz już słabł.

Tristan jeszcze dalej nasunął kaptur. Oczywiście, że pamięta. Ale tego jeszcze nigdy nikomu nie opowiedział, nawet rodzeństwu.

- Czasem opowiadanie o takim przeżyciu pomaga w opanowaniu strachu - dodała najwyraźniej zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że prosi go o odsłonięcie najciemniejszego sekretu jego dzieciństwa.

A jeżeli Maddy ma rację? Jeżeli opowiadanie o przeszłości spowoduje że, straci ona wpływ na jego przyszłość? Tristan nie był tego pewien, wiedział

jednak, że prędzej, czy później Maddy i tak wyciągnie z niego ów haniebny sekret.

- Moja matka była prostytutką w jednym z najszlachetniejszych burdeli w Londynie - powiedział wreszcie i usłyszał, jak dziewczyna głęboko wciąga powietrze. I dobrze jej tak, sama chciała wiedzieć, pomyślał.

- Burdelmama pozwoliła jej zatrzymać mnie pod warunkiem, że nie będę jej przeszkadzać w pracy. Tak więc kiedy tylko miała klientów, co zdarzało się prawie co noc, zamykała mnie w szafie w korytarzu. Było tam bardzo ciasno i ciemno, a ja miałem więcej wyobraźni niż rozumu. Często musiałem gryźć palce, by nie krzyknąć ze strachu.

Maddy wyszła na kolanach z szałasów i usiadła obok niego na deszczu. Oczywiście miała szeroko rozwarte.

- Jak ona mogła?! Jak mogła zrobić ci coś takiego, skoro wiedziała, że boisz się ciemności?!

- Nie wiedziała - odrzekł spokojnie Tristan.

- Niby dlaczego miałem jej powiedzieć? Nawet mając sześć lat rozumiałem, że nie miała innego wyjścia.

Maddy siedziała obok niego z ciężkim sercem. Oczywiście wyobraźni widziała małego Tristana kulącego się w ciemnościach szafy, podczas gdy jego matka sprzedawała się obcym mężczyznom.

Tristan nie patrzył jej w oczy. Spoglądał daleko przed siebie, gdzie na horyzoncie słońce przebijało się już przez chmury.

- Potem, pewnej nocy pijany woźnica dyliżansu rozwiązał moje problemy z ciemną szafą - opowiadał dalej Tristan. Mówił tak cicho, że ledwie było go słychać.

- Przejechał ją w dzień bardzo podobny do dzisiejszego. Choć trzeba przyznać, że przy tak gęsto padającym deszczu i wietrze wiejącym w oczy mógł jej nawet nie zauważyć. Była mała i drobna. Z łatwością mógł pomyśleć, że to tylko kupka łachmanów, którą ktoś zostawił na ulicy.

I rozjechał ją nawet się nie zatrzymując.

- Och, Tristanie, cóż za okropne przeżycie dla sześciolatniego dziecka! - Maddy wsunęła drobną dłoń w jego rękę i uściśniła mocno.

- I to wtedy hrabina Rand wzięła cię do siebie?

- Tak.

- Spojrzał na nią i uśmiechnął się niewesoło.

- Burdelmama wiedziała, kto jest moim ojcem, więc odesłała mnie do niego pod eskortą jednego ze swoich służących. Stary hrabia oczywiście się mnie wyparł, lecz hrabina przygarnęła mnie do siebie, ucałowała i pocieszyła. Przyjęła mnie jak własne dziecko i od tej pory zostałem lordem Tristanem. Po mojej biednej matce i wcześniejszym życiu nie zostało mi żadne wspomnienie oprócz tego przekłętą strachu.

Maddy przyglądała mu się uważnie.

- Nie powinienesz myśleć o tym w kategoriach tchórzostwa! Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam! Na samą myśl o tym, co przeszedłeś, chce mi się płakać! - To powiedziawszy, Maddy oparła mu głowę na ramieniu i rozplakała się rzewnie.

Tristan nie wiedział, jak ma zareagować. Pomylił się sądząc, że Maddy będzie zgorszona jego opowieścią. Najwyraźniej jego pochodzenie i przeszłość nie miały dla niej żadnego znaczenia. I, jeżeli to w ogóle możliwe, Maddy patrzyła na niego z jeszcze większym uwielbieniem. To było nie do zniesienia i mogło tylko sprawić kłopoty. Tristan wiedział, że powinien jak najszybciej przekonać dziewczynę, iż nie jest żadnym tragicznym bohaterem, tylko zwykłym bękartem.

Mylił się też co do jeszcze jednej rzeczy - nie był wcale aż tak odporny na zaziębienia, jak mu się zdawało. Przez następne dwa dni na przemian pocił się z gorączki i drżał ogarnięty dreszczami. Co prawda Maddy nigdy nie powiedziała mu „a nie mówiłam”, lecz było to jasno wypisane na jej twarzy, kiedy tylko na niego patrzyła.

Raz nawet ośmieliła się zaproponować, by spędził parę dni w łóżku w zajeździe, gdzie nocowali, lecz to tylko wzmogło postanowienie Tristana, by jak najszybciej dotrzeć do Paryża. Kiedy wieczorem dziewiętnastego maja wjechali wreszcie do miasta, był słaby jak niemowlę. Gorzej nawet - zaczął okropnie kasłać, a przy tym od jazdy konnej bolały go wszystkie mięśnie.

Paryż był dziwnie cichy - zbyt cichy. Tristan był przyzwyczajony do nieustannego gwaru na ulicach stolicy i ta cisza bardzo go niepokoiła. Kto by przypuszczał, że Napoleon wraz z wojskami maszerował w stronę miasta i że paryżanie mogą się obudzić następnego ranka pod twardą ręką imperatora?

- Musimy jakoś przedostać się do Tuileries - powiedział Tristan i zakasłał.
- Castelreagh będzie chciał jak najszybciej dostać raport o losie króla Ludwika, i być może tylko ja będę w stanie mu go udzielić.

Pamiętając wielkie oddanie dziadka Bourbonom, Maddy skinęła głową, choć prawdę mówiąc wolałaby zjeść ciepły posiłek i położyć się w wygodnym łóżku.

Pod bramą pałacu królewskiego zgromadził się tłum mieszczan. Tristan i dziewczyna zsiadli z koni i trzymając je krótko przy pyskach, podeszli do tłumu.

- Co się dzieje? - zapytał Tristan siwego starca opierającego się na drewnianym kijku.

Mężczyzna przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

- Nic wielkiego, ojczu. Plotka głosi, że Mały Kapral nocował dziś w Fontainebleau, więc Gruby Ludwik bierze nogi za pas.

- Wzruszył chudymi ramionami.

- Jednak to, kto siedzi na tronie, nic nie znaczy. Życie przeciętnego Francuza ani się nie poprawi, ani nie pogorszy. - Stary uniósł głowę i spojrzał w stronę bramy pałacu.

- Oto i nasz król - dodał zdejmując z głowy czapkę.

Maddy przyglądała się z niedowierzaniem dwóm służącym w liberii niosącym ogromne krzesło, na którym siedział gruby mężczyzna o rzadziejących siwych włosach i kilku podbródkach.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ta gruba ropucha to król, za którego mój dziadek chciał oddać życie?! - wyszeptwała do ucha Tristanowi.

- To król we własnej osobie - potwierdził spokojnie były szpieg tłumiąc kasznięcie.

Z gardeł zebranych gapiów wyrwał się na wpół radosny okrzyk, gdy ociekający potem służący zatrzymali się na chwilę, a król uniósł dłoń w pozdrowieniu.

- Moi ukochani poddani! - odezwał się monarcha zadziwiająco mocnym głosem. - Nie obawiam się niczego dla naszej osoby, lecz obawiam się krzywdy Francji! Ten, kto przyszedł, by rozniecić pochodnię wojny domowej, może rozniecić wojnę z innymi krajami! Przyszedł, by raz jeszcze

wziąć ten piękny kraj w swe brutalne władanie! Przyszedł, by odebrać wam prawa, które my nadaliśmy!

Tłum zamruczał coś cicho, a młody żołnierz w steranym mundurze rojalistów zawołał: „Vive le roi!”. Król otarł czoło białą chustką i dokończył:

- Pamiętajcie więc o tym, że Francja będzie wolna, gdy oprze się korsykańskiemu potworowi!

Tłum znowu wydał z siebie mruknięcie, tym razem nieco głośniejsze. Potem sześciu osiłków dźwignęło ogromne krzesło wraz z monarchą i umieściło je w paradnym powozie. Maddy zobaczyła jeszcze pulchną, różową dłoń ozdobioną wieloma pierścieniami kiwającą do tłumu, a potem karetą pomknęła ku belgijskiej granicy.

Maddy czuła pod powiekami piekące łzy.

- Dzięki Bogu, że dziadek nie widzi, jak jego ukochany król ucieka przed Korsykaninem. I to w takim stanie! - W głosie dziewczyny dźwięczał smutek. Rozejrzała się dokoła.

- Przynajmniej zegnali go wierni poddani.

- Którzy jutro równie gorliwie powitają Bonapartego u wrót Paryża - zauważył sucho Tristan.

- Stary powiedział to, co czuje większość Paryżan. Mają dość walk i będą zadowoleni z rządów każdego, kto przyniesie im pokój. Ale to już nie nasz problem.

- Tristan dyskretnie rozglądał się w tłumie.

- Jak na razie nie widzę nikogo znajomego, ale to nie potrwa długo. Musimy wyjechać z Paryża, zanim ktoś mnie rozpozna.

Dosiadł wałacha i raz jeszcze rozejrzył się po otaczających go twarzach.

- Najpierw jednak musimy znaleźć owies dla koni, a nocleg i kolację dla nas. O świcie ruszymy do Calais.

Zmęczona Madelaine wsiadła na konia i ruszyła za Tristanem ciemnymi uliczkami Paryża. Kiedy minęli na wpół zbudowany Łuk Triumfalny, który Napoleon kazał wznieść z okazji swych wczesnych zwycięstw, szerokie ulice i bogate domy ustąpiły miejsca wąskim, brukowanym kocimi łbami uliczkom i małym, brudnym i zaniedbanym kamienicom.

Zerwał się wiatr i wkrótce jechali w tumanach kurzu wzbijającego się z zaniedbanych ulic przy najłżejszym powiewie. Trzymając wodze w jednej

ręce, a osłaniając oczy drugą, dziewczyna usiłowała nadażyć za Tristanem jadącym szybko wąskimi krętymi uliczkami.

Zauważyła, że powtarzają swą drogę, lecz właśnie gdy chciała rozplakać się z rozpaczy, że zabłądzili w labiryncie uliczek, Tristan zatrzymał się przed ogromną murowaną kamienicą.

- To moja dawna kwatery - wyjaśnił głosem ochryplym od przeziębienia. Grzmotnął pięścią w drewniane drzwi.

- Właścicielka kamienicy jest moją starą przyjaciółką. Jestem pewien, że pozwoli nam tu zanocewać, a oprócz tego da nam dobrą kolację.

Załomotał ponownie do drzwi, które w chwilę potem otworzyły się z trzaskiem. Na progu stała drobna, ciemnowłosa kobieta ubrana tylko w cienką białą sukienkę.

- Tristan, mój kochany! - zawołała piskliwie i zarzuciła mu pulchne ramiona na szyję. - Co ty robisz w przebraniu księdza?!

Tristan zachichotał, lecz jego śmiech zaraz przeszedł w kaszel.

- To długa historia, Minette. Opowiem ci ją przy szklance dobrego wina i ciepłej kolacji.

- Podał wodze koni małemu chłopcu czającemu się w sieni i poinstruował go, by zaprowadził zwierzęta do stajni, napoił i nakarmił. Potem wypchnął Maddy przed siebie.

- Czy mogłabyś przenocować mnie i mojego młodego przyjaciela? Chcielibyśmy dwa osobne pokoje połączone wewnętrznymi drzwiami.

Minette uniosła brwi ustępując miejsca w drzwiach Tristanowi i dziewczynie.

- Cóż to, kochanie! Od dziesięciu miesięcy nie zagrażałeś mojemu łóżku, a teraz spodziewasz się, że pozwolę ci spać pod moim dachem z tym... z tym stworzeniem!?

Tristan spojrział niespokojnie na Maddy obawiając się jakiejś wybuchowej reakcji, dziewczyna była jednak zbyt zszokowana bezpośredniością drugiej kobiety, by wykrztusić z siebie choć słowo. Zaskoczona przyglądała się „starej przyjaciółce” Tristana, która najwyraźniej była też jego dawną kochanką. Nawet w mdłym świetle świec widziała wyraźne zmarszczki dokoła oczu Minette świadczące, że młodość paryżanki już dawno przeminęła. Mimo to nie można było jej odmówić pewnej specyficznej, choć

niecو vulgarnej urody - miała duże piersi i szerokie biodra, raczej podkreślone niż ukryte krojem sukni, oraz szerokie żywe usta.

Maddy zawsze w skrytości ducha chciała mieć taką figurę, lecz matka Natura nie spełniła jej oczekiwań.

Minette patrzyła na Tristana spod zmarszczonych brwi.

- Tęskniłam za tobą. Takie już moje przekleństwo, że nie potrafię zapomnieć o okrutnym, nieczułym mężczyźnie.

- Rzuciła Maddy wściekle spojrzenie.

- A teraz jeszcze obrażasz mnie tym!

- Ja też tęskniłem za tobą, cherie - odparł Tristan cmokając przelotnie policzek kobiety, która przez ponad siedem lat była jego kochanką.

Aluzje Minette co do ich wcześniejszego związku bardzo go żenowały. Nigdy wcześniej nie przeszkadzała mu jej bezpośredniość, ale teraz patrzył na to oczyma Maddy... Cóż, jeżeli smarkuła zrozumie, jakie życie kiedyś prowadził, może wreszcie zejdzie na ziemię i przestanie patrzeć na niego z takim uwielbieniem.

Musiał jakoś spacyfikować Minette. Była wstrętną małą zazdrośnicą, lecz bał się, że jeżeli jej szybko nie ugłaszczę, wylądują na ulicy i to o pustych żołądkach.

Ale jeżeli Minette spodziewa się czegoś więcej niż miłych słówek, bardzo się zawiedzie. Nie miał wcale ochoty na spędzenie nocy w łóżku tej kocicy, co złożył na karb swojego przeziębienia.

Delikatnie wyswobodził ramię z jej uścisku.

- Co też ty wygadujesz? - zapytał unosząc jej pulchny podbródek i lekko cmokając w czerwone usta.

- Jak już powiedziałem, chłopak jest tylko moim przyjacielem, o co ty mnie posądzasz?

- Przyjacielem?

- Czy kiedykolwiek cię oszukałem?

- Nie, ale często podejrzewałam, że nie mówisz mi całej prawdy.

- Minette wzruszyła ramionami.

- No cóż... w końcu nikt nie jest doskonały. Poza tym... - Spojrzała na niego wymownie.

- ... nadal jesteś bardzo pociągający.

W kilka chwil przyniosła im kolację i wino, po czym dołączyła do nich przy ogromnym, dębowym stole. Właściwie dołączyła do niego - siadając mu na kolanach i dosłownie klejąc się do niego podczas posiłku.

- Zachowuj się, Minette - upomniał ją zirytowany Tristan, ale niewiele to pomogło. Cały czas wodziła dłońmi po jego ciele, i to coraz bardziej poufale.

Tristan zerknął na Maddy - siedziała z wzrokiem wbitym w talerz i policzkami koloru dojrzałych pomidorów.

Policzki Maddy nadal pałały, gdy udali się na spoczynek do pokoju na drugim piętrze... zapewne dlatego, że na schodach Minette szepnęła Tristanowi:

- Drzwi do mojej sypialni będą jak zwykle otwarte, chérie.

- Zostaw na noc świecę zapaloną. Ja swojej też nie zgaszę, a drzwi między naszymi pokojami zostaną otwarte - poinstruował Tristan dziewczynę. Potem wyjął zza pasa pistolet i wręczył go zdumionej Maddy.

- Zazwyczaj śpię lekko, ale dziś czuję się wyjątkowo fatalnie, będzie więc lepiej, jeżeli włożysz broń pod poduszkę. I, na miłość boską, pamiętaj, że aby wystrzelić, musisz najpierw odciągnąć kurek.

Przyglądała się broni z obrzydzeniem.

- A niby po co mi to? Jedyнным nocnym intruzem może być twoja przyjaciółka, jeżeli nie skorzystasz z jej zaproszenia. Chyba nie chciałbyś, żebym ją zastrzeliła?!

Odwróciła się na pięcie, by Tristan po jej minie nie poznał, jak bardzo ją to kusi. Nigdy wcześniej nie była o nikogo zazdrosna, lecz sama myśl o ustach Tristana przyciśniętych do szerokich warg paryskiej Jezebel, doprowadzała ją do szału.

- Minette nie przyjdzie do mojego pokoju, o to się nie martw. To by nie było w jej stylu. A ponieważ ja do rana nie zamierzam ruszyć się z tego łóżka nawet na krok, radzę ci wyspać się dobrze. Poza tym, w tak niespokojnych czasach warto zachować wszelkie środki ostrożności.

Pochylił się, wyciągnął z cholewy buta długi nóż i położył na poduszce.

- Dobranoc, Maddy. Pamiętaj, że wstajemy o świcie.

- To powiedziawszy Tristan zdjął buty i całkowicie ubrany padł na łóżko, po czym natychmiast zasnął.

Maddy przeszła do swego pokoju. Zdjęła zakurzone spodnie i koszulę, ściągnęła z obolałych nóg ciężkie buty i usiadła na łóżku. Po długiej chwili podniosła się, podeszła do komody, gdzie stała miednica pełna wody i umyła twarz. Potem wróciła do łóżka i naciągnęła koce pod brodę. Jednak choć była bardzo zmęczona, długo jeszcze przewracała się z boku na bok. Materac był nierówny i niewygodny, a poza tym myśli kłębiły się jej w głowie i nie pozwalały zasnąć.

Przede wszystkim była zszokowana zachowaniem „starej przyjaciółki” Tristana. Nigdy wcześniej nie spotkała kobiety, która tak bez ogródek przyznałaby się do bycia czyjąś kochanką. Wiedziała, że większość znajomych szlachciców dziadka miewała takie panie do towarzystwa, ale zazwyczaj zachowywali się bardzo dyskretnie.

Zagryzła wargi ze zdenerwowania. Kiedy Tristan zacznie oficjalnie starać się o jej rękę, powie mu wprost, że po ślubie nie będzie sobie życzyć z jego strony podobnych układów. Chociaż, może on wcale nie będzie mieć na to ochoty - w końcu nie okazał najmniejszego zainteresowania nocnymi odwiedzinami u Minette, mimo jej prowokacyjnego zaproszenia.

Maddy zupełnie nie rozumiała, jak jakimkolwiek mężczyźnie mogła się podobać aż tak wulgarna kobieta. Choć z drugiej strony, musiał istnieć jakiś powód jej zachowania. Czy istniał jakiś złoty środek między wyzywającym zachowaniem Minette a chłodną obojętnością, z jaką szlachcianki z Lyonu traktowały swoich mężów?

Dobłą godzinę później Maddy nadal leżała z szeroko otwartymi oczyma i zastanawiała się, jak pozostać damą, a jednocześnie utrzymać zainteresowanie męża na tyle, by nie szukał rozrywek z kobietami pokroju Minette. I wtedy usłyszała, że drzwi do pokoju Tristana otwierają się po cichu, a czyjeś kroki zbliżają się do jego łóżka.

Zacisnęła zęby. Najwyraźniej Tristan się mylił. Minette nie miała oporów, by przyjść do pokoju mężczyzny, który nie przyszedł do niej. Nasłuchiwała wstrzymując oddech. Kroki ucichły. Nastąpiła chwila ciszy, po której rozległ się zdławiony okrzyk Tristana i głośne przekleństwo, wypowiedziane na pewno nie kobiecym głosem.

Maddy sięgnęła po pistolet, odciągnęła kurek i pobiegła do drzwi łączących ich pokoje. W mdłym świetle świecy zobaczyła napastnika -

masywnego, ciemnowłosego mężczyznę ubranego w ciemne spodnie i czarną koszulę.

Siłował się z Tristanem na łóżku. Kotłowali się w pościeli przez dłuższą chwilę, aż znieruchomili pod ścianą. Napastnik siedział Tristanowi na piersi. W jego wzniesionej ręce Maddy zobaczyła rzeźnicki nóż gotowy do zadania ciosu. Serce w niej zamarło.

- Arrêtez vous\ - wrzasnęła ile sił w płucach mierząc do mordercy z pistoletu.

- Rzuć nóż albo cię zastrzelę!

Napastnik odwrócił się w stronę, z której nadeszła niespodziewana odsiecz i spojrzął na dziewczynę małymi, przerażająco nieruchomymi czarnymi oczkami. Maddy trzymała broń w obu dłoniach, lecz niestety nie potrafiła powstrzymać ich drżenia. Złoczyńca dostrzegł to natychmiast i ponownie wznosił dłoń do zadania ciosu.

- Na miłość boską, Maddy, zastrzel sukinsyna! - dobiegł ją stłumiony głos Tristana walczącego o oddech, przytłoczonego ciężkim ciałem mężczyzny.

Maddy zamknęła oczy i pociągnęła za cyngiel. Huk wystrzału oszołomił ją nieco, a ostry zapach dymu uderzył w nozdrza. Potem usłyszała ciche łupnięcie i czyjś stłumiony okrzyk. Otworzyła oczy i zobaczyła, jak Tristan strząsa z siebie bezwładne ciało napastnika. Jego twarz i włosy pokryte były jakimś dziwnym białym proszkiem, przez co wyglądał jak duch.

- Dobry strzał! Ocaliłaś mi życie - powiedział spokojnie, z uznaniem. Otrząsnął białą substancję z fałd habitu i podszedł do dziewczyny. Wyjął pistolet z jej zeszywniałych palców.

Maddy przycisnęła dłoń do ust, czując, że robi jej się niedobrze.

- O wielkie nieba! Dobry Boże, czy ja...? Czy on...?

- Nie, on nie jest martwy i ty go nie zastrześliłaś. Ale i tak ładnie ci się udało. Jeżeli spojrzysz na sufit, zobaczysz, że kula trafiła w tynk. Spory kawałek odłamał się i rąbnął tego łotra w głowę, ogłuszając go.

Z szerokim uśmiechem przejechał palcami po włosach, strząsając z nich gipsowy pył.

Mężczyzna leżący na łóżku poruszył się i coś wymamrotał. Tristan nie tracił czasu. Podskoczył do niego i rąbnął go w głowę kolbą pistoletu.

- Poznaję tę kanałą - powiedział wsuwając broń w fałdy sutanny.

- To jeden z płatnych zabójców Foucheta. Zasluguje na coś więcej niż tylko ból głowy. Gdybym go zabił tu i teraz, cały Paryż odetchnąłby z ulgą.

- Maddy spojrzała na niego z przerażeniem.

- Ale biorąc pod uwagę delikatność twoich uczuć, nie zrobię tego. Powstrzymam swe mordercze instynkty i po prostu zwiążę go, byśmy mogli spokojnie opuścić Paryż.

To powiedziawszy, Tristan pociął prześcieradła nożem mordercy i związał go niczym cielaka na rzeź.

- Ale zanim pojedziemy do Calais, zamienię parę słów z Minette - dodał ponuro.

- Jestem pewien, że maczała w tym palce. Odkąd wjechaliśmy do Paryża, bardzo pilnowałem, czy nikt nas nie śledzi.

- Dlaczego ktoś, kogo uważasz za przyjaciela, miałby wystawiać cię mordercy?

- Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

- Schował nóż do pochwy w bucie i podszedł do drzwi.

- Zamknij się na klucz, dopóki nie wrócę. Ludzie wynajmujący tu pokoje zazwyczaj pilnują własnego nosa, ale na pewno słyszeli strzał. Ktoś może się pokusić o sprawdzenie jego źródła.

- Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Tymczasem radziłbym ci włożyć z powrotem koszulę i spodnie. Ubrana tak jak teraz, nikogo nie przekonasz, że jesteś mężczyzną.

Dopiero w tej chwili Maddy uświadomiła sobie, że stoi przed nim tylko w cienkiej koszulce. Zarumieniła się po czubki uszu i z wyzywającą miną wróciła do swego pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Na ścianie wisiało popękane lustro i spojrzawszy w nie dziewczyna poczuła rozpacz bez dna. Jedno było pewne: jeżeli Tristan miał jakieś wątpliwości co do jej kobiecych walorów, teraz nie pozostały mu już żadne. Szczególnie w porównaniu z obfitymi wdziękami Minette.

Rozdział ósmy

Dlaczego, Minette? Dlaczego to zrobiłaś? Przecież nigdy nie popierałaś rządów Foucheta?! - Tristan zimnym wzrokiem przyglądał się kobiecie siedzącej na łóżku, w którym sam sypiał tak często w ciągu ostatnich lat.

- Fouche? A co on ma z tym wszystkim wspólnego? - Minette nawet nie usiłowała kłamać, że to nie ona posłała draba do jego pokoju, lecz wydawała się szczerze zdumiona, że Minister Wojny i Policji mógł mieć w tym swój udział. Tristan prawie jej uwierzył; Minette nigdy nie potrafiła dobrze kłamać. To go do niej kiedyś przyciągało. - Zdradziłaś mnie! - Dodała Minette z oczyma pałającymi wściekłością. - W moim własnym domu! I to po tym, co nas przez tyle lat łączyło!

- A czy wolno mi zapytać, w jaki sposób cię zdradziłem? W ciemnych oczach Minette pojawiły się łzy.

- Inną kobietę może bym zrozumiała. Nigdy się nie oszukiwaliśmy. Każde z nas mogło mieć na boku innych kochanków. Ale żebyś zdradzał mnie z chudym chłopcem o wielkich przerażonych oczach! Nigdy ci tego nie wybaczę!

- Maddy? Nasłałaś na mnie zabójcę tylko dlatego, że byłaś zazdrosna o Maddy?

- Wcale nie nasłałam na ciebie zabójcy! - odparła urażonym tonem.

- Za kogo ty mnie uważasz? Po prostu poprosiłam mojego obecnego... cher ami... który mieszka w twoim dawnym pokoju, żeby dał ci lekcję dobrych manier.

- Jeżeli cię to interesuje, twój obecny cher ami jest jednym z najgroźniejszych płatnych zabójców Foucheta. Założę się, że został tu umieszczony na przeszeptę. Wszyscy w mieście wiedzą, że sympatyzujesz z rojalistami.

Minette wpatrywała się w niego oczyma rozszerzonymi z przerażenia.

- Przysięgam, że nie miałam o tym pojęcia. I pomyśleć, że pozwoliłam temu czarnookiemu diabłu grać moje łóżko przez ponad miesiąc!

- Spuściła głowę i spojrzała na Tristana spod opuszczonych rzęs.

- Wierz mi, że nigdy nie mogłabym życzyć ci śmierci, mój kochany Tristanie. Nigdy nie mogłabym być na ciebie aż tak zła...

- Łzy płynęły jej po policzkach.

- Co się z tobą stało w tym Wiedniu? Naprawdę sądzisz, że jestem taka naiwna? Myślisz, że nie wiem, po co ci były dwa pokoje połączone drzwiami? Myślisz, że jestem jakąś cholerną mniszką?

- Przestań, Minette. Od początku wiedziałem, że pochodzisz z paryskiego rynsztoka, nie spodziewałem się tylko, że tyle lat dobrego życia niczego cię nie nauczyło - odparł zimno Tristan. Aż go ręce świerzyły, żeby udusić tę zazdrosną ładacnicę, która kiedyś tak go pociągała.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie tylko naraziłaś moje życie na niebezpieczeństwo, ale naraziłaś także życie wnuczki jednego z największych rojalistów w kraju, którą mam za zadanie odeskortować do Anglii.

- Ten chłopiec jest naprawdę dziewczyną? - Minette patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jak to możliwe? Przecież ma figurę bardzo szczupłego chłopca!

- Nie wszystkie kobiety są aż tak hojnie wyposażone jak ty, Minette, ale zapewniam cię, że Maddy nie jest chłopcem. Jest bardziej kobieca, niż jakkolwiek inna znana mi niewiasta.

jeszcze jedno. Ona nie jest i zapewne nigdy nie zostanie moją kochanką. Minette ukryła twarz w dłoniach.

- Matko boska! Co też ja uczyniłam!?

- Wreszcie odjęła ręce od policzków i spojrzała niepewnie na Tristana.

- Powiedz, jak mogę naprawić swój błąd?

Tristan poczuł drobną satysfakcję. Może jeszcze nie wszystko stracone. Spojrzał ponuro na swą dawną kochankę i powiedział:

- Dzięki tobie nie możemy czekać tu do rana. Musimy od razu ruszać w drogę do Calais, ale nasze konie są zmachane.

Minette nie dała mu dokończyć.

- Nic więcej nie mów. Mój brat, Philippe, śpi w sąsiednim pokoju. To najlepszy koniokrad w Paryżu. Jeżeli go poproszę, w ciągu godziny zdobędzie dla was dwa wspaniałe wierzchowce, nawet gdyby musiał je ukraść ze stajni samego króla.

To powiedziawszy, oparła się o poduszki eksponując pełne piersi.

- Czy jest może coś jeszcze, co mogę dla ciebie uczynić, zanim pójdę po Philippe'a? - zamruczała słodko.

Burza, która podążała za Maddy i Tristanem całą drogę z Paryża do Calais, wreszcie przeszła bokiem. Zatoka pełna była statków, a w dokach kręcili się rojaliści szukający ucieczki z Francji, zanim Napoleon Bonaparte znowu obejmie władzę.

- Okręt twojego ojca stoi na kotwicy poza portem - powiedział Tristan osłaniając oczy od słońca i przyglądając się południowemu krańcowi zatoki. - Znajdziemy jakiś zajazd przy drodze, gdzie będziemy mogli umyć się po podróży. Sprzedam konie. Ja potrzebuję nowych spodni i koszuli, a tobie trzeba kupić sukienkę i kapelusz. Nie mogę odwieźć cię ojcu przebraną za francuskiego wieśniaka.

- Merci.

- Maddy uśmiechnęła się do niego zaskoczona jego niebywałą troskliwością. Tristan Thibault potrafił być naprawdę bardzo miły, jeżeli chciał, a teraz wreszcie przestał się chmurzyć. Całą drogę z Paryża miał podły humor i teraz jego dobry nastrój przyjemnie zaskoczył dziewczynę.

- To znaczy, chciałam powiedzieć, dziękuję. Muszę pamiętać, by od teraz mówić po angielsku.

- I ja też - odrzekł Tristan z uśmiechem, lecz jakby wymuszonym, rozciągającym tylko jego usta, a nie sięgającym oczu. Zdjął rękawiczki i trzepnął się nimi po udach wzbijając obłoczek kurzu.

- No cóż... Maddy. Dotarliśmy wreszcie do kresu naszej podróży. Mam nadzieję, że odetchnęłaś z ulgą.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Wcale nie żałuję, że opuszczam Francję. To podzielony wojną kraj, a ja nie stoję po żadnej stronie barykady. Wszystko, co tu kochałam, umarło wraz z dziadkiem. Ale jeżeli chodzi o naszą podróż, chciałabym, żeby trwała wiecznie. To była wspaniała przygoda i na zawsze zachowam ją w pamięci.

- Doprawdy? Założę się, że każda inna kobieta na twoim miejscu wołałaby o niej jak najszybciej zapomnieć i rozkoszować się luksusami czekającymi na nią nowym krajem.

- Urwał, jak gdyby nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

- Twój ojciec jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, a ty jesteś jego jedyną dziedziczką. Poza tym, jesteś wnuczką szanowanego francuskiego arystokraty. Jestem pewien, że towarzystwo w Londynie przyjmie cię z otwartymi ramionami.

Maddy roześmiała się głośno.

- Szczerze w to wątpię. Dziadek często opowiadał, że wasze wyższe sfery bardzo źle patrzą na kogoś, za kim ciągnie się smród handlu.

- Czasy się zmieniają, podobnie jak majątki. Wielu angielskich szlachciców potraciło swe posiadłości i pieniądze i często biedny dziedzic wielkiego tytułu żeni się z bogatą córką kupca. Sądząc z tego, co mi mówiono, wcale nie jest to takie złe rozwiązanie. Młody lord zapobiega utracie majątku i zapewnia utrzymanie rodzinie, a panna zyskuje tytuł szlachecki i powszechną akceptację.

- Wiem. We Francji także praktykuje się podobne rzeczy powiedziała Maddy.

- Nigdy tego nie rozumiałam. Zawsze

wydawało mi się to bardzo smutne. Nie chciałam zostać wydana za męża tylko po to, by mój mąż zdobył majątek.

- Pochyliła się w siodle i podrapała odpoczywającego konia między uszami. - Jak ty byś się czuł, gdybyś wiedział, że jakaś panna poślubiła cię tylko po to, by dorwać się do pieniędzy twego ojca?

- Ten problem na szczęście mnie ominie - odparł sucho Tristan.

- Ale sądzę, że gdyby mi się przydarzyło coś podobnego, starałbym się podejść do tego z praktycznego punktu widzenia.

- Aha. I jak według ciebie powinna wyglądać moja praktyczność? - Maddy zaczęła się z nim przekomarzać.

- Sądzisz, że powinnam znaleźć sobie utytułowanego męża, żeby nikt w Londynie nie mógł wyrzucić mnie za drzwi? Żeby nikt nie mógł mi wypominać, że mój ojciec jest tylko kupcem?

- Na pewno powinnaś wziąć to pod uwagę - odrzekł Tristan poważnie. Miał tak ponurą minę, że Maddy nagle zadrżała.

Przełknęła ślinę.

- Ale... mówiąc hipotetycznie, rzecz jasna... gdybym postanowiła poślubić człowieka, który nie ma tytułu szlacheckiego... to co wtedy?

- Wtedy, moja droga Maddy, usilnie namawiałbym cię, abyś zmieniła obiekt swoich uczuć na nieco wartościowszego człowieka. Bo jeżeli, hipotetycznie rzecz jasna... mężczyzna, o którym mówimy, ma choćby za grosz honoru, na pewno zrozumiałby, że nie mając tytułu, nie ma ci nic do zaoferowania... a na pewno nie powinien oferować ci małżeństwa. Serce w dziewczynie zmarło.

- Chyba nie mówisz poważnie! Oczywiście, że człowiek honoru chciałby się ze mną ożenić, gdyby tylko mnie kochał! I gdyby wiedział, że ja też go kocham. Bo przecież nic innego tak naprawdę nie ma znaczenia.

- I tu się mylisz. Wiele rzeczy ma o wiele większe znaczenie niż miłość.

Maddy usłyszała w jego głosie cichą rezygnację, coś, do czego nie była przyzwyczajona w tym pełnym werwy mężczyźnie, którego poznała i pokochała zaledwie w ciągu tygodnia. Co też on starał się jej wmówić?

- Powiedz mi proszę, co też jest ważniejszego od miłości, którą dwoje ludzi czuje do siebie nawzajem? - poprosiła zaciskając mocno dłonie.

- Lojalność, wdzięczność, odpowiedzialność... a przede wszystkim honor. - Tristan pochylił się w siodle i wpatrywał się w statek, który rozpoznał jako należący do jej ojca. - Nikt, kto uważa się za mężczyznę odpowiedzialnego i honorowego, nie może poświęcić tych rzeczy... nawet w imię miłości.

- Ale dlaczego miałyby je poświęcać? - zapytała przejęta nagłym lękiem. O czym oni tak naprawdę rozmawiali?

- Dlatego, że tak już jest na tym świecie, Maddy - powiedział wruszając potężnymi ramionami.

- Bo zakończenie twojego hipotetycznego dramatu zostało napisane na długo przed jego początkiem i nic tego nie może zmienić.

- Nie potrafię tego zaakceptować. - W oczach dziewczyny widać było strach. - Zawsze można coś zrobić, jeżeli naprawdę się tego chce. Wierzę w to z całego serca. Wystarczy tylko odpowiednio mocno chcieć.

Tristan zrozumiał, że zranił ją, może nawet wystraszył - coś, czego będzie żałować do końca swoich dni. Podobnie jak do końca życia będzie przeklinać swą słabość, która kazała mu pocałować tę niewinną dziewczynę z pasją i namiętnością, która może zgubić ich oboje.

Ale tego nie da się już odmienić. Nie powinien jednak wprowadzać jej w błąd mówiąc, że w Anglii czeka ją samo szczęście. Teraz przynajmniej nie będzie całkowicie zaskoczona tym, co ojciec dla niej planuje.

Powtarzał sobie, że jej ból będzie bardzo krótkotrwały, a to, co uważa za miłość, jest tylko przelotnym zauroczeniem mężczyzną, który pierwszy ją pocałował.

Powtarzał sobie, że będzie jej dobrze z Garthem, gdyż jego starszy brat będzie dla niej o wiele lepszym mężem, niż on kiedykolwiek mógłby być.

Niestety, nie potrafił tylko przekonać siebie co do jednego: że będzie w stanie żyć ze świadomością, że ta wspaniała kobieta jest żoną jego brata.

Dla siebie Tristan kupił zwykle marynarskie ubranie - szerokie spodnie z grubego materiału, szorstką koszulę i wodoodporną kurtkę oraz wełnianą marynarską czapkę. Jednak na ubranie dla Maddy nie szczędził pieniędzy - kupił jej piękną suknię podróżną z doskonałego francuskiego materiału w pięknym bursztynowym kolorze przypominającym jesienne liście. Doskonale pasowała do koloru jej ogromnych oczu, podobnie jak podszyta futrem pelisa i szykowny kapelusik o wysokim denku.

Było to najpiękniejsze ubranie, jakie Maddy miała od lat, i w normalnych okolicznościach szalałaby ze szczęścia, ale po przygnębiającej rozmowie z Tristanem była w fatalnym humorze i nie potrafiła cieszyć się pięknym strojem.

Tristan dał jej jasno do zrozumienia, że nigdy nie poprosi o jej rękę - i to nie dlatego, że jej nie kocha, lecz dlatego, że honor mu tego zabrania. Tylko co honor miał z tym wszystkim wspólnego? To Maddy chciałaby wiedzieć. Przecież podczas tej długiej podróży dowiódł dostatecznie, że jest człowiekiem honoru, pomimo swego niefortunnego pochodzenia.

Cóż... Dopóki nie powie, że jej nie kocha - a te słowa jakoś nie przeszły mu przez usta - ona nie zaakceptuje jego postanowienia. Była zbyt dużą optymistką, by dać się tak szybko zniechęcić. A on się już wkrótce o tym przekona. A jednak cała ta sytuacja była bardzo przygnębiająca. Wielki Boże, jakiego podstępu powinna użyć kobieta, by zwalczyć źle ulokowane poczucie godności mężczyzny - na dodatek mężczyzny tak upartego jak Tristan Thibault?

Oszolomiona smutkiem wdrapała się do łódki, która miała ich zawieźć na pokład statku ojca. Kiedy już podpłynęli blisko burty, dziewczyna zauważyła, że na dziobie widniało popiersie syreny, z twarzy i figury bardzo przypominające Minette.

Łódka okrążyła statek i podpłynęła od drugiej strony, gdzie z pokładu majtkowie spuścili linę. Spojrzawszy w górę, Maddy zobaczyła wypisane na burcie imię statku: „Ma-delaine”.

- Nazwał statek moim imieniem? - Odwróciła się do Tristana ze łzami w oczach.

- Przez te wszystkie lata, kiedy ja byłam święcie przekonana, że ojciec zupełnie o mnie nie dba, ten statek pływał po morzach z moim imieniem wypisanym na burcie.

Stłumiwszy szloch, przyjęła z rąk Tristana złożoną czystą chusteczkę - jedną z czterech, które kupił w Calais. Wzruszyła się na myśl, że nie zapomniał nawet o takim drobiazgu.

Jakie ekscytujące i cudowne stało się jej życie w ciągu zaledwie kilku dni - a nic z tego nie miałyby miejsca, gdyby ten uparty, niemożliwy Anglik nie przyjechał po nią do Lyonu. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Na miłość boską, Maddy! Przestań mieć minę szczęśliwego szczeniaka! - warknął Tristan i wskazawszy na sznurową drabinkę zwieszającą się wzdłuż burty, dodał: -A teraz wdrapuj się na górę, musimy ruszać jak najszybciej!

Maddy bez słowa złożyła chusteczkę i włożyła do kieszeni, potem sięgnęła po drabinkę i oparła stopę o pierwszy szczebelek. Dopiero wtedy zrozumiała, że jej podróżna suknia jest zbyt wąska, by mogła spokojnie wdrapać się po sznurowej drabince, a jednocześnie zbyt luźna, by dwaj marynarze stojący w łódce nie widzieli jej kostek i łydek. Choć Maddy była może pod wieloma względami niekonwencjonalna, wychowana została na damę i świadomość, że obcy mężczyźni mogą swobodnie przyglądać się jej nogom, bardzo jej się nie podobała.

Z płonącymi policzkami wisiała na drabince, nie mogąc poruszyć się ani w górę, ani w dół, i z tęsknotą myślała o swych spodniach i swobodzie, jaką jej dawały podczas podróży.

- Spójrzcie w inną stronę albo tego pożałujecie, bezwstydnie małpy - warknął Tristan w stronę marynarzy i przesunął się tak, by własnym ciałem zasłonić Maddy przed ich natarczywymi spojrzzeniami.

Dziewczyna westchnęła. Jej bohater znowu przyszedł jej z pomocą. I jak ktokolwiek mógł wątpić w jego uczciwość i honor?

Kiedy Maddy i Tristan wreszcie stanęli na pokładzie, załoga już stawiła żagle. Kapitan wyszedł im na powitanie, lecz pierwszymi słowami, jakie usłyszeli, była reprimenda za spóźnienie i pytanie, kim, u licha, jest Maddy. Ku ogromnemu zdumieniu dziewczyny Tristan przedstawił ją kapitanowi jako swą przyjaciółkę, pannę Smythe. Ten skinął głową i odszedł pospiesznie, by wydać rozkaz podniesienia kotwicy.

- Twój ojciec nakazał mi trzymać twą tożsamość w tajemnicy do czasu, aż dobijemy do Anglii. Powiedział, że sam chce cię wszystkim przedstawić - wyjaśnił cicho Tristan, gdy kapitan znalazł się poza zasięgiem głosu.

- Dlaczego?

- Nie wiem. O to będziesz już musiała sama go zapytać. - To, że mówią te słowa Tristan unikał jej wzroku, powiedziało dziewczynie jasno, że naprawdę wie o wiele więcej o życzeniach jej ojca, niż jej mówi. Właściwie, jeżeli się nad tym zastanowić, tłumaczenie, dlaczego właśnie on został posłany po nią do Francji, było dość kulawe.

Po co ta cała tajemnica? Po co te półprawdy? Dlaczego miała wrażenie, że życzenia ojca i niechęć Tristana do oświadczyń miały to samo źródło? O co tu chodzi?

Wysoko ponad ich głowami żagle złapały powiew słonego morskiego wiatru i statek ruszył naprzód. Stojący obok niej Tristan naciągnął czapkę na uszy i postawił kołnierz kurtki, co tylko jeszcze bardziej upodobniło go do pirata. Maddy pomyślała, że równie dobrze mogliby płynąć do hiszpańskiej Jamajki, a nie do spokojnego portu w Dover.

Bardzo szybko wyszli z zatoki i gdy byli już na pełnym morzu, wiatr wzmógł się. Dziewczyna zawiązała mocniej wstążki kapelusika, by wiatr nie zwał go jej z głowy. Serce biło jej jak szalone. Wreszcie byli w drodze do Anglii.

Z ciekawością przyglądała się statkowi noszącemu jej imię. Pokład był schludny, mosiężne okucia lśniły, a załoga, choć wyglądała na złożoną z

gruboskórych drabów, wykonywała swą pracę szybko i z wyraźnym zadowoleniem. Nawet kapitan zszedł z mostku i dołączył do Maddy i Tristana stojących na pokładzie.

Był to niski mężczyzna, nieomal równie szeroki co wysoki, ale widać było, że składał się z samych mięśni. Na jego baryłkowatym ciele nie było ani grama tłuszczu. Twarz miał poprzecinaną zmarszczkami i ogorzałą. Jego mundur, o ile to stare ubranie można nazwać mundurem, było nieokreślonego niebieskiego koloru, bardzo już zszargane i zniszczone. Siwiejące włosy pod kapitańską czapką miał związane krótkim rzemykiem.

- Czekałem na pana, milordzie, od czterech dni, i muszę przyznać, że zaczynałem się już niepokoić - powiedział wyjaśniając ich pospieszne wypłynięcie z zatoki na pełne morze.

- Gdyby Stary nie kazał mi czekać na pana, już dawno kazałbym podnieść kotwicę. Moi marynarze słyszeli niepokojące plotki, że Korsykanin idzie przez Francję zbierając po drodze armię. Jeżeli to prawda, najwyższy był już czas, by odpłynąć.

- Najwyższy czas.

- Tristan skinął głową.

- Plotki, które słyszeli wasi ludzie, są prawdziwe. Bonaparte dotarł już do Paryża, a jego dawni żołnierze, niepamiętni poprzedniej klęski cesarza, wala do niego tysiącami i błagają, by przyjął ich do swoich oddziałów.

- A niech mnie diabli! - Kapitan urwał i zarumienił się mocno.

- O, bardzo panią przepraszam. Nie często zdarza się nam wozić pasażerów, tym bardziej damy. Nie jestem przyzwyczajony do salonowych pogaduszek.

- Uniósł lunetę i popatrzył na horyzont.

- Chodziły też plotki, że kilka francuskich okrętów ma czekać przy Kanale na wypadek, gdyby jakieś angielskie statki kupieckie usiłowały przedostać się na wyspę, ale nie sądzę, by była to prawda. Niewiele zostało z francuskiej floty, odkąd admirał Nelson dał im łupnia. Ale i tak lepiej zawsze mieć się na baczności.

- Uśmiechnął się niemądrze do siebie.

- Prawdę mówiąc, wolałbym stawić czoło Bonapartemu i jego legionom, niż Staremu, gdyby coś się stało „Madelaine” pod moją komendą. To jego

flagowy statek. Jego radość i duma. Wątpię, czy pozwoliłby jej wyjść z angielskiego portu, gdyby miał choć cień podejrzenia, że stary Boney szykuje się do marszu przez Francję.

- Ponownie przyjrzał się Maddy z nieukrywaną ciekawością. - Może się mylę, ale założyłbym się, że właśnie w tej chwili klnie sam siebie za to, że dał panu ten właśnie statek. Musi mieć pan wyjątkowy dar przekonywania, skoro Stary pozwolił panu wziąć akurat „Madelaine”.

Maddy widziała, że kapitan stara się wyciągnąć od Tristana jakieś informacje, lecz stary lis nie dał się zagnać w pułapkę i kapitan odszedł niewiele mądrzejszy niż przyszedł. Maddy trzymała język za zębami, lecz była pewna, że Tristan karmi półprawdami nie tylko kapitana. Minette miała rację - Tristan potrafił powiedzieć wiele, nie mówiąc właściwie nic. Idealna cecha szpiega, czyż nie?

A niech go szlag! Całe życie miała do czynienia z kłamstwami i niedopowiedzeniami i miała ich już serdecznie dość! Poniosła ją dzika wściekłość. Postanowiła zrobić coś szokującego, coś, co by zaskoczyło Tristana i raz na zawsze pozbawiło go tego wszystkowiedzącego uśmiešku i obojętności.

Zacisnęła dłonie na wypolerowanej poręczy biegnącej dokoła pokładu i wdychała słone, wilgotne morskie powietrze. Statek płynął szybko, rozpryskując fale.

- Właśnie coś mi przyszło do głowy - odezwała się patrząc Tristanowi w oczy. - Pan, milordzie, jest moim dłużnikiem.

Spojrzał na nią marszcząc brwi.

- Jak to?

- Jak sam przyznałeś, ocaliłam ci życie - powiedziała słodko.

- Chyba należy mi się za to jakaś rekompensata?

Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Nie przeczę, że gdyby nie twoja interwencja, leżałbym teraz zimny z nożem między żebrami, ale dziwi mnie twoje wyrachowanie. Jak można prosić o rekompensatę za coś podobnego?! - Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi.

- Ale przyznanie się do długu wdzięczności i spłacenie go to dwie zupełnie różne sprawy. Ty jesteś dziedziczką ogromnej fortuny, Maddy, a ja nie. Mam

przy sobie tylko tyle pieniędzy, ile zostało mi po sprzedaży koni i zakupie naszych ubrań, a będę potrzebował każdego pensa, by dowieźć nas z Dover do Londynu. Obawiam się, moja chciwa ślicznotko, że będziesz musiała poczekać z zapłatą aż do czasu, gdy dostanę z Whitehall wypłatę za ostatnie sześć miesięcy służby.

Maddy patrzyła na żagle wyrzuczone przez słony wiatr. Ten sam wiatr rozwiewał teraz ciemne, sięgające poniżej ramion włosy Tristana. Tak jak się spodziewała, łatwo wpadł w jej pułapkę. Uniosła na niego niewinne spojrzenie.

- Ale przyznajesz, że masz u mnie dług?

- Owszem, przyznaję.

- Musisz więc też przyznać, że mam prawo do wyznaczenia takiej rekompensaty, jaka mnie zadowala.

Tristan oparł się o reling i spojrzał w dół na białe grzywy bałwanów. Wbrew woli uśmiechał się pod nosem. Ich słowna potyczka sprawiała mu sporą przyjemność.

- Ojej - westchnął z udaną rozpaczą.

- A jakąż ma być twoja zapłata? Cóż cię zadowoli? I czy będzie mnie na to stać? Wolałbym nie znaleźć się w celi w więzieniu Newgate tylko z tego powodu, że nie stać mnie na spłacenie długu.

- Przysięgam, że zapłata, jakiej zażądam, nie opróżniłaby kieszeni największego z biedaków, jakich mijaliśmy w Tuileries - odrzekła dziewczyna unosząc dłonie.

- Doskonale.

- Tristan oparł się plecami o reling i spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Tylko dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego? Że twoje motywy nie są aż tak niewinne, jak twierdzisz?

- Pewno dlatego, że jak każdy mężczyzna, wszystkim przypisujesz własne nieczne motywy.

- Maddy uniosła dłonie i liczyła coś na palcach. Palcami lewej ręki odgięła na prawej dłoni palec wskazujący, środkowy oraz serdeczny, po czym oznajmiła:

- Trzy.

- Więc jestem ci winien trzy funty za ocalenie mi życia? Nisko je cenisz...
 - Trzy funty? A co to są funty? Nie postawiłam jeszcze nogi na angielskiej ziemi i nie wiem, jaki jest obecnie kurs funta.
 - Trzy franki, w takim razie? Jestem nieco urażony, mademoiselle! Naprawdę aż tak nisko cenisz moje życie?
 - Oczywiście, że nie! Ale moje życie we Francji dobiegło końca i już nie załatwiam interesów we frankach.
- Tristan znowu zmarszczył ciemne brwi.
- W takim razie co „trzy”, Maddy? Trzy czego jestem ci winien?
- Dziewczyna zacisnęła dłoń na relingu i przez długą chwilę spoglądała na fale. Potem, z mocno bijącym sercem, uniosła wzrok na niebo, gdzie blade słońce z trudem przebijało się przez ciężkie chmury nad kanałem.
- Trzy czego, Maddy? - Tristan domagał się odpowiedzi z rosnącym zniecierpliwieniem.
 - Trzy... w jedynej walucie, w której jesteśmy sobie równi.. Jest mi pan winien, monsieur, trzy... pocałunki.

Rozdział dziewiąty

A niech to szlag, Maddy! Posuwasz się za daleko. Zawsze miałaś inklinacje do robienia szokujących rzeczy, lecz tym razem przeszłaś samą siebie! - Tristan aż zgrzytał zębami ze złości. - Jak to możliwe, że w jednej chwili jesteś sfrustrowana pokazaniem kostek dwóm marynarzom, a w następnej rzucasz mi się w ramiona jak jakaś ladacznica?!

- Czy dama nie może lubić pocałunków? - Maddy spojrzała na niego ze szczerym zdumieniem.

- Jakie to dziwne. Co prawda tylko raz w życiu byłam całowana przez mężczyznę, ale to mi starczyło, by się przekonać, jakie to miłe zajęcie. Jeżeli mam udawać, że mi się to nie podobało, dla zachowania pozorów poprawności, obawiam się, że nic z tego. Nigdy nie potrafiłam kłamać.

Tristan przewrócił oczyma. Znowu ten przeklęty pocałunek! Cóż za potwora stworzył w tamtą księżycową noc?!

- To moja wina. Ja wprowadziłem cię w błąd - odrzekł sztywno.

- W chwili nieuwagi dałem się ponieść pierwotnym instynktom... i bardzo teraz tego żałuję.

- Więc twierdzisz, że gdybym była prawdziwą damą, nie lubiłabym być całowaną?

- Oczywiście, że nie! - Wielki Boże, jak ja się w to zaplątałem?!

- Nie ma nic złego w tym, że kobieta lubi być całowana. Ale dama powinna zachować takie uczucia dla człowieka, którego pragnie poślubić.

Zbyt późno zrozumiał swój błąd. Oczy Maddy znowu przybrały ten przeklęty, rozmarzony wyraz.

Wolał to zignorować, niż dalej drążyć niebezpieczny temat. Wbił ręce w kieszenie kurtki i zapatrzył się w horyzont.

- Po prostu zapomnijmy, że w ogóle poruszyłaś ten temat.

- Oczywiście, że nie! - W głosie dziewczyny zabrzmiało szczerze oburzenie.

- Sam tyle mówiłeś o honorze... Czy człowiek honoru nie powinien przypadkiem spłacać swoich długów?

- Spłacenie długu nie ma z tym nic wspólnego. Nie zrozumiałabyś tego... Nie ma na to żadnych pisanych reguł. Żaden mężczyzna z choć odrobiną honoru na dnie serca nie rzucałby się w ten sposób na kobietę należąca do innego... - Jeszcze jedna pomyłka; wszystkoomal się wydało.

Maddy wyprostowała się urażona i spojrzała mu gniewnie w oczy.

- A co to ma wspólnego z naszą rozmową? Nie należę do żadnego mężczyzny! I powiem panu jeszcze coś, panie Tristanie Thibault! Nie jestem głupią pensjonarką, lecz dorosłą kobietą. Na dodatek córką kupca do szpiku kości! W ten czy inny sposób zamierzam odzyskać to, co jest mi pan winien!

Tristan znowu zazgrzytał zębami z wściekłości. Nie wiedział jak i kiedy stracił kontrolę nad sytuacją, lecz stracił ją niewątpliwie. Najwyraźniej nic, co mógłby powiedzieć, nie jest w stanie zmienić jej zdania ani na jotę. Co za koszmarna, uparta, nierozsądna kobieta z tej Madelaine Harcourt! Dlaczego właśnie on musiał stawić jej czoło?

Odwrócił się od niej i oparłszy się o reling, wpatrywał się we wzburzone fale. Wysokie bałwany kołysały statkiem. A niech to wszyscy diabli! Jak ona śmie! I jeszcze ma czelność sugerować, że nie zechce przyjąć wszystkich trzech pocałunków za jednym razem! Czyżby miała ochotę zachować je za specjalne okazje? Niczym słodycze na pocieszenie, gdy zły los zbytnio dopieczę?

Choć Tristan bardzo się starał, zupełnie nie mógł zrozumieć zachowania dziewczyny. Po prostu nie miało to sensu. Nie była przecież dziewczką o moralności ulicznicy jak Minette. Ale z drugiej strony, nie okazywała też skromności i wstydlivosti dobrze urodzonej damy. Właściwie była czymś pośrednim między jednym a drugim; dama-ladacznica, jeżeli coś takiego w ogóle może istnieć.

I jakąż ona będzie żoną dla spokojnego, bogobojnego Gartha? I jak on wytłumaczy się jej ojcu i swojemu bratu, jeżeli w ich obecności Maddy nagle napadnie ochota na wyegzekwowanie długu?

Jedyną jego nadzieją było to, że gdy już raz znajdą się w Londynie, dziewczyna wpadnie w wir życia towarzyskiego i zapomni o całym tym idiotycznym pomysłu. Albo on znajdzie w sobie dość siły ducha, by trzymać się od niej z daleka, dopóki Garth jej nie poślubi.

Było już późne popołudnie, gdy wreszcie wpłynęli do portu w Dover. Mgła była tak gęsta, że światło ulicznych latarni ledwo przebijało się przez mleczną biel i nadawało miastu upiorny wygląd. Pozostałe jednostki stojące przy kei wyglądały niczym zjawy, a marynarzy przycumowujących statek właściwie nie było widać z pokładu. W tej mgle dziwnie brzmiały ich pozbawione sylwetek głosy.

Postępując zgodnie z radą gospodarza zajazdu w Calais, zaraz po zejściu na ląd Tristan odszukał kupca, który wymienił resztę franków pozostałą po sprzedaży koni na angielskie funty. Kurs był co prawda śmiesznie niski, lecz biorąc pod uwagę ciężkie czasy, mógł być jeszcze gorszy i Tristan nie klócił się ze starym lichwiarzem.

Potem udali się do portowej stajni, gdzie przed wypłynięciem do Calais Tristan zostawił zgraną parę siwków i zgrabny powozik - smętne wspomnienie po niegdyś słynnych w całej Anglii stajniach hrabiego Rand.

- Nakarm konie wcześniej rano i wyszukaj powóz - polecił Tristan chłopcu stajennemu.

- Wyjeżdżamy do Londynu jutro o świcie.

Załatwiwszy najważniejsze sprawy, odnaleźli skromną, acz schludną gospodę portową i wynajęli pokoje na noc. Za parę pensów dostali dzbanek piwa i dwie porcje baraniny z gotowanymi ziemniakami.

- Proszę teraz o pierwszy z moich pocałunków - powiedziała Maddy, kiedy godzinę później odprowadzał ją do pokoju na noc.

Tristan spojrział na nią zaskoczony.

- Że co, przepraszam?

- Proszę o pocałunek, który jesteś mi winien - powtórzyła spokojnie.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak przygnębiona i myślę, że pocałunek dobrze by mi zrobił. Nie potrafię przestać myśleć o dziadku i domu w Lyonie... Poza tym ta cała wasza Anglia jest wyjątkowo... przygnębiająca.

- Jak to „przygnębiająca”? Maddy zmarszczyła brwi.

- Po pierwsze, język jest bardzo szorstki i moje galickie uszy najwyraźniej nie mogą się do niego przyzwyczaić; po drugie, jedzenie jest koszmarnie. Wielkie nieba, przecież w tym jagnięciu, które dostaliśmy na kolację, nie było ani szczypty rozmarynu, mam też poważne podejrzenia, że nie było to

wcale jagnię, tylko jakiś stary baran. Poza tym Dover jest takie zimne... i szare.

- Wzdrygnęła się.

- To przez mgłę.

- Tristan poczuł, że coś kłuje go w sercu na widok jej zrozpaczonej miny.

Przyglądał się, jak przebiera palcami płatki sztucznych kwiatów na nowym kapelusiku.

Czy przypominały jej utracony słoneczny klimat południowej Francji?

Delikatnie odsunął kosmyk włosów z jej czoła.

- Jutro na pewno wyjdzie słońce i wszystko będzie wyglądać o wiele lepiej... I nie oceniam angielskiej kuchni po kolacji w portowej tawernie. Według mnie nie ma nic lepszego niż nasza wiejska kuchnia. Choć muszę przyznać, że nasi kucharze nie posługują się tak ziołami i przyprawami jak ich koledzy po fachu na kontynencie. Może dlatego większość angielskiej szlachty zatrudnia Francuzów jako szefów kuchni...

Tristan wiedział, że za dużo papie, ale miał nadzieję, że to pomoże Maddy zapomnieć choć na chwilę o tęsknocie za domem. Sam doświadczył jej dostatecznie często przez ostatnie dwa lata, by rozpoznać objawy. Założyłby się również, że dziewczyna jest wykończona fizycznie. Nawet w mdłym świetle pojedynczej świecy widział ciemne smugi pod bursztynowymi oczyma i przeraźliwą błądź twarzą.

Maddy nic nie odpowiedziała na jego przydługą tyradę. Zapewne czekała, aż wywiąże się ze swego obowiązku i ją pocałuje. Ale jak mu Bóg miły, nie miał najmniejszego zamiaru ulegać jej zachciankom. Nie teraz. Nigdy więcej. Zrozumiał swój błąd i nie miał ochoty go powtarzać.

Niech to licha... Wyglądała tak młodo... i tak bezbronne... I tak bardzo nieszczęśliwie. Ogarnęła go jakaś niewypowiedziana czułość i nie miał już serca odmówić jej tego pocieszenia.

- Oj, Maddy - zamruczał tklawie i przygarbawszy ją do siebie, pocałował delikatnie jej miękkie wargi, dokładnie w ten sam sposób, w jaki czasem całował na pocieszenie Carolyn. Uniósłszy głowę, uśmiechnął się do niej gratulując sobie jednocześnie tak gładkiego wybrnięcia z sytuacji. Nareszcie mu się udało - pocałował ją i utrzymał na wodzy uczucia.

Westchnąwszy cicho dziewczyna przymknęła oczy i przytuliła się do niego.

- Nie wiedziałam - szepnęła cicho przytulona do jego piersi.

- Nic nie wiem o tych sprawach. Myślałam, że wszystkie pocałunki są jednakowe. Teraz już wiem, że nie. Ten był... taki inny od poprzedniego. Bardzo miły - dodała pośpiesznie - ...ale zupełnie inny.

- Uniosła rzęsy i spojrzała na niego bursztynowymi oczyma.

- Skąd wiesz, jaki pocałunek jest odpowiedni na jaką okazję?

Uniosła dłoń i delikatnie dotknęła policzka Tristana. Gest ten był tak czuły, że serce zaczęło w nim walić jak oszalałe.

- Maddy - szepnął ochryple. W tej samej chwili zobaczył, że wargi dziewczyny jeszcze przed momentem drżące w dzieciennym grymasie, teraz rozciągają się w prowokującym, kobiecym uśmiechu. Wydawszy gardłowe westchnienie raz jeszcze pochylił głowę i pocałował ją. Tym razem mocno i głęboko.

- Ojej - zamruczała Maddy odzyskawszy oddech.

- Widzę, że ty naprawdę znasz się na całowaniu. Na całowaniu wszelkiego rodzaju... - Przycisnęła place do ust i uśmiechnęła się do niego.

A niech ją szlag! Znowu doprowadziła go do tego, że stracił nad sobą panowanie! Jak to możliwe, by tak niewinna panienka była tak skuteczną uwodzicielką?! Wypuścił ją z objęć i odstąpił o krok. Jak ma jej wytłumaczyć, że tego typu zachowanie do niczego ich nie doprowadzi?

Wziął głęboki oddech.

- Maddy... - zaczął, lecz ona nie dała mu dokończyć zdania.

- Dobranoc, Tristanie - powiedziała cicho otwierając drzwi do swego pokoju. - Spij słodko. Dzięki twojemu pocałunkowi poprawił mi się nastrój i jestem pewna, że będę spać spokojnie. Tobie życzę tego samego.

Weszła do pokoju, lecz jeszcze na progu odwróciła się i uśmiechnęła do niego tajemniczo.

- Pamiętaj, że nie prosiłam cię o ten drugi pocałunek - dodała szeptem.

- Nadal jesteś mi winien dwa...

Zgodnie z przewidywaniami Tristana następnego dnia niebo było bezchmurne, a słońce wschodziło pomarańczowe zapowiadając piękny dzień. Maddy obudziła się w doskonałym nastroju i Tristan nie miał serca psuć go przydługą mową o przyzwoitości, którą przygotował podczas bezsennej nocy. Właściwie i tak nie miało to znaczenia. Kiedy już dotrą do Londynu i Garth zacznie się do niej zalecać, pannica na pewno zapomni o należnych jej dwóch pocałunkach.

Z ponurą determinacją poprzysiął sobie, że ostatnie godziny ich wspólnej podróży postara się spędzić jak najprzyjemniej.

Siwki były bardzo rozbrykane po długim okresie stania w stajni i Tristan nie oszczędzał ich. Gnali więc szybko w stronę Londynu zatrzymując się jedynie na krótkie postoje w przydrożnych gospodach. Z każdą milą przybliżającą ich do Londynu Tristan miał coraz większą ochotę zrzucić z siebie opiekę nad Maddy. Postanowił, że przy najbliższej sposobności poprosi lorda Castelreagha, by wysłał go jak najdalej od Londynu w jak najtrudniejszej misji.

Kiedy wjechali w granice miasta, zaczynało zmierzchać. Uliczni handlarze, kwiaciarki, przekupki i dzieci ustępowali miejsca umalowanym prostytutkom i bogaczom szukającym uciech na starych krętych uliczkach Londynu.

Tristan prowadził siwki szerokimi ulicami w kierunku dzielnicy, gdzie mieszkał Caleb Harcourt.

„Nie możesz przegapić Bloomsbury Square, to plac tuż obok British Museum” - powiedział mu stary kupiec, zanim wysłał go do Francji. I w rzeczy samej, łatwo trafił na miejsce, co zrobiło na Maddy spore wrażenie.

Nie miał pojęcia, czego się spodziewać po rezydencji leżącej tak daleko od domów bogaczy w Mayfair, ale w chwili, gdy zobaczył duży, dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, nie miał wątpliwości. Ten dom idealnie pasował do osobowości Caleba Harcourta.

Schludny, bezpretensjonalny, w odróżnieniu od okolicznych domostw nie ozdobiony jońskimi kolumnami ani szczerzącymi zęby gargulami, dom Harcourta miał symetryczną i piękną linię, która w dziwny sposób przypominała Tristanowi sylwetkę „Madelaine”.

- To tutaj mieszka mój ojciec? - zapytała Maddy z oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia.

- Jesteś pewien?

- Tak - odparł Tristan.

- Zanim wyjechałem, dał mi dokładne instrukcje, dokąd mam cię przywieść. Powiedział nawet, żebym szukał kołatki w kształcie delfina... i jeżeli oczy mnie nie mylą, oto ona.

Rzucił szylinga obdartemu chłopcu stojącemu na chodniku, który najwyraźniej żył z tego, że pilnował koni i powozów gości domu przy Bloomsbury Square. Potem pomógł dziewczynie wysiąść z powozu.

Ledwo weszli na schodki i zastukali, drzwi otworzyły się z hukiem. Na progu stał mały staruszek ubrany w strój lokaja, choć blizna na policzku i przepaska na oku sugerowałyby raczej, że jest piratem na emeryturze.

- Proszę wejść, panno Maddy... i pan, młody człowieku. Kapitan od kilku dni na was czeka... Chodzi wściekły jak osa i prawdę mówiąc, mam już tego dość - odezwał się zgryźliwie. Żaden kamerdyner w Mayfair nie ośmieliłby się tak powiedzieć o swoim pracodawcy, lecz najwyraźniej człowiek tak ekscentryczny jak Caleb Harcourt otoczył się równie dziwną służbą.

Cofnąwszy się w głąb hallu, staruszek wpuścił ich do wąskiego przedpokoju, którego ściany ozdobiono obrazami przedstawiającymi fregaty pod pełnymi żaglami. Każda miała flagę Harcourta na maszcie, a pod każdym obrazem widniała tabliczka z imieniem statku.

Tristana jednak o wiele bardziej zaintrygował model statku z kości słoniowej stojący na stoliku. Nie zauważył nawet, kiedy stary kamerdyner pokużył do schodów wiodących na górę i wrzasnął ze wszystkich sił:

- Panienska już tu jest, kapitanie! Może pan już przestać się boczyć!

- I nie czekając na odpowiedź pracodawcy, zniknął za drzwiami po lewej stronie schodów.

Kilka chwil później Caleb Harcourt zbiegł po schodach, bez fraka i kamizelki, z rękawami koszuli podwiniętymi do łokci i rozczochranymi włosami. Zatrzymał się parę kroków przed Tristanem i spojrzął na niego płonącymi oczyma.

- Więc wreszcie jesteście! - odezwał się grzmiącym basem, który Tristan pamiętał aż za dobrze.

- Najwyższa pora! Myślałam, że ze starym Boneyem depczącym wam po piętach będziecie tu wcześniej, niż zamierzałeś! A wy zjawiacie się cały tydzień później...

Tristan aż zagotował się z wściekłości.

- Okoliczności nam nie sprzyjały - odezwał się zimno.

- Prawdę mówiąc, przy całym tym zamieszaniu, jakie panuje we Francji, mamy sporo szczęścia, że w ogóle dotarliśmy do Londynu.

Harcourta zaskoczyła wściekłość w głosie młodzieńca.

- Oczywiście, rozumiem... - rzekł łagodząco.

- Ja wcale nie narzekałem, mój drogi. Po prostu przez ostatnie siedem dni wyłaziłem ze skóry ze zmartwienia.

To powiedziawszy odwrócił się do Maddy i przyjrzał się jej uważnie. Pod jego wzrokiem krew odpłynęła z twarzy.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ta dorosła kobieta to moja córka Maddy - mruknął ponuro.

- Niech to diabli, moja mała. Kiedy widziałem cię po raz ostatni, z łatwością nosiłem cię na barana. Zbyt wiele czasu upłynęło... Zbyt wiele. Maddy dygnęła przed nim nerwowo.

- Ja też się cieszę, że cię widzę, papo - powiedziała cicho. Tristan widział, że jest o wiele bardziej zdenerwowana, niż chce okazać.

Harcourt machnął lekceważąco ręką.

- No, no... moja mała. Żadnego tu podrygiwania przede mną. Jestem prostym człowiekiem i zawsze taki będę. Zachowaj takie dyrdymały dla pań z towarzystwa, którym cię przedstawię, gdy modystka wyszykuje ci piękne stroje.

- Zachichotał widząc zdumienie na twarzy córki.

- A tak. Mam dla ciebie wspaniałe plany. Układałem je przez te wszystkie długie lata, kiedy siedziałem tu samotnie i tęskniłem za tobą.

Maddy poczuła, że kolana się pod nią uginają. Wreszcie uwierzyła w słowa dziadka wypowiedziane na łożu śmierci.

- Zawsze sądziłam, że zapomniałeś o mnie, papo - odezwała się przez łzy.

- Dopiero niedawno dowiedziałam się, że...

- Zapomniałem o tobie? - W oczach Caleba Harcourta błysnęła ogień.

- Jak mogłaś tak myśleć, kiedy nawet podczas wojny Anglii z Francją znajdowałem sposoby, by przesmuglować pieniądze na twoje utrzymanie?

- Przyglądał się dziewczynie przez zmrużone powieki.

- Ten przeklęty stary łajdak nigdy ci nie powiedział?! A ja przez cały ten czas sądziłem, że moja córka po prostu nie chce do mnie pisać listów!

- Wyjął z kieszeni ogromną chustkę, wydmuchał nos i otarł oczy, które zrobiły się dziwnie wilgotne. Potem wzruszył potężnymi ramionami.

- Już dawno powinienem był posłać po ciebie, ale co się stało, to się nie odstanie... Nie lubię rozpamiętywać przeszłości...

- Wyciągnął ramiona do Maddy.

- Chodź tu, dziewczyno, i uściśnij swego starego ojca! Tęskniłem za tym przez piętnaście długich lat!

Maddy podeszła do niego nieśmiało, lecz znalazłszy się w jego objęciach, momentalnie cofnęła się myślami do czasów dzieciństwa, gdy ten ogromny mężczyzna nosił ją na ramionach po Hyde Parku. Przypomniała sobie też inne chwile, gdy płakała długo w noc leżąc w obcym łóżku i nie rozumiała, dlaczego jej ukochany papa odesłał ją do dalekiego kraju. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęskniła, ale widziała, że Tristan i tak jest już skrepowany tym nieoczekiwanym zwrotem akcji. Więc tylko położyła ojcu głowę na ramieniu i cicho zapłakała.

- No już, już - zamruczał olbrzym chwilę później.

- Dlaczego też stoimy w tym zimnym hallu niczym nieokrzesane wieśniaki?

- Potem uniósł podbródek Madelaine i przyjrzał się jej wyblakłej twarzyczce.

- I co to za cienie pod tymi ślicznymi oczkami...? - Uśmiechnął się łagodnie.

- Zdaje mi się, że najwyższa pora, by stary Griggins zaprowadził cię do sypialni. Połóż się i odpocznij po podróży, a ja w tym czasie zamienię słówko z bratem pana hrabiego. Potem zjemy kolację.

W jednej chwili widział, że jego córka jest już dorosłą kobietą, a w następnej traktował ją jak pięcioletnie dziecko. Będzie musiała uświadomić mu, że nie jest już taka mała i bezbronna, jak mu się zdaje. Ale nie teraz. Trochę później, kiedy odpocznie po podróży.

Maddy spokojnie wysunęła się z jego objęć i stanęła obok Tristana. W tym samym momencie Caleb Harcourt odrzucił głowę do tyłu i zaryczał niczym wściekły bawół:

- Griggins, stary lotrze! Gdzie ty się podziewasz?!

- Spokojnie, kapitanie! Właśnie kończę kolację - rozległ się głos zza zamkniętych drzwi po lewej stronie schodów. Maddy ledwo zdołała opanować śmiech, gdy drzwi się otworzyły i wszedł stary kamerdyner z bułką w ręce i okruszkami na brodzie.

Najwyraźniej ojciec był przyzwyczajony do braku subordynacji ze strony starego, gdyż wcale nie skomentował jego zachowania.

- Zabierz pannę Maddy do jej pokoju, dopóki jeszcze trzyma się na nogach - mruknął.

Dziewczyna odwróciła się do Tristana i przez chwilę widziała w jego oczach czułość i troskę, potem, jak gdyby przypomniawszy sobie, że nie są sami, z powrotem przywdział maskę chłodnej obojętności. Maddy zatrzymała wzrok na jego ustach i poczuła nieodpartą chęć, by wygzekwować drugi z należnych jej pocałunków.

Wielki Boże! Jak też można mieć tak nieprzyzwoite myśli? I to w obecności własnego ojca! Maddy miała tylko nadzieję, że Tristan oświadczy się o jej rękę dostatecznie szybko i powstrzyma ją przed zrobieniem jakiegoś strasznego skandalu towarzyskiego.

- Dziękuję, Tristanie - powiedziała opanowawszy się nieco.

- Przeżyliśmy razem wspaniałą przygodę, którą zapamiętam do końca życia. Ale papa ma rację. Nasza podróż dobiegła końca i jestem bardzo zmęczona. Chętnie się zdrzemnę.

- Zaczęła wchodzić na schody za starym Grigginsem, lecz zaraz zatrzymała się i odwróciła.

- Mam nadzieję, że wkrótce znowu cię zobaczę.

- Nie dziś, Maddy. Moja macocha źle się czuła w dniu mojego wyjazdu i bardzo się o nią niepokoję. Muszę wrócić jak najszybciej do domu.

- Doskonale, więc do jutra - odparła uśmiechając się zalotnie.

- Nie zapominaj, że nadal mamy pewną nie dokończoną sprawę...

Kiedy Maddy poszła na górę za starym służącym, Tristan i Caleb Harcourt przeszli do biblioteki. Starszy mężczyzna nalał im obu po sporej szklance brandy i usiadł za ogromnym biurkiem wskazując Tristanowi fotel stojący naprzeciwko.

Podobnie jak hall, biblioteka ozdobiona była malowidłami o tematyce morskiej. Poza tym na stoliku pod ścianą stał ogromny kompas.

Na wszystkich ścianach umieszczono wysokie regały wypełnione książkami. Tristan zastanawiał się, czy Harcourt naprawdę jest zapalonym mołem książkowym, czy też oprawne w skórę tomiszcza to jeszcze jeden sposób na zrobienie wrażenia na innych.

- Maddy jest bardzo podobna do matki - odezwał się olbrzym starając się przełamać pierwsze lody. - Poza wzrostem, rzecz jasna. Clarissa była o dobrą głowę niższa... to była najpiękniejsza kobietka, jaką Bóg stworzył. Wystarczyło, że na nią spojrziałem, i już straciłem głowę. Dopiero po urodzeniu się Maddy zrozumiałem, że ta kobieta nigdy w życiu nie zrobiła nic rozsądnego. Ona po prostu nie potrafiła myśleć. Mam nadzieję, że Maddy odziedziczyła rozum po mnie, nie po matce.

Tristan uśmiechnął się wspominając, jak często Madelaine zaskakiwała go jasnością umysłu.

- O to nie musi się pan martwić. Pańska córka jest bardzo inteligentna, a na dodatek odważniejsza od niejednego mężczyzny. Podróżując przez Francję napotkaliśmy na drodze sporo niebezpieczeństw, a ona zniosła je bez słowa skargi.

- Moja krew, co? Doskonale. Nie spodziewałem się po niej niczego innego.

- Harcourt przyjrzał się Tristanowi zmrużonymi oczyma.

- Co Maddy miała na myśli mówiąc, że macie jakieś wspólne nie dokończone interesy?

- Aaa... to takie przyjacielskie przekomarzanie - odrzekł młodzieniec wymijająco.

- Przyjacielskie, co? Nie mogłem nie zauważyć, jakęście się to zaprzyjaźnili podczas tej podróży! Już nawet mówicie sobie po imieniu!

- Urwał, po czym dodał cicho:

- Mam jednak nadzieję, że wasza przyjaźń nie jest zbyt bliska! Chyba pamiętasz, że twój brat lada dzień zostanie moim zięciem? Niestety, to on ma tytuł, a ja nie pozwolę mojej Maddy zmarnować się przy kimś, kto...

- A niech cię diabli, Harcourt! - przerwał mu gwałtownie Tristan. Poniosła go wściekłość. Miał ochotę grzmotnąć w zęby tego starego, bezwzględneho tyrana! Jak on śmie?! - Przez ciebie ja i twoja córka znaleźliśmy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji! Jakoś udało nam się przeżyć we Francji, choć nie było to łatwe, więc nic dziwnego, że się zaprzyjaźniliśmy! Nie podobają mi się twoje sugestie, że w jakikolwiek sposób wykorzystałem tę przyjaźń! Dla pańskiej informacji: to, że jestem bękartem, wcale nie znaczy, że jestem pozbawiony sumienia i honoru!

Harcourt zamrugał ze zdumienia.

- Uspokój się, chłopcze. Nie chciałem cię urazić. Nie mam nic przeciwko bękartom. Prawdę mówiąc, sam jestem z nieprawego łoża i dlatego chcę dla mej córki czegoś lepszego. Widziałem, do czego moja sytuacja doprowadziła jej matkę. Nie pozwolę, by damulki z londyńskich wyższych sfer pomiały moją Maddy tylko dlatego, że ja się im nie podobam!

- Rozumiem pana. Gdybym miał córkę, zapewne czułbym podobnie - odparł sztywno Tristan.

- Jeżeli to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia, chciałbym ruszać w drogę. Do Winterhaven mam jeszcze ze dwie godziny drogi, a moje konie są już nieźle zmachane.

- Nie jedziesz do Winterhaven.

- Co takiego?

- Lady Ursula prosiła, bym ci przekazał, drogi chłopcze, że miejska rezydencja Randów została otworzona i na czas sezonu cała rodzina będzie mieszkać w Londynie. Wszystkie twoje rzeczy, ubrania i takie tam, zostały przywiezione z Winterhaven.

Tristan nie mógł uwierzyć własnym uszom. Mieszkał w miejskiej rezydencji przez dwa dni przed odpłynięciem do

Francji i nie wyobrażał sobie, by Ramsdenowie chcieli spędzić tam cały sezon. Cała służba została zwolniona wiele miesięcy temu, a większość mebli, obrazów i arrasów została sprzedana przez czwartego hrabiego na

pokrycie wydatków związanych z hazardem. Domyślił się, że Caleb Harcourt zaczął wywiązywać się ze swej obietnicy.

Od początku wiedział, że tak się stanie. Już się z tym pogodził. Ale to ostatnie przypomnienie, że Maddy wkrótce zostanie żoną jego brata, mocno go zabolalo.

Bez dalszych ceregieli wstał z fotela. Chciał wyjść z tego domu jak najszybciej... zanim Maddy się obudzi.

Caleb Harcourt wstał również i uściskawszy mu dłoń zapewnił o swej dozgonnej wdzięczności za bezpieczne odwiezienie córki do domu.

- Dajcie nam ze trzy, cztery dni... Przez ten czas wyszukujemy sukienki dla Maddy i będziecie mogli nas odwiedzić - powiedział odprowadzając Tristana do drzwi.

- Odwiedzić was? - Spojrzał na niego zaskoczony.

- To był pomysł lady Ursuli. To wspaniała kobieta. Wie, co wypada, a co nie. Uważa, że najlepiej będzie, jeżeli to ty ich sobie przedstawisz. W końcu to ty znasz ich oboje najlepiej.

- Spokojna pewność siebie starego łotra doprowadzała Tristana do furii.

- Zgadzam się z nią co do joty. Chociaż ich związek został już właściwie przypieczętowany, lepiej będzie dla Maddy, jeżeli zachowamy pozory. Młode dziewczęta lubią sądzić, iż to miłość łączy ludzi.

Tristan bez słowa skinął głową i pobiegł do czekającego na niego powozu.

Maddy obudziła się nieco oszołomiona. Czuła się tak, jak gdyby przed snem zażyła laudanum. Zdezorientowana leżała spokojnie z szeroko otwartymi oczyma i zastanawiała się, gdzie się znajduje. A potem wszystko sobie przypomniała. Była w domu ojca, w pokoju, do którego zaprowadził ją ten przedziwny kamerdyner.

- Będzie tu paniące wygodnie, panno Maddy - powiedział staruszek z uśmiechem otwierając przed nią drzwi.

- Choć pokój nie jest tak piękny jak te w domach na Mayfair, na pewno jest wygodny. Mam nadzieję, że się paniące podoba. Kapitan sam wybierał wszystko... kolory... i takie tam...

W rzeczy samej, gdy dziewczyna rozejrzała się po sypialni, doszła do wniosku, że bardzo jej się to podoba. Było ciemno

- jedyne światło dawała mała oliwna lampkę stojąca na stoliku przy łóżku. Naprzeciw drzwi znajdował się ogromny marmurowy kominek, a jasnozielona narzuta na łóżku, na której właśnie leżała całkowicie ubrana, była z jedwabnego adamaszku.

Zegar stojący na okapie kominka wybił cicho godzinę i dziewczyna aż podskoczyła. Spała ponad dwie godziny. Ojciec na pewno zmęczył się czekaniem na nią i sam zjadł kolację. Na tę myśl zaburczało jej w żołądku i przypomniała sobie, że od czasu jej ostatniego posiłku minęło już dwanaście godzin.

Spuściła nogi na podłogę i wsunąwszy pantofle podeszła do komody stojącej pod ścianą. Ochlapała twarz zimną wodą i przeczesała palcami potargane włosy. Właśnie miała ruszyć na poszukiwanie ojca, kiedy coś przyciągnęło jej uwagę.

Na pobliskiej półeczce siedziała mała szmaciana laleczka o włosach z żółtej wełny i oczach z guzików. Siedziała oparta między małą łódeczką a domkiem dla lalek, w którym każdy mebelek był ręcznie wyrzeźbiony z kości słoniowej. Jej zabawki... zostawione w domu ojca podczas ucieczki do Francji piętnaście lat temu. Ojciec trzymał je przez cały ten czas... Ustawił je na półce z taką samą troskliwością, z jaką wystawił model statku na stoliku w hallu. Poczuli, że coś dławi ją w gardle.

Wziąwszy świeczkę do ręki, Maddy zeszła po schodach na parter. Gdzie jest ojciec? Albo przynajmniej Griggins? Albo na przykład reszta służby... Kto się zajmuje tak wielkim domem?

Przypomniała sobie, że na wołanie ojca Griggins wynurzył się z jakichś małych drzwi po lewej stronie schodów... Może tam jest kuchnia? Może znajdzie coś do jedzenia... albo jeszcze lepiej - ugotuje sobie? Nie wierzyła, żeby w angielskiej kuchni można było znaleźć przyzwoite dania, ale przecież gotowania uczył ją najlepszy kucharz dziadka...

Miała rację. Otworzywszy drzwi przy schodach zobaczyła długi korytarz, przy którego końcu słychać było męskie głosy.

Po chwili znalazła się w kuchni bardzo przypominającej kuchnię w domu dziadka w Lyonie. Na środku pomieszczenia stał ogromny drewniany stół, na którym piętrzyły się drewniane miski, talerze i sztucce, na ścianach wisiały garnki, a na piecu stał ogromny czajnik.

- Maddy, złotko! Wreszcie się obudziłaś! - Zadudnił basem Caleb Harcourt. Siedział przy niewielkim okrągłym stole, pochylony nad miską parującej stawy. Nadal miał na sobie tylko koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Obok niego, popijając herbatę, siedział Griggins. Dziadek dostałby apopleksji na samą myśl o tym, że miałby jeść w kuchni w towarzystwie służących!

- A już postawiłem na tobie krzyżyk. Myślałem, że będziesz spać całą noc!
- Ojciec patrzył na nią z uwielbieniem.

- Siadaj, siadaj... Jesteś pewnie głodna jak wilk, a Cookie trzyma garnek ze strawą na piecu już od wielu godzin.

Po raz pierwszy Maddy dostrzegła, że w kuchni znajduje się ktoś trzeci. Zaskoczona spojrzała jeszcze raz. Dwoje błyszczących, czarnych oczu przyglądało się jej spod masy kręconych czarnych włosów siwiejących tu i ówdzie. Pominąwszy ogromny biały fartuch owinięty dokoła szczupłego ciała, można by pomyśleć, że to jej dobroczyńca z Lyonu, monsieur Forli.

- Giuseppe Pontizetti del Florino, do pani usług, Księżniczko - zaintonował mały człowieczek z tak mocnym włoskim akcentem, że dziewczyna ledwo go zrozumiała.

- Teraz już wiesz, dlaczego nazywamy do Cookie.

- Caleb Harcourt zachichotał.

- Ale to prawdziwy geniusz, więc Griggins i ja jakoś go znosimy.

- Urwał czekając, aż kuchcik postawi przed dziewczyną talerz z jedzeniem, a potem, podając jej widelec, dodał:

- I to już całe moje gospodarstwo.

- Tylko trzech ludzi w tak ogromnym domu? Ojciec kiwnął głową.

- Och, mamy tu jeszcze gospodynię, dwie pokojówki, służącego i chłopca na posyłki, ale oni przychodzą tylko w dzień. Nie zadawałbym się z nimi nawet przez minutę, gdybym tylko wiedział, jak się bez nich obejść. Nigdy nie podobał mi się pomysł trzymania licznej służby.

- Skinął w kierunku dwóch mężczyzn siedzących po przeciwnej stronie stołu.

- Do tych już się przyzwyczałem. Griggins był kiedyś moim pierwszym oficerem, a Cookie pływał ze mną przez ponad ćwierć wieku.

- Tak, tak, panno Maddy, to były czasy.

- Griggins pokiwał głową.

- Nie to co teraz. I fregaty były inne. Ale wszystko się zmienia. Kapitan przeniósł na emeryturę i mnie, i Cookie'ego, i starą łajbę.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem. Jasne było, że ci dwaj „pracownicy” ojca byli bardziej jego przyjaciółmi i towarzyszami dawnych wypraw, niż służącymi. Cóż za dziwny dom, jak na człowieka uważanego za najbogatszego w Londynie! A jednak pasował do niego w każdym calu.

Caleb właśnie skończył jeść i położył widelec na pustym talerzu. Zmarszczył groźnie grube, ciemne brwi i spojrzał na córkę ponuro.

- Ten dom nie odpowiadałby żadnej kobiecie i doskonale zdaję sobie z tego sprawę, moje dziecko.

- Mnie odpowiada, papo - odparła szybko zastanawiając się, dlaczego ojciec tłumaczy się przed nią z tak wspaniałego domu.

- Nawet tak nie mów, Maddy, złotko. Ten dom i służba odpowiadają moim skromnym potrzebom, ale wiem, że jest on o wiele mniejszy niż domy na Mayfair. Na pewno jest też za mały dla młodej dziewczyny, w wieku odpowiednim do zamążpójścia, która chciałaby zrobić wrażenie na londyńskim towarzystwie.

- Ależ papo, ja na nikim nie chcę robić wrażenia.

- Maddy patrzyła na ojca w osłupieniu.

- Oczywiście, że chcesz. Każda kobieta marzy o takich rzeczach, a ja dopilnuję, abyś miała wszystko, czego dusza zapagnie.

- Uśmiechnął się dumnie.

- Tym razem będzie inaczej niż z twoją matką. Teraz mam więcej pieniędzy niż większość szlachty razem wzięta. I na miłość boską, zrobisz na ludziach wrażenie, choćby miało mnie to kosztować ostatniego pensa. Ułożyłem już cały plan i nim minie rok, będziesz mieć wszystko, o czym tylko zamarysz: bale, przyjęcia, zabawy... a nawet zaproszenie do Carlton House.

Maddy nie chciała się z nim kłócić. Nie teraz, kiedy niczym dziecko cieszył się swymi planami. Nie potrafiła być okrutna i przypomnieć mu, że sądząc po zasłyszanych historyjkach, angielska szlachta nigdy nie przyjmie do swego kręgu córki kupca.

Nie była też na tyle naiwna, by sądzić, że poślubienie byłego szpiega i bękarta hrabiego pomoże jej w zyskaniu pozycji społecznej. Ale to nie na tym jej zależało. To o Tristanie marzyła dniami i nocami i to jego poślubi... Gdy tylko on się jej oświadczy.

SK

Rozdział dziesiąty

Kiedy Maddy wstała następnego dnia rano, zastała ojca w salonie; rozmawiał z chudą nerwową kobietą o brązowych włosach i niebieskich oczach.

- Aaa... Maddy, złotko - odezwał się radośnie na widok córki.

- To jest madame Heloise Blouseau, francuska modystka, o której lady Ursula wyrażała się z wielką aprobatą. Poleciałem jej, by uszyła ci parę sukienek. Będą ci musiały wystarczyć do czasu, aż lady Ursula zaplanuje resztę twojej garderoby.

Kim jest tajemnicza lady Ursula i dlaczego to ona ma zajmować się jej garderobą, tego ojciec już nie wyjaśnił. A Maddy wołała nie pytać go o to w towarzystwie modystki w obawie, że to jego obecna kochanka.

- Lady Ursula zasugerowała dwie dzienne suknie, jedną wyjazdową i jedną wieczorową, która będzie mogła być używana jako kostium do teatru bądź suknia balowa - odezwała się madame Heloise z tak dziwnym akcentem, że Maddy od razu zorientowała się, że ta dama nigdy nie mieszkała na kontynencie. Ledwo powstrzymała się od śmiechu, lecz gdyby ujawniła tożsamość fałszywej modystki, tym samym rzuciłaby cień na gust nieznannej lady Ursuli.

- Z jakiej części Francji pani pochodzi? - zapytała, gdy zostały same.

- Odkąd skończyłam pięć lat, mieszkałam we

Francji i sądziłam, że znam akcenty wszystkich prowincji. Nigdy jednak nie słyszałam akcentu podobnego do pani...

Uśmiechnęła się pod nosem widząc, jak fałszywa Francuzka robi się krwistoczerwona na twarzy, a potem równie nagle blednie.

- Jezus, zmiłuj się - jęknęła dama przeciągle.

- No to koniec... teraz pewno panienka wszystko wygada staruszkowi...

- Jeżeli to ma znaczyć, że opowiem wszystko ojcu, to oczywiście, że nie.

Niby po co? Chyba że zamierza go pani oszukać?

Madame Heloise wyprostowała się dumnie.

- Oczywiście, że nie. Doskonale szyję. W całym Londynie nie ma równej mi modystki.

- Więc dlaczego udaje pani, że jest Francuzką? Kobieta prychnęła głośno.

- A jak długo utrzymałabym klientów, gdyby wiedzieli, że jestem zwykłą Mary Blodgett, urodzoną i wychowaną w dokach East Endu? Gdyby wiedzieli, że moja mamuśka jest starą pijaczką, a ojciec nierobem?

- Aaa... chyba zaczynam rozumieć. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

- Nie wiem nic o prorokach, ale znam się na modystkach i wiem, co sprawia, że są popularne wśród dam z towarzystwa - zamruczała madame Heloise mnąc w dłoniach taśmę krawiecką. - Przez dziesięć długich lat pracowałam u pewnej francuskiej harpii, madame Adrienne. To ja rysowałam projekty i szylałam stroje, ona tylko zgarniała za to pieniądze. Kiedy wreszcie wyciągnęła kopyta, wyszłam z zaplecza i przedstawiłam się jako jej kuzynka z Francji. Nauczyłam się francuskiego wystarczająco dobrze, by przebranie się udało... no, a teraz wszystko na nic.

- Ależ madame, pani sekret jest u mnie bezpieczny. Przysięgam, że nikomu nie powiem - obiecała Maddy.

Na policzki modystki powróciło nieco koloru.

- Dlaczego? Dlaczego panienka robi to dla mnie?

- Bo uważam, że to, co zrobiłaś, jest wspaniałe. Dzięki własnym zdolnościom i sprytowi zrobiłaś karierę. Dopiero niedawno zrozumiałam, jak wiele szacunku należy się ludziom, którzy własną pracą dochodzą do sukcesu.

- Madelaine uśmiechnęła się szeroko.

- A teraz bierzmy się do roboty. Nie powinnyśmy zawieść pani patronki, lady Ursuli.

Dwie godziny później, gdy madame Heloise wzięła już wszystkie niezbędne wymiary i pokazała próbki materiałów, dziewczyna wreszcie została sama. Modystka obiecała, że pierwsza suknia będzie gotowa już na następny dzień, a pozostałe niedługo później i to za pół ceny, jaką zwykle liczyła bogatym klientom.

Zgodnie z obietnicą, następnego popołudnia przysłała chłopca z paczką, w której oprócz żółtej jedwabnej sukni była też jedwabna bielizna, gorset, pończochy, szlafroczek i pantofelki.

Maddy natychmiast poprosiła służącego, by przyniósł jej do pokoju wannę i gorącą wodę. Chciała się wykapać i umyć włosy. Potem szybko się wysuszyła i ubrała w nowe stroje. Następnie zeszła do salonu na drugim piętrze i usiadła przy oknie czekając na przyjazd Tristana. Podczas podróży przyzwyczaiła się do jego obecności i teraz bardzo jej go brakowało. Czowała się niepewnie i nieswojo bez niego u boku. Nie mogła się doczekać jego powrotu.

Ale on się nie pojawiał. Ani tego dnia, ani następnego... ani nawet dwa dni później.

Kiedy minęło pięć dni, a on nadal nie przyszedł w odwiedziny do domu na Bloomsbury Square, zaczęła mieć okropne podejrzenia, że mówił całkiem poważnie, gdy wspominał, iż to honor zabrania mu prosić o jej rękę.

Jednak w obecności ojca zawsze udawało się jej ukryć ponure myśli i udawać roześmianą. Nie potrafiłaby przyznać mu się do tego, że rzuciła się pewnemu mężczyźnie na szyję, a on jej po prostu odmówił. Bez względu na powód.

Każdego ranka o wpół do ósmej Caleb Harcourt wychodził z domu, by dopilnować interesów w mieście, i Maddy zostawała sama. Te samotne godziny byłyby dla niej nie do zniesienia, gdyby nie Cookie. Kiedy dowiedział się o jej pasji do gotowania, raz na zawsze zaprosił ją do swej kuchni - zaszczyt, którego dostąpiło niewielu. Pod podejrzliwymi spojrzeciami Grigginsa razem szatkowali warzywa, mieszały sosy i ubijali desery, które później chwalił Harcourt, nie wiedząc, że to jego córka je przygotowywała.

Cookie też chwalił jej poczynania. Powiedział nawet, że gdyby nie była córką Caleba Harcourta, mogłaby pracować jako szef kuchni w najlepszych domach Londynu.

Maddy nigdy nie przyznała się ojcu do swej pasji i zabroniła też mówić o niej Cookiemu i Grigginsowi. Instynktownie wyczuła, że podobnie jak dziadek, ojciec nie pochwaliby jej poczynania.

Żeby mu sprawić przyjemność, każdego dnia, zanim wrócił z pracy, wkładała nową suknię i wirowała przed nim chwaląc krój i tkaninę. Mogłoby się zdawać, że całe jej życie obraca się wokół staniczków i spódniczek.

Aż wreszcie, pewnego popołudnia, kiedy stała w oknie i czekała na ojca, zobaczyła Tristana jadącego przez Blooms-bury Square. Nawet nie zwróciła uwagi na towarzyszącego mu mężczyznę. Podziwiała pięknego karego ogiera, na którym przyjechał Tristan; czarna, falująca grzywa rumaka przypominała bujne loki jego właściciela.

Znikł obdarty, nie ogolony towarzysz jej wędrowki przez Francję. Najwyraźniej wziął swą zaległą wypłatę z ministerstwa wojny, gdyż odziany był w wytworny granatowy frak, jasno-beżowe zamszowe spodnie, wysokie buty do konnej jazdy i wysoki cylinder. Wyglądał tak pięknie, że dziewczyna przez długą chwilę stała w oknie i patrzyła na niego z rozchyłonymi ustami.

- Tristan! - zawołała biegnąc mu na powitanie. Griggins właśnie otwierał przed gościem drzwi i bardzo się zdziwił żywiołowym okrzykiem paniąki. Uśmiechnęła się do Tristana promiennie i ledwo zauważyła kogoś stojącego za nim - młodego mężczyznę o jasnych oczach i jasnych włosach, którego właściwie nie było widać zza Tristana wyższego od niego o głowę.

- Dzień dobry, Maddy - odparł chłodno gość. Dziewczyna rozpoznała ten ton. Tak mówił Tristan, zanim odkryła w nim namiętność i ogień. Wyciągnął swego towarzysza przed siebie i dodał: - Niech mi wolno będzie przedstawić ci mego brata, Gartha Ramsdena, piątego hrabiego Rand.

Maddy wyciągnęła dłoń, a hrabia uniósł ją do ust.

- Bardzo mi miło - wykrztusił z trudem. Dziewczyna zauważyła ponuro zaciśnięte usta i wyraz niesamowitego smutku w jego niebieskich oczach. Zastanowiła się, czy ukochany brat Tristana nie przeżył ostatnio jakiejś ogromnej tragedii. Czy to dlatego Tristan tak długo nie przyjeżdżał? Czy jego obojętna mina skrywała jakiś ogromny smutek, który łączył go z bratem?

Kiedy przeszli do salonu i usiedli wygodnie, zapanowała niezręczna cisza. Dziewczyna miała wrażenie, że młody hrabia przygląda się jej uważnie, niczym koniowi wystawionemu na sprzedaż.

Najwyraźniej Tristan chciał zyskać aprobatę brata, zanim się oświadczy. Na myśl o podobnej ambiwalencji uczuciowej u mężczyzny, któremu już dawno oddała serce, Maddy poczuła ukłucie gniewu. Nie spodziewała się, że człowiek tak hardy jak Tristan Thibault potrzebuje aprobaty rodziny, bardzo się zawiodła. Postanowiła, że powie mu to przy pierwszej sposobności.

A jednak otrzymane wychowanie powstrzymało ją od wszczęcia awantury i rozpaczliwie szukała w myślach tematu do rozmowy z angielskim arystokratą. Pierwsza przyszła jej na myśl pogoda - był to fatalny wybór, gdyż zanim się spostrzegli, rozmawiali o cudach brytyjskiej przyrody i po kilku chwilach Maddy była znudzona jak mops. Całe szczęście, że to Garth odziedziczył tytuł - jest tak nudny, że gdyby nie to, na pewno nie znalazłby sobie żony.

Tristan nie włączał się do rozmowy; siedział sztywno wyprostowany i milczący, przypatrując się ich rozpaczliwym wysiłkom, by nadać rozmowie ton szczerości. Zachowywali się jak dwie rybki, które połknąwszy haczyk nie potrafią go ani wypluć, ani strawić. Maddy zagryzła wargi i przysięgła sobie, że każe mu zapłacić za tę farsę, nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Jak on śmie narzucać jej tego nudziarza? Czy to miał być test, jak potrafi poradzić sobie z jego utytułowaną rodziną?

Właśnie kończył się jej zapas cierpliwości, gdy usłyszała powóz ojca zajeżdżający przed dom. W chwilę później Caleb Harcourt wpadł do saloniku.

- Witam pana, milordzie Rand! - zawołał radośnie już od progu.

Hrabia i Tristan szybko wstali i przywitali się z gospodarzem. Stojąc między dwoma wysokimi mężczyznami, niski hrabia zdawał się ginąć z powierzchni ziemi - najwyraźniej i on zdawał sobie z tego sprawę, gdyż zaczerwienił się mocno. Maddy poczuła szczerze współczucie dla tego małego człowieczka o smutnych oczach. Złość ją brała na tych dwóch olbrzymów górujących nad nim.

- Popatrz, jak to miło, Maddy. To twoi pierwsi goście, a jeden z nich jest hrabią! - Ojcu błysnął w oczach dziwny wyraz myśliwego czającego się na zwierzynę i Maddy nagle przypomniała sobie jego plany na temat jej społecznego awansu. Miała nadzieję, że ojciec przestanie płaszczyć się przed hrabią, zanim zrobi z siebie kompletnego głupca... oczywiście była to tylko złudna nadzieja.

- Tak bardzo chciałem, by Maddy poznała kogoś, kto pomógłby jej wniknąć w kręgi wyższych sfer - dodał chytrze Harcourt siadając na fotelu i gestem nakazując młodzieńcom, by poszli w jego ślady. Maddy omal nie

zazgrzytała zębami z wściekłości. Ojciec bezwstydnie narzucił się biednemu hrabiemu! Hrabia Rand odkaslnął cicho.

- Właściwie... właśnie chciałem powiedzieć, że w następny piątek odbędzie się bal u lady i lorda Faversham. Będzie zapewne ogromny ścisk, bo wszyscy się tam zjawią... Myślę, że to wspaniała okazja, by przedstawić pańską córkę tutejszej śmietance towarzyskiej.

- Znowu zakaszłał.

- Lord Faversham jest moim dobrym przyjacielem. Wystarczy, że go poproszę, a panna Madelaine otrzyma zaproszenie. Byłoby mi bardzo miło...

- Cóż za wspaniały pomysł, milordzie... Oczywiście, że Maddy z chęcią z panem pójdzie, nieprawdaż córeczko?

Maddy zmusiła się do uśmiechu.

- Jestem przekonana, że będzie to uroczę przyjęcie i bardzo panu dziękuję za zaproszenie, milordzie, muszę jednak odmówić.

- Na widok trzech par zaskoczonych oczy poczuła ogromną satysfakcję. Po chwili dodała tonem wyjaśnienia:

- Nie ma sensu, bym szła na bal, gdyż nie umiem tańczyć.

- Nie potrafisz tańczyć?! - wykrzyknęli hrabia i Harcourt jednocześnie. Identycznie zszokowane miny rozbawiły dziewczynę niepomiarowo. Nawet Tristan wydawał się zaskoczony jej wyznaniem.

- Co też twój dziadek robił z tymi wszystkimi pieniędzmi, które mu posyłałem?! - wrzasnął Harcourt.

- Może jeszcze mi powiesz, że nie potrafisz grać na fortepianie, śpiewać ani malować akwarelek?

- Nie wiem, co się działo z każdym frankiem - odparła szybko - ale podejrzewam, że większość została przeznaczona na łapówki dla przedstawicieli władz. Dziadek nie chciał, by dotarło do uszu Foucheta, że jeden z jego najzagorzalszych wrogów żyje spokojnie w Lyonie. No tak, nie umiem grać na fortepianie ani nie potrafię śpiewać. Nigdy też nie bawiło mnie malowanie obrazków. Mówiąc krótko, nie posiadam tych wszystkich talentów, jakimi obdarzone są tutejsze panienki na wydaniu. Obawiam się, że twój pomysł zaprezentowania mnie w towarzystwie spali na panewce.

Ojciec zaczerwienił się jak burak, Maddy nie wiedziała tylko, czy z gniewu, czy z zażenowania?

- Bzdury - warknął po chwili.
- Wszystko można jeszcze naprawić. Zatrudnię dla ciebie najlepszych nauczycieli...
- Mama będzie wiedzieć, do kogo się udać - wtrącił cicho hrabia.
- Poproszę ją, by jeszcze dziś sporządziła listę.
- Dziękuję, milordzie. Będę dozgonnie wdzięczny. Ufam słowu lady Ursuli we wszystkim.

Mama hrabiego - ukochana macocha Tristana - i tajemnicza lady Ursula to ta sama osoba? Maddy wodziła oczyma od ojca do hrabiego i czuła, że serce zaczyna jej walić jak oszalałe. Właśnie zaczynała rozumieć, co się tutaj dzieje. Ten szalony plan ojca... chyba nie dotyczył też hrabiego Rand? Tristan powiedział, że zgodził się przywieźć ją z Francji, gdyż „jej ojciec pomógł jego bratu w ciężkiej sytuacji”. Wielki Boże! Czyżby hrabia został zmuszony do zaprezentowania jej londyńskiemu towarzystwu?

Tristan poruszył się niespokojnie na fotelu. Skrzyżował nogi i spojrzał na brata.

- Mógłbyś zabrać Maddy do teatru, Garth. To da ludziom jasno do zrozumienia, że się nią interesujesz - powiedział potwierdzając najgorsze przewidywania dziewczyny.

- Słyszałem, że jeden z najlepszych angielskich aktorów, Edmund Kean, występuje jutro wieczorem w Otellu.

- Odwrócił się do Maddy. Rozciągnął wargi w uśmiechu, który nie dotarł do jego oczu.

- Otello to dramat jednego z najsławniejszych bardów Anglii.

- Znam dzieła pana Szekspira - odparła sztywno.

- Może i nie mam umiejętności waszych brytyjskich panien, ale nie jestem analfabatką. Czytałam jego sztuki... podobały mi się tak bardzo, że nawet część z nich przetłumaczyłam na francuski, tak by i dziadek mógł je przeczytać.

- Więc na pewno spodoba ci się gra pana Keana.

Na pewno, gdyby tylko okoliczności były inne, pomyślała Maddy ponuro. Choć była pewna, że Tristan proponuje wyjście do teatru tylko po to, by pomóc bratu spłacić dług wdzięczności, jaki ten zaciągnął u jej ojca, była wściekła, że stawia ją w tak niezręcznej sytuacji. Wszystko to było takie

wulgarnie, takie nieprzyjemne i niepotrzebne. Wolalaby zmieszać się z tłumem w pałacu cesarza Napoleona, niż błagać londyńską śmietankę towarzyską, by przyjęła ją w swe szeregi.

Już otwierała usta, by to powiedzieć, gdy Garth spojrział na nią nieśmiało.

- Ależ oczywiście - powiedział cicho. - Teatr jest idealnym rozwiązaniem, a pan Kean to rzeczywiście doskonały aktor. Jaki ty jesteś mądry, Tristanie. Na pewno się pani spodoba, panno Harcourt. No i nikt się nie domyślił pani braków w edukacji.

Gdyby nie nieśmiały uśmiech, jego słowa zabolowałyby ją. Pomyślała, że hrabia jest naprawdę wyjątkowo miłym człowiekiem i nic dziwnego, że Tristan tak go kocha. Zdaje się, co prawda, że hrabia nie jest zbyt błyskotliwy, ale na pewno ma wielkie serce. I teraz, przez jej ojca, ten niewinny człowiek został wciągnięty w przykrą grę i postawiony w niemiłej sytuacji. Nieomal w równie przykrych, jak ona sama.

- A więc spotkamy się na Drury Lane, panno Harcourt - dodał niepotrzebnie Garth.

- Może jutro wieczorem?

Maddy odmówiłaby mu w tej samej chwili, gdyby wiedziała, że to zakończy ich mękę. Była jednak przekonana, że hrabia jest równie wrażliwy na punkcie swego honoru, co Tristan. Wyzwolić mogło go tylko spłacenie długu.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Doskonale, milordzie. Jutro wieczorem.

- Skinęła przejmie głową. Potem zwróciła się do Tristana.

- Pójdiesz z nami? W końcu to był twój pomysł.

Z niecierpliwością czekała na odpowiedź. Bardzo chciała, by Tristan z nimi poszedł. Nie tylko dlatego, że swój pierwszy wieczór w londyńskim teatrze chciała spędzić właśnie z nim, ale i dlatego, że zapewne mały hrabia będzie się czuł o wiele pewniej w obecności brata.

Z jakiegoś dziwnego powodu jej pytanie wyprowadziło Tristana z równowagi.

- Nie, Maddy. Nie mogę - odrzekł krótko unikając jej wzroku.

- Jestem już umówiony i honor nakazuje mi dotrzymać słowa. Od tego zależy moja praca.

Honor. Znowu to przeklęte słowo. Maddy aż zazgrzytała zębami z wściekłości. Czy on naprawdę myśli, że nikt inny nie zna znaczenia tego słowa? Dlaczego tak często to powtarza? Powinna się domyśleć, że to honor zabroni mu iść z nimi do teatru, podobnie jak honor nie pozwala mu oświadczyć się o jej rękę. Francuzi też często mówili o honorze, ale nie wtedy, gdy chodziło o sprawy sercowe.

Wielki Boże, i co można zrobić z takim mężczyzną? Z inną kobietą mogłaby konkurować o jego względy, ale jak ma wygrać walkę z jego honorem?

Zranił ją odmową. Błysk zaskoczenia i bólu, który zobaczył w jej oczach, boleśnie go zaskoczył. A jednak będzie musiał zranić ją jeszcze mocniej. Tylko rozwiewając jej złudzenia może doprowadzić do tego, by odnalazła szczęście w związku z mężczyzną, którego ma poślubić.

Na szczęście wyżej wspomniany mężczyzna nie odezwał się ani słowem w ciągu ostatniej pół godziny, odkąd wyszli z domu Harcourta. Tristan nie był pewny, czy potrafiłby ukryć przed bratem swe prawdziwe uczucia dla Maddy.

Kątem oka zauważył, że Garth popędza konia. Po chwili zwierzęta szły łeb w łeb.

- Muszę przyznać, że panna Harcourt okazała się zaskakującą młodą damą - odezwał się Garth. Tristan zauważył, że tak mocno ścisnął wodze w dłoniach, że aż zbiałyły mu kłykcie.

- Ani trochę nie przypomina wieśniaczki, o której mówił jej ojciec. Poza tym, jest bardzo wysoka...

- Aha. - Tristan ledwie skinął głową.

- Ale wydaje się być bardzo miła.

- Podczas naszej podróży przez Francję wydała mi się miłą dziewczyną.

Garth patrzył prosto przed siebie i nie zwracał uwagi na dziwne zachowanie brata.

- Wydaje się być zaskakująco inteligentna. Nigdy do tej pory nie spotkałem kobiety, która czytałaby Szekspira, nie mówiąc już o tłumaczeniu go na francuski! - Westchnął ponuro.

- Niech to diabli! Mam nadzieję, że jakoś się dogadamy. Inteligentne kobiety zawsze mnie onieśmielają...

Tristan nic nie odpowiedział. Nic nie przychodziło mu do głowy... Garth był naprawdę nieco tępawy, choć serce miał dobre.

Ogarnęło go nagłe przerażenie. Miał nadzieję, że związek jego łagodnego, spokojnego brata i ognistej, złośliwej córki Caleba Harcourta nie okaże się zupełną katastrofą. Teraz nic już nie mógł zrobić, by zapobiec ich małżeństwu, któremu od początku nie wróżył nic dobrego.

Żachnął się nagle. Wystarczyło mu, że do końca swoich dni będzie musiał żyć ze złamanym sercem; naprawdę nie musiał jeszcze patrzeć na nieszczęście dwojga ludzi, których kochał najbardziej na świecie.

Następnego dnia wieczorem hrabia zjechał przed dom Caleba Harcourta w eleganckim krytym powozie ciągniętym przez czwórkę dobranych kasztanków. Rodzinny herb świecił się na drzwiach pojazdu, a stangret i służący mieli na sobie ozdobne liberie.

Kiedy wcześniej tego wieczora Maddy przeglądała się w lustrze, wydała się sobie bardzo elegancka. Miała piękną wieczorową suknię z różowej krepy haftowaną w maleńkie różyczki, a jej krótkie ciemne włosy doskonale harmonizowały z całością. Jednak teraz, u boku wystrojonego hrabiego, poczuła się jak żebraczka.

Garth ubrał się istic po królewsku: na elegancki frak nałożył granatową wieczorową pelerynę, której kolor idealnie podkreślał jasny błękit jego oczu, a pod spód srebrną kamizelkę, przy której dyndał mały monokl. Jednak, co dziwne, mimo swej doskonałej prezencji, wydawał się jeszcze bardziej nieszczęśliwy i onieśmielony, niż poprzedniego dnia.

- Jakież piękny powóz! - wykrzyknęła Madelaine na widok pojazdu. Miała nadzieję, że to poprawi humor Gartha. Poznała, że powóz jest nowym nabytkiem; miał jeszcze ten charakterystyczny zapach nowego pluszu i świeżego lakieru. Ku jej zaskoczeniu, hrabia zarumienił się po czubki uszu, wymamrotał coś gniewnie pod nosem, po czym zapadła kamienna cisza. Dopóki nie zajechali pod teatr, siedział obok niej wyglądając przez okno i ignorując ją całkowicie, jak gdyby Maddy czymś go uraziła.

Zaskoczona dziewczyna także zamilkła i już nie usiłowała nawiązać z nim przyjacielskiej pogawędki. Po raz kolejny doszła do wniosku, że Anglicy to bardzo dziwny naród.

W mgnięciu oka zajechali przed teatr na Drury Lane. Wsiadłszy z powozu Maddy stanęła przed ogromnym budynkiem o wielu rzędach pięknie sklepionych łuków drzwiowych i wysokich, jasno oświetlonych oknach. Przyjrzawszy się dokładnie, zauważyła, że budynek jest o wiele nowszy, niż otaczające go kamienice. Postanowiła jednak nic na ten temat nie mówić, w obawie, by znowu nie urazić hrabiego.

- Ten teatr jest całkiem nowy. Właściwie ma dopiero trzy lata - odezwał się Garth, jak gdyby czytając w jej myślach.

- Oczywiście na tym miejscu stał wcześniej teatr wzniesiony w 1663 roku, ale spalił się, po raz trzeci z rzędu, około 1809 roku. Ten budynek został wzniesiony w 1812 roku - dodał monotonnym tonem, jak gdyby wyczuł się tego na pamięć z jakiegoś miejskiego przewodnika. Maddy wyczuła, że biedny Garth w ten sposób chciał nawiązać z nią neutralną rozmowę. Ledwo powstrzymała się do śmiechu.

Garth zaferował jej ramię i dziewczyna wsunęła dłoń w rękawiczkę pod jego łokieć. Był nieco wyższy, niż zdawało się jej przy pierwszym spotkaniu. Ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie, choć Maddy dałaby sobie głowę uciąć, że poprzedniego dnia patrzyła na niego z góry.

I jakoś dziwnie chwiejnie trzymał się na nogach. Wielki Boże! Czyżby pomysł pójścia z nią do teatru aż tak go mierzył, że wcześniej musiał dodać sobie odwagi alkoholem?! Zażenowana dziewczyna opuściła wzrok i... zobaczyła, dlaczego Garth chwieje się na nogach: podeszwy jego pięknych butów miały co najmniej trzy cale grubości!

Powodowana jak najgorszym przecuciem zacieśniła uścisk na jego ramieniu. Okazało się to zbawienne, gdyż w drodze do zarezerwowanej łóżki biedny hrabia potknął się jeszcze kilka razy.

Teatr był pełen ludzi i Maddy ledwo powstrzymała się od patrzenia na wszystko z otwartymi ustami. Wnętrze teatru zapierało dech w piersi, a piękne damy i lordowie wyglądali równie fascynująco. Zdawać by się mogło, że cała śmietanka towarzyska Londynu zjawiała się na premierowym przedstawieniu z panem Keanem w roli głównej. Ogromna sala aż lśniła od klejnotów, którymi obwieszono były nie tylko panie, ale i panowie.

Maddy zadrzała z podniecenia. Gdybyż tylko Tristan był tu teraz obok niej; wszystko byłoby idealne! Serce bolało ją na wspomnienie jego

rozczarowującej odmowy! Jak on mógł... Myślała o nim przez cały dzień i teraz wyobraźnia spletała jej figła. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi go w łoży po przeciwnej stronie ogromnego audytorium.

Spojrzała ponownie. W łoży znajdowało się dwóch mężczyzn i kobieta. Jasnowłosy dżentelmen właśnie usiadł w fotelu, podczas gdy drugi, ciemnowłosy, przypominający Tristana, pomagał damie zdjąć pelerynę. Znajdowali się za daleko, by Maddy mogła rozpoznać rysy twarzy, jednak w postawie ciemnowłosego dżentelmena było coś niepokojąco znajomego.

Tymczasem hrabia uniósł teatralną lornetkę i przyglądał się przez nią łoży znajdującej się dokładnie nad tą, którą obserwowała dziewczyna.

- To jacyś pana znajomi? - zapytała Maddy bez zastanowienia.

- Tak... Wicehrabia Tinsdale z żoną i córką... lady Sarą Summerhill. Posiadłości wicehrabiego graniczą z Winterhaven.

- Opuścił lornetkę. W jego oczach dziewczyna zobaczyła tak wyraźny smutek, że serce ją zabolalo. Miała ochotę położyć mu dłoń na ramieniu i jakoś go pocieszyć. Cierpienie nekające młodego hrabiego miało najwyraźniej związek z rodziną sąsiadów. Może Garth stracił przyjaciela z dzieciństwa? Jakże chciała pocieszyć tego małego wielkodusznego człowieczka siedzącego obok niej...

Wiedziała jednak, że jest to niemożliwe, bez znajomości źródła jego cierpienia... Lecz zanim zdążyła zapytać go o cokolwiek, harmider dokoła nich ucichł i kurtyna uniosła się. Premiera w najsłynniejszym londyńskim teatrze zaczęła się - na scenie ukazała się ogromna armia. Oczarowana Maddy usiadła wygodnie w fotelu i poddała się czarowi przedstawienia.

Choć prawdę mówiąc wolałaby oglądać jedną z uroczych komedii pana Szekspira, zamiast tej ponurej opowieści o losach zazdrosnego Maura. Nie była w nastroju na oglądanie tragedii; szczególnie Otella. Zawsze uważała głównego bohatera za głupca i nie mogła zrozumieć, dlaczego tak łatwo dał się oszukać podstępnemu Jago. A jeżeli chodzi o Desdemonę... Jakąż głupią gąskę zrobił z niej Szekspir! Nie... Otello z całą pewnością nie był jej ulubioną sztuką.

Ale wystarczyło, by pan Kean przemówił, a Madelaine dała się porwać magii przedstawienia. Kean, niewysoki i ciemnowłosy, wyglądał jak jeden z Cyganów co roku koczujących w lecie opodal Lyonu. W jego wyglądzie nie

było nic nadzwyczajnego... a jednak... Wystarczyło, by otworzył usta, a już trzymał widownię w mocy swego czaru. Mocą swej woli i talentu odsuwał w cień pozostałych aktorów i panował nad całą sceną... W mgnieniu oka zmienił się w podstępny Jago, zazdrosny dręczyciel księcia.

Hrabia podał jej lornetkę i dziewczyna z fascynacją przyglądała się grze emocji na twarzy pana Keana. Zastanawiała się, jak człowiek może co wieczór aż tak obnażać swą duszę i nie zwariować?

Pierwszy akt minął jak z bicia strzelił i kurtyna opadła. Maddy, nadal z dziko walącym sercem i zamętem w głowie, odwróciła się do hrabiego i zobaczyła, że ten śpi w najlepsze założywszy ramiona na piersi. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Garth ma chyba serce z granitu, że śpi na tak fascynującym przedstawieniu!

Chyba nie ona jedna była tak urzeczona grą Keana! Ostrożnie, by nie obudzić Gartha, wychyliła się z łoża i rozejrzała po sali na dole.

Większość widzów wstała z miejsc i przechadzała się po audytorium. Nawet jeżeli gra wielkiego aktora nie poruszyła, nie dawali tego po sobie poznać. Albo, podobnie jak ona sama, byli tak emocjonalnie wyczerpani, że musieli nieco odetchnąć przed drugim aktem.

Wielu z nich miało własne lornetki i obserwowało otoczenie. Z ogromnym zaskoczeniem Maddy zauważyła, że większość z nich przygląda się łożu... w której siedzi ona! I kto by pomyślał, że mężczyźni spokojnie śpiący obok niej jest jedną z atrakcji Londynu.

Przesunawszy szkła lornetki na łożę, w której przed przedstawieniem zauważyła mężczyznę podobnego do Tristana, Maddy głośno zaczerpnęła powietrza... To był Tristan! W czarnym fraku i białym żabocie wyglądał jeszcze bardziej elegancko niż w dniu, w którym złożył wizytę jej ojcu.

Tristan i jasnowłosa mężczyzna, który przy bliższych oględzinach okazał się o wiele starszy od niego, prowadzili ożywioną rozmowę z towarzyszącą im damą. Była to postawna blondynka, której figury pozazdrościli nawet Minette. Miała dość pospolitą twarz, a Maddy mogłaby przysiąc, że policzki różowiła karminem.

Na pewno była kochanką, i to, sądząc po szkarłatnej sukni obnażającej ogromne piersi i rubinach pobłyskujących w jej włosach, kochanką bardzo bogatego mężczyzny. Maddy poczuła ukłucie niepokoju. Czyżby wczesne

dzieciństwo spędzone u boku matki wyrobiło w Tristanie pociąg do upadłych kobiet? Czy minie mu to, gdy już będą po ślubie?

Poprawiła ostrość. Kobieta śmiała się z czegoś głośno, a jej duże piersi podskakiwały grożąc wypadnięciem z za dekoltu śmiałej sukni. Potem powiedziała coś trzymając wachlarz tuż przy twarzy. Zdawało się, że szepce coś to do jednego, to do drugiego. Najwyraźniej w świecie prowokowała ich. Teraz obaj mężczyźni śmieli się do rozpuku... zupełnie jakby to wulgarnie stworzenie powiedziało coś zabawnego!

Maddy pomyślała, że warto by było popróbować sztuki posługiwania się wachlarzem - dawało to dość ciekawy efekt. Opuściła lornetkę. Dość już zobaczyła, jak na jeden wieczór. Jacy ci mężczyźni są głupi! Nawet najlepsi z nich. Czy Tristan i jego dystyngowany przyjaciel nie rozumieli, że robią z siebie pośmiewisko?!

Hrabia poruszył się niespokojnie i wyprostował w fotelu. Otworzył szeroko oczy i rozejrzał się dokoła z wyraźnym zaskoczeniem.

- Czyżby pierwszy akt już się skończył?
- Tak, milordzie - odparła dziewczyna.
- Pan Kean był po prostu genialny!
- To świetnie! Mam nadzieję, że się pani dobrze bawi, panno Harcourt.
- Garth uśmiechnął się niemądrze.
- Zawsze zasypiam. Teatr działa na mnie dokładnie tak samo jak msze naszego wiejskiego wikarego.
- Spojrzał na lornetkę spoczywającą na kolanach dziewczyny.
- Widzę, że obserwowała pani nie tylko przedstawienie, ale i towarzystwo.
- Właściwie patrzyłam na pańskiego brata, milordzie. Wraz z przyjacielem siedzi w łoży naprzeciwko nas.

Hrabia ziewnął przeciągle.

- Taak... wspominał, że tu będzie. Z sekretarzem do spraw obrony Castelreaghem i arcyksiężną Sophią.

- Ta kobieta to arcyksiężną? Jest pan pewien, milordzie?
- Maddy spojrzała na niego zaskoczona.
- Bardziej przypomina drogą kurtyzanę!
- Panno Harcourt! - Hrabia splonął krwistym rumieńcem.

- Nie spodziewałem się, że niewinna panienka zna takie wyrazy, a tym bardziej wie, jak wygląda kurtyzana!

- Uniósł lornetkę do oczu i spojrzął w kierunku wskazanym przez dziewczynę.

- Hmm... Chyba wiem, co pani ma na myśli. Ale zapewniam, że to księżna... z jakiegoś przez Boga zapomnianego miejsca w Austrii, jeżeli dobrze pamiętam słowa Trisa. Zaprzyjaźnili się, gdy był na kongresie w Wiedniu... choć zupełnie nie wiem, co on tam robił! Z tego, co mówił, można by wywnioskować, że tylko tańczył, pił i... - urwał zawstydzony. - To wszystko mnie przerasta... ale Tris jest wyjątkowo mądry. Wiem, że jego przyjaźń z tą panią była niezwykle pożyteczna i bardzo pomogła lordowi Castelreaghowi. Podobno księżę Metternich jest jej dobrym przyjacielem.

- Który jest dobrym przyjacielem cesarza Austrii - dokończyła Maddy z ulgą. Więc Tristan wcale jej nie zdradza! Po prostu pilnuje interesów swego kraju.

- A ponieważ Napoleon znowu dorwał się do władzy, lordowi Castelreagh musi bardzo zależeć na utrzymaniu przyjaźni z Metternichem!

Hrabia otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Skąd pani to wszystko wie?!

- Przecież to logiczne, milordzie. Cesarz Austrii siedzi i czeka, kto w końcu zasiądzie na tronie Francji. Domyśla się, że prędzej czy później będzie musiał bronić Wiednia przed rosyjskimi Kozakami i może będzie do tego potrzebować armii francuskiej.

- Co też pani mówi! - Jasne brwi hrabiego zbiegły się nad oczyma w grymasie dezaprobaty.

- Nie wydaje mi się, by dobrze urodzona panienka powinna była interesować się podobnymi sprawami. Mam nadzieję, panno Harcourt, że nie jest pani jedną z tych nieznośnych sawantek, które bez przerwy plotą o polityce!

Maddy nie mogła powstrzymać śmiechu widząc zaszokowaną minę Gartha.

- Ależ oczywiście, że jestem sawantką, jeżeli słowo to oznacza to, co sądzę, że oznacza! Wychowano mnie na

polityce! W salonach mojego dziadka nie mówiło się o niczym innym, milordzie.

Słyszac to hrabia zrobił się zupełnie zielony na twarzy, lecz Maddy nawet tego nie zauważyła. Była zbyt szczęśliwa, by zawracać sobie głowę minami hrabiego.

Więc Tristan nie poszedł ze mną do teatru tylko dlatego, że wezwał go obowiązek... Mimo wszystko nie ma instynktu farmera... Jest politykiem w każdym calu! Dlaczego wcześniej nie przyszło jej do głowy, że idealną karierą dla byłego szpiega jest praca dyplomaty?

Tylko co czeka tego przebiegłego Anglika? Najwyraźniej potężnemu lordowi Castelreaghowi nie przeszkadzało jego nieprawe pochodzenie. Może mógłby mianować Tristana ambasadorem w Wiedniu? Cóż by to był za sukces dla człowieka, który rozpoczął życie jako bękart zwykłego hrabiego!

A kto byłby idealną żoną dla człowieka o takich ambicjach? Oczywiście że kobieta, która wydawała przyjęcia dla zagorzałych polityków z Lyonu i na dodatek przewodziła w ich dysputach!

Rozdział jedenasty

Lady Ursula Ramsden, hrabina wdowa Rand, wzięła lukrowane ciasteczko z tacy podanej jej przez kamerdynera i wyspała łyżeczkę cukru do herbaty. Zaczekała, aż jej córka, lady Carolyn i ich gość wybiorą dla siebie słodycze, po czym odesłała służącego prosząc, by im już więcej nie przerywano.

- Moja droga panno Harcourt - odezwała się dama pięknie modulowanym, łagodnym głosem.

- Jeżeli ma pani zadebiutować jeszcze w tym sezonie, musimy się bardzo spieszyć. Pan Harcourt powiedział, że oprócz braków w pani garderobie, musimy też nadrobić braki w pani edukacji.

- Upiła maleńki łyżeczek herbaty, po czym mówiła dalej:

- Ale zanim zrobimy cokolwiek, najpierw musimy wybrać dla pani odpowiednią pokojówkę. Starszą kobietę, która mogłaby również służyć pani jako przyzwoitka.

- Pokojówkę? Ależ po co? - Maddy spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

- Odkąd skończyłam pięć lat, sama się o siebie troszczyłam i to z niezłym skutkiem!

- Ale teraz pani potrzeby nie będą aż tak skromne, moja droga. A pokojówka może pani towarzyszyć na zakupy albo w czasie odwiedzin u przyjaciółek. Przyzwoitka młoda panienska nie wychodzi z domu sama. Zawsze towarzyszy jej albo służąca, albo starsza krewna. Mam nadzieję, że zapamięta to pani na przyszłość.

Maddy zdusiła chęć do śmiechu. Przebyła Francję przez chłopca, spała w stodole przytulona do byłego szpiega - rozpustnika, na dodatek całowała się z nim potem w księżycową noc, a teraz nie mogła wyjść sama z domu po to by udać się do biblioteki czy na zakupy!

- Jedno jest pewne... madame Heloise doskonale wywiąż się z zadania - dodała lady Ursula przyglądając się dziewczynie spod zmrużonych powiek. W jej wzroku była ta sama natarczywość co we wzroku jej syna podczas ich pierwszego spotkania.

- Co prawda nigdy bym nie pomyślała, że turkusowy będzie odpowiednim kolorem do spacerowej sukni, lecz na tobie wygląda doskonale.

- Dziękuję, milady. - W innych okolicznościach Maddy obraziłaby się za podobną uwagę, lecz lady Ursula i jej syn mieli w sobie tyle szczerzej sympatii, że nie sposób było się na nich gniewać. Zwłaszcza na hrabinę. W końcu czyż nie przygarnęła do siebie Tristana i nie wychowała go jak własnego syna?

Ponadto widząc jego matkę Maddy już nie dziwiła się niepozornej postawie i łagodnemu obejściu hrabiego - lady Ursula była tak maleńka i drobna, tak doskonale wychowana i czarująca, że Madelaine czuła się przy niej jak niezgrabny wiejski kocmołuch. A lady Carolyn była idealną młodszą kopią matki. Nic dziwnego, że hrabina była przerażona perspektywą zmienienia przero-śniętej francuskiej dziewczuchy w laleczkę z chińskiej porcelany.

- Milady, proszę nie traktować tego wielkiego planu mojego ojca zbyt poważnie - powiedziała pospiesznie, mając nadzieję, że to nieco uspokoi łagodną damę. - Przecież to wszystko nie ma sensu. Mam nadzieję, że ojciec szybko przejrzy na oczy i zrozumie, że całe przedsięwzięcie nie jest warte funta kłaków.

- Och panno Harcourt, proszę nawet tak nie mówić! - Lady Ursula pobladła gwałtownie, a lady Carolyn z głośnym brzękiem upuściła filiżankę na spodeczek. Dwie pary błękitnych oczu wpatrywały się w nią z przerażeniem. Ale dlaczego? Sądziła że będą wdzięczne za pierwszą lepszą sposobność porzucenia planu Caleba Harcourta.

Ależ wszystko na pewno się uda! Musi się udać - zaoponowała lady Ursula przyciskając dłoń do piersi.

- Garth zgodził się na wszystko. Plan jest już w toku realizacji - dodała lady Carolyn z oczyma rozszerzonymi z przerażenia. Rozejrzała się w popłochu po pięknie udekorowanym salonie Ramsdenów, zupełnie jak gdyby wspaniałe obrazy i inne dzieła sztuki miały z tym wszystkim cokolwiek wspólnego.

Znowu honor. Ta rodzina zdawała się być ogarnięta manią honoru! Hrabia najwyraźniej czuł się w obowiązku wprowadzić ją do towarzystwa w zamian

za przysługę, którą tyś świadczył mu jej ojciec, a jego matka i siostra chciały nać mu swe poparcie.

Maddy westchnęła ciężko. Jeżeli odmówi tym miłym paniom, ciężko je obrazi.

- Jestem pani bardzo wdzięczna za wszystko, milady, i nie zamierzam sprawiać żadnych problemów. - Urwała zastanawiając się, jak dobrać słowa, by nie urazić starszej damy. - Uważam jednak, że zaoszczędzimy sobie wielu kłopotów na przyszłość, jeśli od początku będziemy ze sobą szczerze. Więc jeżeli chodzi o plan ojca... No cóż... W końcu to moje życie się zmieni, a nie jego, nieprawdaż?

Tym razem to filizanka lady Ursuli zagrzecotała o spodeczek.

- Ależ oczywiście, moja droga - rzekła oddychając z coraz większym trudem. - Przede wszystkim zależy nam na pani szczęściu.

- Bo nie mamy tu nic innego do powiedzenia - dodała zjadliwie lady Carolyn, na co matka posłała jej piorunujące spojrzenie.

Maddy postanowiła zignorować ten wybuch. Najwyraźniej lady Carolyn nie przejmowała się honorem tak jak reszta jej rodziny.

- Niech mi pani powie, moja droga... co właściwie pani myśli o planie swego ojca? - zapytała nieśmiało lady Ursula.

Maddy przyjrzała się delikatnej, papierowo cienkiej filizance, którą trzymała na kolanach.

- Cóż... po pierwsze, milady, nie mogę przyzwycząić się do herbaty. Więc pomysł na wprowadzenie mnie do tutejszego towarzystwa przez wydanie serii podwieczorków przy herbacie niezbyt mi się podoba. We Francji nie pija się herbaty. Jestem przyzwyczajona do kawy... czarnej, mocnej kawy.

- Powstrzymała się od dodania, że Francuzi nazywają herbatę *pisse de chat*. Wątpiła, czy doskonale wychowana hrabina doceniłaby dowcip. Na pewno zszokowałoby ją nazwanie ulubionego napoju Anglików kocimi siuszkami. Mówiła więc spokojnie dalej: - I jest jeszcze kwestia tych lekcji tańca, o których pani rozmawiała z papą. Właściwie nie mam nic przeciwko nauce tańca.

Uśmiechnęła się promiennie do hrabiny. Prawda wyglądała tak, że odkąd wyobraziła sobie Tristana tańczącego na kongresie w Wiedniu, zapalała nagle chęcią do tej rozrywki.

- Bardzo chętnie nauczyłabym się tańczyć walca. Widziałam go raz na przyjęciu w Lyonie i muszę przyznać, że ogromnie mi się podobał.

- Na samą myśl o walcowaniu w ramionach Tristana ogarniała ją gęsia skórka.

- Już zamówiłam dla pani doskonałego nauczyciela tańca. Wiem, że zna też walca - odrzekła lady Ursula. - Ale zanim zaczniesz tańczyć na balach, musisz uzyskać zgodę patronek Almacku.

- Na pewno ma pani rację, milady. Ale dlaczego te patronki, czy jak im tam, mają mi mówić, co mogę, a czego nie mogę robić?

- Święte słowa - wtrąciła lady Carolyn.

- Te stare wiedźmy muszą jeszcze wyrazić zgodę i na moje tańce... Zupełnie mi się to nie uśmiecha!

Lady Ursula uciszyła córkę ponurym spojrzeniem.

- Lady Jersey i inne patronki ustalają zasady tańca i kontaktów towarzyskich dla tutejszego towarzystwa. Są to zasady, które sama podzielałam z całego serca. Nie masz jeszcze osiemnastu lat, Carolyn! Jesteś stanowczo za młoda i zbyt niedoświadczona, by tańczyć w ramionach mężczyzny tak nieprzyzwoity taniec jak walc! Sama nigdy w życiu nie walcowałam i myślę, że nigdy tego nie zrobię!

- Ależ ty jesteś okropnie staroświecka, mamo! Właśnie dlatego, że jestem młoda, chcę robić wszystkie podniecające rzeczy, jakie tylko istnieją na świecie! Teraz właśnie jest na to czas! - Lady Carolyn potrząsnęła gniewnie złocistymi lokami. Maddy pomyślała, że najmłodsza z Ramsdenów ma temperament o wiele bardziej wybuchowy niż jej łagodna matka i brat.

Lady Ursula uciszyła protest najmłodszej latorośli jednym spojrzeniem. Mimo łagodnej powierzchowności i spokojnego zachowania, lady Ramsden była nieugięta, gdy już raz wyznaczyła sobie plan działania.

- Więc przynajmniej sprawę lekcji tańca mamy już załatwioną, panno Harcourt - powiedziała ignorując wściekłą minę córki. Upiła ostatni łyk herbaty i postawiła filiżankę na stoliku obok tacy z ciastkami.

- Jeżeli chodzi o inne umiejętności, które powinna pani nabyć...

- I tu leży problem, milady.

- Maddy skończyła jeść ciasteczko i też odstawiła filiżankę.

- Nie interesuje mnie malowanie obrazków, a głos mam jak ochrypla wrona, więc lekcje śpiewu byłyby tylko wyrzucaniem pieniędzy i marnowaniem czasu. I nawet gdybym ćwiczyła po dziesięć godzin dziennie... na co nie mam najmniejszej ochoty... nie opanowałabym gry na fortepianie do końca sezonu. - Jej wzrok spoczął na tamborku leżącym obok lady Ursuli.

- Obawiam się, że haftowanie także odpada. Jestem zbyt niecierpliwa na podobne zabawy. Kiedyś usiłowałam wyhaftować chusteczkę dla dziadka, co skończyło się tym, że wrzuciłam wszystko razem do ognia na kominku!

Wypielęgnowane brwi lady Ursuli uniosły się nieco.

- Ależ moja droga! Co w takim razie planuje pani robić w ciągu całego dnia? Przecież wyeliminowała pani praktycznie wszelkie zajęcia odpowiednie dla młodej panienki!

- O, la la! Niech się pani o mnie nie martwi, milady! Będę bardziej zajęta niż kot w szopie pełnej myszy. Jestem niepoprawnym molem książkowym, a papa ma doskonale zaopatrzoną bibliotekę. Wprost nie mogę się doczekać, by tam pobuszować! - A Cookie ma całe mnóstwo przepisów, których może mnie nauczyć... ale o tym lepiej tu nie wspominać!

- A tak... pani czytanie...

- W głosie lady Ursuli pobrzmiwała nuta dezaprobaty.

- Mój syn wspominał, że jest pani bardzo bystra. Słyszałam, że nie tylko czytała pani Szekspira, ale nawet przetłumaczyła go na francuski.

- Prawdę mówiąc, przetłumaczyłam go nie tylko na francuski, ale też na niemiecki i włoski - Maddy uśmiechnęła się do siebie.

- Tak dla rozrywki. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam... Lady Ursula pobladła.

- Ojej! Lepiej będzie trzymać to w tajemnicy. Nic dobrego nie przyjdzie nam z tego, że cały świat się dowie, iż jest pani sawantką.

Znowu to słowo. Maddy zamyśliła się przez chwilę.

- Z pani słów wnioskuję, że tutejsze towarzystwo nie lubi inteligentnych kobiet.

- Powiedzmy raczej, że nie lubi przemądrzałych kobiet znajdujących rozrywkę w książkach.

- Doskonale, milady. Ponieważ wiem także, że nie pochwała ludzi interesu ani nawet tych spośród własnego grona, którzy używają rozumu danego im

przez Boga, pozostało mi już tylko jedno pytanie, odnośnie tej ekskluzywnej społeczności.

- Jakież znowu pytanie, moja droga? Maddy westchnęła ciężko.

- Jak to się dzieje, że te głupie ofiary losu nie zanudzają się wzajemnie na śmierć?

Tristan siedział przy stole w jadalni, gdy do pokoju weszła Carolyn. Uniósłszy wzrok znad gazety, obserwował, jak młodsza siostra przygotowuje sobie śniadanie, składające się głównie z jajecznicy i słodkich bułeczek. Byli sami w słonecznej jadalni miejskiej rezydencji Ramsdenów; lady Ursula jeszcze nie wstała z łóżka, a Garth jeszcze nie wrócił z porannej przejażdżki po Hyde Parku.

- Lady Ursula mówiła mi, że w czasie tych trzech tygodni, gdy byłem w Belgii, Garth nie odstępował Maddy Harcourt ani na krok - odezwał się Tristan, kiedy dziewczyna już usiadła za stołem.

Carolyn przekroiła bułeczkę i posmarowała ją masłem, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Mama jak zwykle przesadza. Garth zabrał pannę Harcourt na dwa wieczorki muzyczne u lady Faversham... i to wszystko, bo biedaczka nadrabia zaległości w sztukach pięknych. Zdaje się, że obecnie uczy się tańczyć. Ale Garth odwiedza ją co parę dni, to prawda. - Nagle zachichotała omal nie krztusząc się przy tym kęsem bułki.

- Coś mi się zdaje, że przez ostatnie trzy tygodnie biedaczysko więcej zobaczył Londynu, niż przez dwadzieścia siedem lat swego życia. Przede wszystkim panna Harcourt namówiła go na pójście do British Museum na wystawę marmurowych posągów z jakiejś bardzo odległej epoki.

Tristan aż odłożył gazetę na bok i spojrział na siostrę ze zdumieniem.

- Garth był na wystawie marmurowych posągów?! W towarzystwie kobiety?! Wielkie nieba!

- Oczywiście bardzo się zszokował. Tym bardziej że panna Harcourt była tymi rzeźbami zachwycona i oglądała każdą z osobna... kawałek po kawałku. Szkoda, że nie widziałeś jego miny, gdy opowiadał o tym mamie. „Kilka koni tu i ówdzie, ale w większości to po prostu odrażająca zgraja nagusów bez rąk i nóg.”

- Carolyn tak doskonale uchwyciła zszokowaną minę Gartha, że Tristan nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Potem zaciągnęła go do katedry Świętego Pawła, którą on określił jako „ponurą kupę gruzów” i do miejskiego zoo, gdzie Garth omal się nie rozpląkał widząc warunki, w jakich przetrzymywane są tam zwierzęta.

- Przekroiła następną bułkę i posmarowała ją masłem.

- I jeszcze całe jedno popołudnie spędzili w księgarni Hatcharda! Wyobrażasz sobie, jak Garth był zachwycony! Tylko raz w życiu widziałam naszego braciszka z książką w ręce; było to na debiutanckim balu lady Sary... zasuszył w kwiatek, który wypadł jej z włosów.

- Urwała przyciskając palce do ust.

- Oj! Powinnaś bardziej uważać na to, co mówię!

- W rzeczy samej powinnaś - burknął Tristan. - Lady Ursula wspominała mi również, że pewnego razu Maddy była u was na podwieczorku. Jak ci się spodobała?

Carolyn przekrzywiła głowę zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Szczerze mówiąc, bardzo mi się spodobała. Jak zapewne wiesz, spodziewałam się, że znenawidzę jej od pierwszego wejrzenia, lecz jakoś tak się stało, że ją polubiłam. Jest bardzo mądra i zabawna... i szokująco szczerza. Zdaje mi się również, że ma bardzo zdecydowane poglądy na temat tego co będzie, a czego nie będzie robić w życiu.

- W jej oczach zaświeciły złośliwe iskierki. - Mama omal nie padła trupem, gdy panna Harcourt jej oznajmiła, że nie zamierza uczyć się ani malowania, ani śpiewu, ani nawet gry na fortepianie! Mówiąc krótko, jest pierwszą naprawdę oryginalną osobką, jaką w życiu spotkałam. Jest zupełnie inna niż te wszystkie głupie panienki, z którymi widywałam się na pensji u panny Highcliff.

Słowa siostry obudziły ból w sercu Tristana.

- Więc uważasz, że będzie dobrą żoną dla Gartha? Pomimo dzielących ich różnic?

Carolyn przestała się uśmiechać.

- Tego nie powiedziałam. Prawdę mówiąc, nie widziałam jeszcze dwojga ludzi tak do siebie nie pasujących. Ona przeraża go każdym słowem, a on nudzi ją śmiertelnie.

Niech to wszyscy diabli! Czy to takie oczywiste, że nawet osiemnastoletnia smarkula to widzi?!

- Sam się długo zastanawiałem, czy będą do siebie pasować.

- Pasować? Chyba kpisz! Są jak ogień i woda. Każdy to widzi... to znaczy oprócz mamy. Jak zwykle nie zauważa spraw, które są dla niej zbyt bolesne.

Tristan wstał gwałtownie i podszedł do okna. Niewidzącymi oczyma wpatrywał się w ulicę na dole.

- Miałem nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia, ale że będą do siebie pasować - rzekł bezbarwnym głosem.

- Chciałem tego dla ich własnego dobra, jednak z każdym mijającym dniem widziałem, że ona i Garth zupełnie do siebie nie pasują. Wyobrażasz sobie, jak się czułem, wioząc ją do Anglii tylko po to, by została zmuszona do małżeństwa, które ją unie-szczęśliwi?

- Podejrzewam, że zżerało cię poczucie winy.

Tristan nagle wyrzwał pięścią w drewnianą framugę okna.

- Niech to wszyscy diabli! Wystarczy tego wszystkiego, by człowiek dobrowolnie pojechał do Indii czy innego przez Boga zapomnianego miejsca!

Oczy Carolyn rozszerzyły się ze zdumienia.

- Albo do Belgii w interesach lorda Castelreagha? Zastanawiałam się, dlaczego tak ci było spieszo wrócić na kontynent.

- Przyglądała mu się z przerażeniem jasno wypisanym na twarzy.

- Och, Tris! Nie mów mi tylko, że się w niej zakochałeś!

- Dziewczyna podskoczyła na równe nogi i rzuciła mu się w ramiona ze zduszonym łkaniem.

- Zakochałeś się w niej! Nawet nie zaprzeczaj! Widzę to wyraźnie w twoich oczach!

Tristan nie miał zamiaru zaprzeczać. Ból, który odczuwał, odkąd odstawił Maddy do ojca, był nie do zniesienia; nie mógł już dłużej zaprzeczać oczywistej prawdzie.

- A przecież jesteście dla siebie stworzeni... - wyszeptwała Carolyn z twarzą ukrytą na jego piersi.

- Czy nie możesz jakoś przekonać o tym jej ojca?

- Mam go przekonać, że jego jedynej córce będzie lepiej, jeżeli zostanie żoną bękarta bez grosza przy duszy niż hrabiną Rand? Wątpię, czy

znalazłyby się na to jakiegokolwiek rozsądne argumenty! Żaden ojciec by mi nie uwierzył...

- Ale przecież i ona cię kocha... Teraz, kiedy o tym myślę, widzę to wyraźnie. Tego dnia, gdy była u nas na podwieczorku, przez ponad dwie godziny mówiła tylko o tobie... A wystarczyło, by ktoś o tobie wspomniał, cała się rozjaśniała... - Spojrzała bratu w oczy.

- Zresztą ty to już wiesz...

- Taak... Od jakiegoś czasu podejrzewałem, że Maddy się we mnie zakochała. Ale ona jest bardzo silna i na swój sposób zadziwiająco praktyczna. Szybko zrozumie, że to, co było między nami, nic nie znaczy... i postara się jak najlepiej wykorzystać czas spędzony z Garthem.

- Panna Harcourt jest też wyjątkowo niezależną osobką

- wtrąciła Carolyn.

- Przyszło mi właśnie do głowy, że może po prostu odmówić poślubienia mężczyzny, którego nie kocha.

Tristan pomyślał o tym przez chwilę, lecz w końcu potrząsnął głową.

- Nie wątpię, że z początku się zbuntuje - powiedział gorzko. - Ale bardzo szybko zrozumie, że musi się podporządkować woli ojca. Nie będzie miała wyboru. To on trzyma wszystkie asy w rękawie. My musimy tańczyć, jak nam zagra.

- Jeżeli zmusi ją do małżeństwa wbrew woli, nie zyska nic oprócz nienawiści własnej córki; bez względu na to, ile złota wsypie w skrzynie Ramsdenów - rzekła dziewczyna pewnym głosem.

- Twoja Maddy nie wydała mi się płochą niewiastą, która zakochuje się co dwa dni. A i ty, mój kochany Tristanie, nie zakochujesz się często ani łatwo.

- W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dlaczego ten wstrętny stary tyran nie może tego zrozumieć? Czy naprawdę sądzi, że złamane serce można wyleczyć szklanką mleka z miodem i sakiewką pieniędzy? Gdyby tak było, Garth nie chodziłby do tej pory z miną zbitego psiaka, a lady Sara nie snułaby się błada niczym duch po salonach, w których kiedyś razem tańczyli.

- Wysunęła się z objęć Tristana i zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju.

- To zupełnie jak w jednej z powieści pani Radcliffe... Tylko że w powieściach wszystko zawsze dobrze się kończy.

- Nagle zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niego z nadzieją wypisaną na twarzy.

- A może byś ją namówił, by z tobą uciekła do Gretna Green? Jestem pewna, że się zgodzi... Jest bardzo oryginalna i za nic ma konwenanse!

- Naprawdę sądzisz, że już tego nie przemyślałem?

- W głosie Tristana słychać było gorycz.

- Niestety, tylko w najczarniejszych nocnych godzinach wydawało mi się to możliwe. W zimnym świetle dnia widzę doskonale, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Poza tym, nie mógłbym żyć ze świadomością, że to przeze mnie ojciec ją wydziedziczył. A przecież jest dziedziczką niebagatelnej fortuny... Nigdy bym jej nie poprosił, żeby to wszystko rzuciła i żyła z mojej pensyjki dyplomaty... - Przycisnął palce go skroni. - Ani nigdy nie naraziłbym Gartha na gniew Harcourta. W porywie wściekłości stary łotr mógłby wtrącić go do więzienia za długi... Nie, Caro... Choć bardzo chciałbym z nią uciec, nie mogę tego uczynić.

- I to wszystko wina tego wstrętnego tyrana!

- Carolyn znowu była bliska łez.

- Nie rozumiem, dlaczego mama jest mu tak wdzięczna! Nienawidzę go! Nienawidzę go za to, co nam zrobił!

- To nie Caleba Harcourta trzeba tu winić - odrzekł spokojnie Tristan. Cóż za ironia, że bronił człowieka, przez którego pękło mu serce!

- To nie jego wina, że nasz zmarły ojczulek przegrał w karty cały majątek i doprowadził rodzinę Ramsdenów na skraj bankructwa. Caleb Harcourt robi to, co uważa za najlepsze dla swej jedynej córki. Jest święcie przekonany, że aby zapewnić jej szczęście po wsze czasy, musi tylko dać jej męża z tytułem szlacheckim...

- Nawet jeżeli ten mąż uczyni jej życie piekłem? Jak on może być aż tak ślepy?

- To długa historia, która zaczęła się piętnaście lat temu - odrzekł Tristan.

- Musisz uwierzyć mi na słowo, że Caleb Harcourt ma dobre intencje, a lady Ursula ma rację będąc mu wdzięczna. Gdyby to kto inny wykupił długi

starego hrabiego, w tej chwili Garth płynąłby pierwszym lepszym statkiem do Ameryki... albo gorzej, gnął w więzieniu za nie spłacone długi.

Carolyn z niepokojem przyglądała się bratu.

- Więc co zrobisz, Tris? Sam uciekniesz do Ameryki? Nie wyobrażam sobie, byś miał spędzić resztę życia przyglądając się, jak kobieta, którą kochasz, żyje u boku twego brata jako jego żona.

- Jeszcze nie jestem pewien, dokąd wyjadę, ale na pewno jak najdalej stąd. Lord Castelreagh zaoferował mi posadę attache wojskowego w ambasadzie w Paryżu lub w Wiedniu... Ale to będzie musiało poczekać do końca wojny z Napoleonem.

- Myślisz, że w końcu pokonamy Korsykanina? Tristan zawahał się.

- Pokonamy go, jeżeli ci głupcy z Parlamentu powierzą dowodzenie Wellingtonowi - odrzekł uważnie dobierając słowa. - Tak się składa, że tylko w Anglii nikt nie ma zaufania do jego doświadczenia i zdolności. W całej Europie koronowane głowy zdają sobie sprawę, że tylko on stoi między nimi a Bonapartem. Tylko on jest w stanie powstrzymać tego szaleńca. - Wrócił do stołu i nalał herbaty do filiżanki. Potem oparł łokcie na stole i podparł głowę rękami. Długo wpatrywał się w fusy na dnie naczynka, jak gdyby chcąc wyczytać z nich przyszłość. - Niedługo wyjeżdżam do Winterhaven. Obiecałem Garthowi, że kiedy on będzie zalecać się do swej dziedziczki, ja dopilnuję robotników Harcourta pracujących nad przywróceniem posiadłości dawnego splendoru. Szczerze mówiąc, bardzo mi to odpowiada. Nie ma dla mnie znaczenia, czy jestem w Winterhaven, czy w Belgii, bylebym trzymał się z dala od Maddy Harcourt.

Po policzkach Carolyn płynęły łzy.

- Och, Tris! Serce mnie boli na myśl o tym, co przeżywasz! Tak bardzo chciałabym jakoś ci pomóc! Tylko nie wiem jak...

- Możesz mi pomóc, Caro. Bardzo mi pomożesz, jeżeli obiecasz, że nigdy nikomu nie opowiesz o naszej rozmowie. Jeżeli obiecasz, że ani Garth, ani lady Ursula nigdy nie dowiedzą się o moich uczuciach względem Maddy.

- Obiecuję - odparła poważnie dziewczyna.

- Garth i tak dość już cierpi z powodu zerwania narzeczeństwa z lady Sarą. Gdyby się dowiedział, że poślubiając pannę Harcourt odbiera ci szczęście, chyba by popełnił samobójstwo! A mama po prostu by nie uwierzyła, że

ludzie, których kocha najbardziej na świecie, nie będą żyć w szczęściu i miłości do końca swoich dni...

- W takim razie pozostał mi już tylko jeden obowiązek do spełnienia i mogę wyjeżdżać z Anglii z czystym sumieniem.

Carolyn skinęła głową, a smutek dodał powagi jej młodej buzi.

- Musisz być na ślubie Gartha...

- Masz rację, moja młoda siostrzyczko... Muszę go jakoś wspomóc w tych ciężkich chwilach - powiedział Tristan bardzo zmęczonym głosem.

- Nie mogę mu tego odmówić, tym bardziej że wiem, co poświęca dla ratowania rodu Randów... Ale, niech to diabli, wolałbym, żeby podjął męską decyzję i jak najszybciej się oświadczył!

Maddy bez zainteresowania słuchała rozmowy toczącej się przy stole w ogromnej jadalni Ramsdenów. Lady Ursula i hrabia wydali obiad na jej cześć głównie po to, by przedstawić ją swym wpływowym przyjaciołom. Dziewczyna była tak pochłonięta własnymi myślami, że nie zwracała uwagi na przepiękną zastawę, kryształowe świeczniki czy szacownych gości.

Szczerze mówiąc, miała dość wszystkiego. Najpierw Tristan wyjechał do Brukseli, by załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę dla lorda Castelreagha; a przed kilkoma minutami dowiedziała się, że wyjechał z Londynu, by dopilnować renowacji Winterhaven.

Można by pomyśleć, że jej unika! Tylko dlaczego? Czyżby sądził, że piętno jego nieprawego pochodzenia przylgnie i do niej, jeżeli będą razem widywani? Czy ten uparty głupiec naprawdę nie rozumie, że jej nie zależy na opinii innych ludzi poza nim?

Jej ponure rozmyślanie przerwał leciwy wicehrabia Halibur-ton siedzący po jej prawej ręce. Przez kilka minut musiała znosić cierpliwie jego wywody na temat hodowli psów myśliwskich - nikt jakoś nie rozumiał, że polowania przyprawiają ją o dreszcze.

Zaraz potem piegowaty baron Fitzhugh, siedzący po jej lewej ręce, zaczął opowiadać historię ostatniego skandalu, którego głównymi bohaterami byli lord Byron i lady Caroline Lamb. Przed obiadem Maddy usłyszała tę samą historyjkę z ust księżnej wdowy Wylde... była ona nie tylko nieprzyjemna, ale i prostacka... Maddy zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy aż tak interesują się życiem intymnym innych ludzi?

Wielki Boże, uporczywa kampania ojca, żeby wprowadzić ją do wyższych sfer, z dnia na dzień stawała się trudniejsza do zniesienia. Nic jej nie łączyło z tymi ludźmi! Nawet gdyby wcześniej tego nie widziała, trzy tygodnie spędzone w towarzystwie hrabiego Rand przekonały ją o tym aż za dobrze.

Jakże chętnie obejrzałaby majestatyczną potęgę katedry Świętego Pawła w towarzystwie Tristana. Wyjeżdżając z Paryża żałowała tylko tego, że nie mogli razem zwiedzić katedry Notre Dame.

Była też pewna, że doceniłby przepiękne marmurowe posągi w British Museum; a hrabia tylko mamrotał pod nosem o ich nagości, że to bezceństwo...

Poza tym tego popołudnia, gdy wybrali się do fascynującej księgarni Hatcharda, biedaczysko był tak znudzony, że zasnął opierając się o jedną z półek z książkami.

A jednak bardzo go polubiła. Był człowiekiem wielkiego serca i zrobił wszystko, co w jego mocy, by się dobrze czuła wśród londyńskich wyższych sfer. Ale na tym koniec. Dość już. Wystarczająco dużo czasu spędziła w jego towarzystwie i zaczynała tracić cierpliwość. Pora, by ojciec i lady Ursula zrozumieli, że ona nie pasuje do roli, jaką sobie dla niej wymarzyli.

Maddy miała nadzieję, że już wkrótce ojciec da jej spokój... a wtedy będzie mogła przekonać Tristana, że nadaje się na idealną żonę dla dyplomaty. Ale jak miała go o czymkolwiek przekonać, jeżeli od trzech tygodni nie widziała go na oczy?

Wieczór włókł się niemiłosiernie, a obiad też pozostawiał wiele do życzenia... na przykład Maddy mogłaby nauczyć francuskiego kucharza lady Ursuli kilku rzeczy na temat przyrządzania la mouselline de faison. Jak można było dodać aż tyle cukru i całkowicie zatracić smak delikatnych przepiórek!

A jeżeli chodzi o jego noisette de porc, za który tak chwaliła go szanowna dama, Maddy nie wyobrażała sobie, by coś podobnego kiedykolwiek stanęło na stole dziadka! Już przy pierwszym kęsie była pewna, że leniwy łajdak nawet nie zadał sobie trudu, by zapytać, czym świniak był tuczony przed zarżnięciem.

Każdy kucharz wart swej pensji powinien wiedzieć, że tylko prosię karmione śliwkami i jabłkami nadaje się na taką potrawę; a temu świniakowi

dawano zapewne pomyje. Maddy nie mogła doczekać się powrotu na Bloomsbury Square; chciała jak najszybciej podzielić się z Cookiem swymi przerażającymi odkryciami.

Moim zdaniem wieczór przeszedł nam całkiem gładko - powiedziała lady Ursula, gdy wraz z dziećmi i Maddy odprowadziła ostatniego gościa do drzwi. Opadłszy wdzięcznie na miękki fotel, dodała: - Z ciebie byłam dziś szczególnie dumna, Madelaine. Zachowałaś się bez zarzutu.

- Dziękuję, milady - odrzekła Maddy. Chciała jak najszybciej wracać do domu, więc stanęła w drzwiach... dopiero po chwili zrozumiała, że hrabia nie siądzie, dopóki ona nie zajmie miejsca. Z ciężkim westchnieniem usiadła na krześle tuż obok hrabiny.

- Zauważyłam, że ledwie tknęłaś jedzenie - rzekła lady Ursula, gdy tylko dziewczyna usiadła.

- Podejrzewam, że to nerwy... Domyślam się, że spotkanie z tyloma wspaniałymi osobami nieco cię speszyciło.

- W rzeczy samej, milady.

- No i z pewnością dania były o wiele bardziej egzotyczne niż to, co serwują w domu twego ojca.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem.

- To prawda, milady. Jestem przyzwyczajona do innego jedzenia.

- Polecę kucharzowi, by przygotował ci coś mniej wymyślnego. Przecież nie możesz wracać na Bloomsbury Square o pustym żołądku.

Maddy aż skurczyła się w sobie na myśl o tym, jak to „coś mniej wymyślnego” może smakować.

- Jest pani nad wyraz uprzejma, milady - powiedziała pospiesznie - lecz wolę zaczekać z jedzeniem do powrotu do domu. Cookie na pewno jeszcze nie będzie spać, a ja jestem przyzwyczajona do tego potraw.

- Jak sobie życzysz, moja droga, ale musisz się przyzwyczaić do wykwintnej kuchni. Większość domów w Lon-

dynie ma kucharzy podobnego kalibru co monsieur Berthier. Maddy uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nie wątpię, milady. W takim razie po prostu będę musiała jakoś się przyzwyczaić.

Oczy hrabiny rozszerzyły się w zdumieniu.

- Tak, tak... oczywiście, moja droga.

- Lady Ursula złożyła dłonie na kolanach. - A jeżeli chodzi o plany na jutro... syn wspomniał mi, że chciałaś obejrzeć figury woskowe.

- To była tylko sugestia - odparła Maddy rozglądając się po pokoju. Pod ścianą, na pięknej kanapce, siedział hrabia ze smutnym wzrokiem utkwionym w przestrzeń, a tuż obok niego przycupnęła lady Carolyn z nie mniej nieszczęśliwą miną.

- Uważam, że jutro rano będziecie mieli doskonałą sposobność do obejrzenia figur woskowych - dokończyła myśl lady Ursula. - Potem możecie wrócić tu na lunch, a potem Garth i Carolyn poćwiczą z tobą tańce chodzone, których uczyłaś się przez ostatnie dni. Mam dla ciebie doskonałą wiadomość. Lady Jersey posłała do Almack... I wszyscy zgodzili się, że już najwyższy czas, byś poćwiczyła skrzydła, że się tak wyrażę.

Maddy poczuła ukłucie złości. Miała już dość tego, że kto inny układa za nią plany... nawet jeżeli tym kimś jest ktoś tak dobry jak lady Ursula.

- To bardzo uprzejmie z pani strony, milady, i jestem pewna, że byłoby bardzo miło, ale mam już inne plany.

- Inne plany? - odezwały się z niedowierzaniem trzy głosy jednocześnie.

- Tak... Mam już dość miasta - zaimprovizowała Maddy.

- Tego hałasu i kurzu - dodała rozgrzewając się.

- Marzy mi się wyjazd na wieś, gdzie powietrze jest czyste, a słychać jedynie od czasu do czasu beczenie owiec.

- Uśmiechnęła się promiennie do trojga zszokowanych ludzi w salonie.

- Poproszę ojca, by wynajął dom w jakiejś spokojnej wiejskiej okolicy... na jakieś dwa, trzy miesiące.

- Masz zamiar wyjechać z Londynu w samym środku sezonu? - W głosie lady Ursuli brzmiało szczere przerażenie.

- Ależ moja droga, tak się po prostu nie robi! Co też pomyśli sobie lady Jersey, gdy się dowie, że odrzuciła jej wspaniałomyślną propozycję?

Dziewczyna poczuła, że lada moment wybuchnie. Pewnego popołudnia spotkała lady Jersey na przejażdżce w Hyde Parku i przez całe dziesięć minut ta dama przyglądała się jej niczym koniowi wystawionemu na sprzedaż.

- Szczerze mówiąc, milady, nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Bardzo potrzebuję odpoczynku na wsi i tylko to się dla mnie liczy.

- Może więc, zamiast wynajmować dom, zechce pani odwiedzić moją posiadłość Winterhaven? - zaproponował hrabia.

- Będzie mi bardzo miło, jeżeli pani i pani ojciec przyjmiecie moją gošcinę. To ledwie dwie godziny drogi od Londynu.

Maddy nie wierzyła własnemu szczęściu. Hrabia wyjątkowo łatwo połknął przynętę. To dobry znak...

- Byłoby wspaniale, milordzie - odparła obdarzając go promiennym uśmiechem.

- Ależ... nie możecie pojechać do Winterhaven! - W głosie lady Carolyn zabrzmiała panika.

- A to niby dlaczego? Wydaje mi się, że to doskonały pomysł.

- Lady Ursula zmarszczyła brwi i spojrzała ostro na córkę.

- Nie wiem, dlaczego sama o tym nie pomyślałam... przecież to doskonała sposobność, aby Garth dopilnował robotników i zapewnił im wszystkie potrzebne materiały...

- Przecież Tris już się tym zajmuje! - wtrąciła Carolyn.

- Wiesz przecież, że on nie znosi, gdy mu się przerywa pracę.

- O czym ty mówisz, Carolyn?! - Lady Ursula wyglądała na zaszokowaną słowami córki.

- Proszę, nie mów już nic więcej...

- Przecież jeżeli zwalimy mu się na głowę, gdy ma ręce pełne roboty, wyświadczymy my tylko niedźwiedzią przysługę. - Lady Carolyn położyła Garthowi dłoń na ramieniu i wpatrywała mu się w oczy z wielkim napięciem.

- Błagam, Garth, nie rób tego. To nie jest dobry pomysł. Uwier mi...

- Przestań, Caro - odrzekł nieco zbyt szorstko hrabia.

- Co ty sobie myślisz? Renowacja posiadłości jest na ukończeniu, w odbudowie jest już tylko wschodnie skrzydło. Z łatwością pomieścimy się w pozostałej części domu.

Maddy wstrzymała oddech i modliła się, by hrabia nie dał się odwieść od pomysłu wyjazdu do Winterhaven. Była to jej jedyna szansa na spotkanie z Tristanem z dala od oczu wścibskich znajomych i sąsiadów. Z pewnością w ciszy i spokoju wiejskiej posiadłości zdoła go nakłonić, by się jej oświadczył.

Zupełnie nie rozumiała, dlaczego lady Carolyn jest tak przeciwna wyjazdowi, ale miała ochotę udusić ją za to, że się wtrąciła. Ale lady Ursula zapobiegła dalszej kłótni mówiąc:

- Carolyn, przynieś mi szal z sypialni. Ten morwowy:... Czuję zbliżający się chłód. - Jej głos nie dopuszczał sprzeciwu.

- Ależ mammo...

- Mój szal, Carolyn.

Rzuciwszy bratu ostatnie rozpaczliwe spojrzenie, lady Carolyn wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju. Lady Ursula długo patrzyła na drzwi, w których znikła córka.

- Nie wiem, co się z nią dzieje. Od kilku dni bez przerwy płacze... A teraz ten wybuch... Może jest chora? Zupełnie jej nie poznaję.

- Ona ma dopiero osiemnaście lat, mammo - odrzekł sucho hrabia.

- Może masz rację. - Wzruszając ramionami, hrabina wróciła do sprawy wyjazdu.

- Więc już wszystko ustalone, kochani. Wyjedziemy do Winterhaven... za trzy dni, dobrze?

- Doskonale, milady.

- Co prawda Maddy wolałaby wyjechać następnego dnia rano, ale zmusiła się do cierpliwości. Lady Ursula i Garth nie mogą się domyślić prawdziwego powodu jej naglej chęci wyjazdu z miasta.

- Zaraz napiszę liścik z zaproszeniem dla twego ojca - powiedziała lady Ursula i natychmiast wprowadziła słowa w czyn.

Pół godziny później hrabia pomógł Maddy i jej pokojówce wsiąść do powozu. Dziewczyna oparła się o poduszki z uśmiechem na ustach. Liścik lady Ursuli spoczywał w jej torebce, a słowa starszej damy dźwięczały jej w uszach.

- Ależ się Tristan zdziwi na nasz widok! Biedny chłopiec na pewno czuje się tam bardzo samotny!

Rozdział dwunasty

W rzeczy samej Tristan był prawie tak zaskoczony przyjazdem Gartha i jego gości do Winterhaven, jak Napoleon, gdy przegrał bitwę pod Trafalgarem.

Właśnie nadzorował naprawę kamiennego muru tarasu we wschodnim skrzydle, gdy na długim, wysadzonym topolami podjeździe zobaczył długi orszak podróżnych powozów i furgonów z bagażami.

Carolyn pierwsza dopadła do niego. Wyskoczyła, ledwie powóz się zatrzymał i nawet nie zaczęła, aż służący pomoże jej wysiąść. Pędząc co sił w nogach podbiegła do brata i stanęła przed nim dysząc ciężko.

- Usiłowałam ich powstrzymać, Tris! Naprawdę się starałam! Ale mama nie dała się odwieść od swego planu! Wbiła sobie do głowy, że wizyta w Winterhaven zmobilizuje Gartha do oświadczyn... A pan Harcourt już od dłuższego czasu marudzi, że mu to tak dużo czasu zajmuje...

- Rozumiem - odrzekł bezbarwnie Tristan myśląc, że naprawdę nie sposób winić potężnego kupca za to, że się niecierpliwi. W końcu zainwestował już fortunę w odnowienie posiadłości Randów; jego plan, by zrobić z córki hrabinę, musi jak najszybciej zostać sfinalizowany, bo stary wkrótce dostanie apopleksji.

Szczerze mówiąc, Tristan był niemal równie zniecierpliwiony opieszałością brata co Caleb Harcourt. Zdołał już przekonać samego siebie, że gdy Maddy zaręczy się z Garthem, on łatwiej pogodzi się ze stratą.

Ale wszystko legło w gruzach, gdy zobaczył ją wysiadającą z powozu.

Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

- Och, Tristanie! Jak to miło znowu cię widzieć! Tak bardzo za tobą tęskniłam!

- Na dźwięk jej głosu znowu otworzyła mu się rana w sercu. Zadrzał, czując dotyk jej obciążonych rękawiczkami palców.

- Witaj Maddy - powiedział ujmując jej ręce i przez jedną gorzko-słodką chwilę radość widzenia jej i dotykania wypełniła mu serce. Patrząc w jej bursztynowe oczy na moment zapomniał o całym świecie.

- Tris, jest też mama. I Garth, i pan Harcourt! - Przenikliwy głos Carolyn dotarł do jego świadomości. Natychmiast wypuścił dłonie dziewczyny, jak gdyby ich dotknięcie go sparzyło.

- Milady! - zawołał odzyskując równowagę ducha. Podbiegł do niej i porwał w ramiona delikatną osóbkę. Potem ucałował ją w oba policzki - zwyczaj, do którego przywykł we Francji.

Po chwili Caro rzuciła mu się w ramiona także domagając się pocałunków i uścisków, a Garth ścisnął jego dłonie i klepał go po plecach, jak gdyby od ich ostatniego spotkania minęły lata, a nie zaledwie kilka dni. Caleb Harcourt polecił służbie rozładować bagaże, zupełnie jakby Winterhaven należało do niego, nie do Gartha. A potem nagle wszyscy mówili naraz, śmiali się i robili mnóstwo hałasu.

Wszyscy oprócz Maddy, która stała na uboczu, cichutka i samotna, wpatrując się w Tristana z całą miłością świata wypisaną na twarzy.

Maddy spędziła długie pracowite popołudnie - hrabia oprowadził ją po całej posiadłości, choć zupełnie nie rozumiała, dlaczego nie zaprosił na tę wycieczkę także jej ojca.

Mimo wszystko jednak pokazując jej swój ukochany dom i otaczające go ziemie hrabia niezwykle się ożywił. Wyliczając każdą najmniejszą zmianę, jaka została poczyniona w posiadłości, Garth rozkwitał, czuł się w swoim żywiole i choć przez chwilę był szczęśliwy.

- A więc, panno Harcourt, wreszcie zobaczyła pani Win-terhaven, posiadłość rodową Randów od ponad dwustu lat

- zakończył przydługie opowiadanie. Skończyli zwiedzać dom i stali właśnie na zalanym słońcem północnym tarasie.

- W rzeczy samej, milordzie, to doprawdy fascynująca posiadłość. Podobnie jak otaczający ją park.

- Dziękuję za miłe słowa, panno Harcourt - odrzekł hrabia. Przyglądał się drzewom w parku i widocznym w oddali łąkom.

- Został zaprojektowany przez Capability Browna na polecenie mojego dziadka, trzeciego hrabiego Rand. Na szczęście styl, w jakim został zaprojektowany przez pana Browna, nie wymaga zbytowego doglądania, więc pomimo zwolnienia wielu ogrodników park nadal prezentuje się doskonale.

- Odwrócił się do niej i po raz pierwszy od wielu tygodni uśmiechnął się szczerem, wesołym uśmiechem.

- Jak już zapewne pani się domyśliła, dom znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie... oprócz rodziny, rzecz jasna.

- Dom i rodzina są bardzo ważne w życiu każdego człowieka, milordzie. Serce nadal mnie boli na myśl o dziadku i moim domu w Lyonie.

- Więc zapewne rozumie pani, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ocalić rodzinę Randów. Jestem odpowiedzialny za pięć rodowych posiadłości... - Zawahał się.

- Posiadłość w Suffolk obiecałem memu bratu Tristanowi...

Bardzo chciałbym dotrzymać tej obietnicy, jeżeli nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Zupełnie nie rozumiem, kto mógłby się sprzeciwiać tak wspaniałomyślnemu gestowi, milordzie. Dotrzymanie obietnicy jest kwestią honoru, a wiem, jak wysoko w waszej rodzinie ceni się honor. - Więc Tristan mimo wszystko chciał kiedyś hodować owce! Bardzo dobrze. Nawet dyplomata międzynarodowej sławy powinien mieć swoje miejsce na ziemi, które mógłby nazywać domem.

Przez większą część popołudnia zastanawiała się, gdzie też przepadł jej przyszły dyplomata. W jakim odległym zakątku posiadłości się zaszły i dlaczego? Przez całe popołudnie, gdy zwiedzała z hrabią posiadłość, nie zobaczyła wysokiej figury swego ukochanego. Właściwie nawet nie musiała go widzieć - i tak była bardzo szczęśliwa. Wystarczyło jej wspomnienie namiętnego spojrzenia, jakim obdarzył ją na powitanie.

- Zdaje mi się, że już pora przebierać się do kolacji, panno Harcourt. W Winterhaven jadamy dość wcześnie.

Łagodny głos hrabiego wdarł się do jej świadomości. Oparła dłoń na zaferowanym jej ramieniu i weszli do domu przez ogromne szklane drzwi ciągnące się wzdłuż całej ściany. U stóp schodów wiodących na piętro Garth uklonił się szarmancko i raz jeszcze uśmiechnął.

- Nasz rozmowa bardzo mnie ucieszyła... Wierzę, że jesteśmy do siebie dość podobni, by dogadać się w przyszłości i żyć w zgodzie.

- Dziękuję, milordzie - odparła Maddy automatycznie, choć zupełnie nie rozumiała, dlaczego niby mieli się „dogadać” i dlaczego było to dla małego

hrabiego takie ważne. Chyba że - i tu serce podskoczyło jej w piersi - Garth wiedział, iż Tristan miał zamiar się jej oświadczyć i chciał się upewnić, czy pasuje do rodziny.

Godzinę później siedziała przed lustrem w swej sypialni. Nadal nie rozumiała dziwnego zachowania hrabiego. Pokojówka właśnie usiłowała doprowadzić jej potargane włosy do porządku, lecz po pewnym czasie zdała sobie sprawę z beznadziejności swego zadania i porzuciła je.

Dziewczyna tylko wzruszyła ramionami, wstała od toaletki i przejrzała się w wysokim lustrze wiszącym obok komody. Zazwyczaj zupełnie nie przejmowała się tym, jak wygląda, lecz dziś chciała być piękna... dla Tristana. Przebierała w sukniach, aż wybrała jedną szczególnie piękną - jedwabną, w kolorze bładozielonym, prostą w kroju, lecz wykończoną precudowną zieloną satyną. Czyż można sobie wyobrazić lepszy strój na wiosenny wieczór?

Nawet jej fryzura nie psuła szyku. Obracając się przed lustrem, po raz pierwszy od dawna Maddy była całkowicie zadowolona ze swego wyglądu.

Serce zabiło jej mocniej na myśl, że może po kolacji uda się jej zostać z Tristanem sam na sam na tyle długo, by zdołała odebrać od niego drugi z należnych jej pocałunków. Uśmiechnęła się do siebie. Długi samotny miesiąc spędzony bez niego wart był jednak czekania; najwyraźniej tęsknił za nią równie mocno, jak ona za nim.

Tylko że przy tylu gościach w rezydencji gdzie znajdą spokojny, odosobniony kącik? Może w pomarańczarni? Odprawiła pokojówkę i zaczęła schodzić na dół, by dołączyć do pozostałych gości przy kolacji. Jakże romantycznie byłoby w pomarańczarni w kwietniową noc, kiedy księżyc jasno świeci.

Przypomniała sobie opowiadanie hrabiego o tym, jak to wspaniale jest hodować własne owoce i warzywa pod szkłem w zimowe miesiące, lecz już po chwili myślała tylko o tym, że niedługo znajdzie się w ramionach Tristana i poczuje dotyk jego warg.

Kiedy zeszała na sam dół schodów, zobaczyła, że czeka tam na nią młody służący w liberii.

- Panno Harcourt - mam panienkę zaprowadzić do saloniku obok jadalni - powiedział ze śpiewnym akcentem Irlandczyka.

Maddy podziękowała mu uprzejmie i po chwili weszła do salonu - jednego z nielicznych pokoi, które hrabia ominął pokazując jej dom. Ku jej zaskoczeniu, w pokoju znajdował się tylko Garth.

Po raz drugi w życiu zobaczyła go w galowym ubraniu - tym razem nieco jaśniejszym niż to, które miał na sobie pamiętnego wieczora w teatrze. Właściwie frak, który miał na sobie, był dokładnie tego samego koloru co tapeta na ścianach saloniku, a złota kamizelka idealnie pasowała do draperii na oknach.

Maddy uśmiechnęła się pod nosem. Jakim zabawnym, próżnym człowiekiem był ten mały brat Tristana. Zastanawiała się, czy dobierał ubrania do wystroju wnętrza, czy na odwrót?

Niecierpliwie przyglądała się jego poważnej minie. Chciała jak najszybciej stąd wyjść i zobaczyć się z Tristanem, lecz hrabiego najwyraźniej coś trapiło. Radość zniknęła z jego oczu, a twarz miał przerażająco bladą. Dłoń, w której trzymał kieliszek sherry, wyraźnie drżała.

- Miło mi panią widzieć, panno Harcourt - odezwał się odkaslnąwszy najpierw z cicha. Maddy spojrzała za niego spodziewając się, że zaraz pojawi się reszta towarzystwa. Garth znowu odkaslnął.

- Pani ojciec łaskawie pozwolił mi z panią porozmawiać.

Głos drżał mu okropnie, a sherry wychlapała się z kieliszka na piękny dywan, na którym stali.

- Doprawdy? - Maddy przyglądała się niziutkiemu hrabiemu ze zdumieniem. Co też jej ojciec mu zrobił, że doprowadził go do takiego stanu?
- Ale dlaczego uważał pan za stosowne uzyskać jego pozwolenie, by porozmawiać z gościem we własnym domu? Tym bardziej że gawędziliśmy przez całe popołudnie?

Na policzki hrabiego wypłynął krwisty rumieniec.

- Tak, ale nasza pogawędka nie miała tak osobistego charakteru jak rozmowa, którą chcę z panią przeprowadzić.

Osobisty charakter? - zdziwiła się Maddy.

- Znamy się już od miesiąca - mówił dalej hrabia.

- I w tym czasie zacząłem panią wyjątkowo podziwiać i szanować.

- Ależ, bardzo miło mi to słyszeć, milordzie. Ja też bardzo pana polubiłam
- odrzekła Maddy uśmiechając się promiennie do Gartha.

- Mam wrażenie, że lubiłabym pana nawet gdyby nie był pan bratem Tristana.

- Bardzo to miłe z pani strony. Miałem nadzieję znaleźć sympatię w pani oczach, lecz człowiek nigdy nie może być do końca pewien, nieprawdaż? - Hrabia utkwiał wzrok w jakimś punkcie nad głową dziewczyny i zmarszczył brwi. Wyglądał jak uczeń, który nie może przypomnieć sobie zadanego przez nauczyciela wiersza. Przełknął ślinę. - Czy uczyni mi pani ten zaszczyt, panno Harcourt... - znowu przełknął - ...i zostanie moją żoną, piątą hrabiną Rand?

- Co takiego? - Maddy patrzyła na niego z ustami otwartymi ze zdumienia. Czy on oszalał?

- Czy zostanie pani moją żoną, panno Harcourt?

- Nie, milordzie. Nie ma mowy - odrzekła dobitnie.

- Choć wyświadcza mi pan ogromny zaszczyt tą propozycją, chyba zdaje pan sobie sprawę, że zupełnie do siebie nie pasujemy...

- Ależ panno Harcourt - wyjąkał Garth.

- Pani... pani nie może mi odmówić... Co też powie pani ojciec?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Mówimy tu o moim życiu, a nie mojego ojca. - Przyjrzała się hrabiemu zwięzonymi oczyma.

- Czy to mój ojciec zmusił pana w jakiś sposób do tych oświadczeń?

- On... wyraził nadzieję... że... jakby to powiedzieć... posunął się tak daleko...

- Ha! Tak właśnie myślałam! - Maddy zmarszczyła brwi.

- To na pewno nie był pana pomysł. Na miłość boską, niech pan tylko spojrzy na siebie, milordzie! Nigdy w życiu nie widziałam, by ktoś był tak nieszczęśliwy! Czy tak wygląda człowiek, który właśnie znalazł kobietę, z którą chce spędzić resztę życia?

- Ależ pani nic nie rozumie, panno Harcourt! Musimy się pobrać; pani ojciec tego oczekuje.

Biedny hrabia był tak nieszczęśliwy, że Maddy miała ochotę przytulić go i pocieszyć. Objęła go ramieniem i ucisnęła.

- Bzdury, milordzie. Nie musimy robić nic, na co nie mamy ochoty... bez względu na to, kto się tego po nas spodziewa... A najwyraźniej żadne z nas

nie ma ochoty na to małżeństwo. Niech pan zostawi ojca mnie... Całe życie użerałam się z tyranami. Mam już spore doświadczenie.

Nadal obejmowała hrabiego, gdy drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie i wpadł przez nie wyżej wspomniany tyran

- z miną kota, który nie tylko dopiero co połknął, ale i dokładnie strawił tłustą mysz.

- Maddy, milordzie, niech mi wolno będzie jako pierwszemu życzyć wam wiele szczęścia! Mój służący już czeka, by udać się do Londynu z wiadomością o waszych zaręczynach. Każę mu dać ogłoszenie do wszystkich gazet. - Głośno bas Caleba Harcourta zadudnił w saloniku.

Maddy poczuła, że hrabia zdrzął, jak gdyby ktoś zadał mu śmiertelny cios. Nie miała pojęcia, jak też ojciec zmusił go do tych oświadczeń, lecz na myśl o terrorze, jaki przechodził dobroduszny hrabia, ogarnęła ją wściekłość.

- Nie, papo, nie masz najmniejszego powodu, by życzyć nam szczęścia! - odparła z lodowatą pogardą.

- Co prawda hrabia mi się oświadczył, pod twoją namową, nie wątpię, ale odmówiłam mu. Po prostu nie pasujemy do siebie i każdy przy zdrowych zmysłach to widzi.

- Nie pasujecie? On jest hrabią, który nie ma co do garnka włożyć, a ty jesteś dziedziczką bez tytułu. Gdzie znajdziesz lepszą partię?

Pieniądze. Więc to o to chodziło. Maddy raz jeszcze ucisnęła hrabiego. Biedaczysko nie miał ani grosza i aby uratować ukochane Winterhaven, postawił w zastaw swój honor. Najwyraźniej ojciec musiał mu nieźle zapłacić. Maddy aż drżała z oburzenia i wściekłości.

- Bardzo lubię hrabiego - powiedziała lodowato.

- Ale nie kocham go i z całą pewnością on też mnie nie kocha. Właściwie mam pewne podejrzenia, że jest uczuciowo zaangażowany gdzie indziej.

- Spojrzała na Gartha stojącego obok niej bez słowa i widząc rumieniec na jego policzkach zrozumiała, że prawidłowo odczytała smutek w jego oczach.

- Może on nie ma innego wyjścia, lecz ja mam. Nie dam się złapać w pułapkę. Nie pozwolę się zmusić do małżeństwa, które nie jest zbudowane na prawdziwej miłości.

- Prawdziwej miłości! - warknął jej ojciec.

- Wszyscy święci! Jesteś już dorosła, moja droga, powinnaś nieco trzeźwiej patrzeć na świat. Z własnego doświadczenia mogę cię zapewnić, że o ile małżeństwo nie jest zawierane ze względu na korzyści, jakie może przynieść obu stronom, z góry jest skazane na niepowodzenie.

- Będę wierzyć w siłę prawdziwej miłości aż do końca moich dni na ziemi... a nawet dłużej, jeżeli istnieje życie wieczne - powiedziała z uporem Maddy.

- Niech to diabli, Madelaine! Pozwalałem ci na wszystkie wybryki, bo prosiła mnie o to lady Ursula, ale na to się nie zgodzę! Dokładnie przyjrzałem się młodemu kawalerom i wiem, że hrabia Rand jest dla ciebie najodpowiedniejszą partią. Spełnia wszystkie moje wymagania.

- Twoje wymagania? - Maddy zacisnęła pięści w przyływie furii.

- A co z moimi wymaganiami? Czy moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą?

Caleb Harcourt spojrział na drżącego hrabiego.

- Niech nas pan zostawi, milordzie. Chciałbym porozmawiać z córką na osobności.

- A gdy drzwi za Garthem zamknęły się, kontynuował:

- Bardzo mnie zawiodłaś, panienko! Myślałem, że masz nieco oleju w głowie, ale przekonałem się, że jesteś równie głupia jak twoja matka.

- I ty mnie zawiodłeś, papo! Wierzyłam, że zależy ci na mnie, a nie tylko na realizacji twoich własnych egoistycznych planów!

- Oczywiście, że mi na tobie zależy. Jak myślisz, dlaczego wydałem więcej, niż płacę wszystkim moim kapitanom za roczną służbę, na renowację londyńskiego domu Ramsdenów i ich wiejskiej posiadłości? Bo wiedziałem, iż to ty będziesz tu panią. Pomyśl tylko, Maddy. Z moimi pieniędzmi i tytułem Randa będziesz ulubienicą londyńskich salonów! Żadna z tych przeklętych starych dewotek nie ośmieli się obgadywać cię, jak to robiły z twoją matką... A twój pierworodny będzie hrabią z krwi i kości, będzie miał zapewnione miejsce w Parlamencie!

Maddy przyglądała się ojcu z niedowierzaniem. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo zależało mu na jej awansie społecznym.

Potrząsnęła smutno głową.

- Jakaż to ironia losu, że to ty właśnie, po tym, jak sam do wszystkiego w życiu doszedłeś, uważasz, że jedyną miarą wartości człowieka jest jego tytuł.

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz, dziewczyno? Tytuł to jedyna rzecz jakiej moje pieniądze nie mogą ci zapewnić. O, kupiłem sobie podrzędny tytuł baroneta spłacając część długów księcia regenta, ale to pestka w porównaniu z tytułem hrabiego Randa. Mój plan zapewni tobie i twoim dzieciom prestiż, o jakim ja mogę tylko marzyć.

- Cóż... bardzo mi przykro, że cię rozczarowałam, papo. Jeszcze bardziej jest mi przykro, że zmarnowałeś tyle cennych gwinei, bo chyba naprawdę uważasz, że postępujesz tak dla mego własnego dobra. Ale tak nie może być. Byłabym wyjątkowo nieszczęśliwa, gdyby to małżeństwo kiedykolwiek doszło do skutku.

- Bzdury! Hrabia to przyzwoity chłopak... Może trochę nieśmiały, ale ty masz ducha za was dwoje. Nie pozwolę ci wypuścić z rąk podobnej okazji... Wiem, co jest dla ciebie najlepsze.

Maddy potrząsnęła głową z bezbrzeżnym smutkiem.

- Nie, papo. Tylko ja mogę powiedzieć, co jest dla mnie najlepsze. I choć bardzo cię kocham, nie pozwolę ci decydować o tym, jak ma wyglądać moje życie. Za parę dni skończę dwadzieścia jeden lat i zgodnie z prawem będę mogła sama podejmować wszelkie decyzje. I tak właśnie zamierzam zrobić.

- Zamierzasz zdechnąć z głodu w jakimś rynsztoku! - Ojciec prychnął z oburzeniem.

- Zapomniałaś, że to ja zarządzam pieniędzmi. To nieco ogranicza twoją wolność wyboru... nie sądzisz?

Maddy uniosła wojowniczo podbródek i spojrzała mu w oczy.

- A ty, papo, zapominasz, że nie jestem jedną z tych głupich angielskich panienek! Jeżeli Francuzka, jak madame Heloise - to mówiąc skrzyżowała palce za plecami - może zarabiać na życie w Londynie, i to dobrze zarabiać, ja też dam sobie radę.

- Aaa, więc teraz twierdzisz, że potrafisz szyć? - Szerokie brwi Caleba Harcourta uniosły się w zdumieniu aż na czoło.

- Nawet nie próbuj mnie oszukać, córko. Przypadkiem wiem od lady Ursuli, że zwykle haftowanie przekracza twe możliwości.

- Masz rację, aleja nigdy nie zamierzałam zostać szwaczką! Mam inne talenty.

- Niby jakież to?

- Jestem doskonałą kucharką, papo. Właściwie nadaję się nawet na szefa kuchni! Jak myślisz, kto przygotowywał te wszystkie wymyślne potrawy, które pojawiały się na twoim stole przez ostatnie trzy tygodnie? - Potrząsnęła głową ze złością.

- Nawet Cookie przyznaje, że z łatwością mogłabym zarabiać na życie zarządzając kuchnią w dowolnym domu w Londynie.

- Cookie?! Na Boga, obedę łotra ze skóry!

- Za to, że mówi prawdę? Nie bądź śmieszny, papo!

- A co z tobą, panienko? Czy ty nie zachowujesz się śmiesznie chcąc gotować obiady dla obcej rodziny, zamiast samej być panią domu?

- Oczywiście. Wbrew twojej opinii nie uważam się za głupią tylko dlatego, że nie zgadzam się z twoim zdaniem co do tego, kogo powinnam poślubić. Niczego bardziej nie pragnę niż rządzenia się we własnej kuchni we własnym domu... Ale tylko pod warunkiem, że moim mężem będzie człowiek, którego kocham.

- I kto to ma być? Może jakiś paniczykowany rojalista, którego wybrał dla ciebie dziadek? Przecież nie znasz żadnego Anglika oprócz hrabiego! - Jego oczy nagle się zwęziły.

- Poza jego diabelskim bratem! Na Boga, wiedziałem, że coś mi tu śmierdzi! Jeżeli ten podstępny syn szatana zhańbił moje dziecko, przysięgam, że osobiście go zabiję.

- Tristan mnie nie zhańbił. Ani też nie zrobił nic, czego musiałby się teraz wstydzić - odparła Maddy urażonym tonem.

- To najbardziej honorowy człowiek, jakiego znam.

- To bękart bez grosza przy duszy! I jeden z najlepszych szpiegów Castelreagha! Gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi, i tak nie pozwoliłbym ci wyjść za niego za mąż! Przecież stałabyś się wyrzutkiem społecznym!

Maddy spojrzała mu w oczy bez drżenia.

- Papo, proszę, przestańmy się bezsensownie kłócić. Zbyt wiele lat byliśmy rozdzieleni; nie pozwólmy, by odmienne poglądy jeszcze bardziej

nas poróżniły. Wiem, czego oczekuję po moim mężu, i hrabia nie spełnia moich oczekiwań. Jestem zdecydowana poślubić człowieka, którego kocham. Może i według ciebie nie jest on dla mnie odpowiedni, ale moim zdaniem to najwspanialszy mężczyzna pod słońcem i tylko jego chcę poślubić.

- Zastanawiam się tylko, czy ten twój honorowy bękart nadal będzie chciał cię poślubić, gdy wtrącę jego brata do więzienia za nie płacone mi długi, a jego matkę i siostrę zostawię za bruku bez grosza przy duszy. Wątpię. Zdążyłem się już przekonać, że bardzo ich kocha...

Maddy patrzyła na niego z przerażeniem jasno wymalowanym na twarzy.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że skrzywdziłbyś ich tak okropnie tylko dlatego, że twój plan się nie powiódł?!

- To nie ma nic wspólnego z moim planem - odparł ponuro.

- Może i w tej chwili mi nie wierzysz, ale bardzo cię kocham, Maddy, i zrobię wszystko, by powstrzymać cię od błędu! Dopnę swego za wszelką cenę.

Maddy czuła, jak ogarniają bezbrzeżna wściekłość zrodzona z bezsilności.

- Jeżeli zmusisz mnie do tego małżeństwa, papo, znienawidzę cię do końca życia - rzekła zimno, lecz z ogromną determinacją.

- Cóż... będę musiał zaryzykować. Lepiej, żebyś mnie nienawidziła, niż zmarnowała sobie życie.

- Z jego miny Maddy wyczytała, że mówi poważnie. Długą chwilę patrzyli sobie w oczy, aż wreszcie Caleb Harcourt dodał: - Nie powinnaś wątpić, że jestem zdolny do zniszczenia twojego ukochanego honorowego bękarta wraz z całą jego rodziną. Zanim zrobisz coś głupiego, dobrze się zastanów. Poza tym, równie dobrze możesz wiedzieć i to, że twój ukochany Tristan Thibault brał udział w moim planie z pełną świadomością od samego początku. Wiedział, po co przywozi cię do Anglii i ani przez chwilę się nie wahał. Wiedział, że masz zostać żoną jego brata.

Jak skazaniec idący na śmierć Tristan szedł powoli długimi korytarzami Winterhaven do salonu, gdzie wedle słów Caleba Harcourta czekała na niego Maddy. Podobno chciała z nim porozmawiać.

Nie wątpił, co go teraz czeka; uszy nadal paliły go na wspomnienie tego, co usłyszał od starego tyrana na temat swej roli w buncie córki przed zaręczynami z Garthem.

Teraz jego brat trząsał się ze strachu, lady Ursula położyła się do łóżka z migreną, a Caro zamknęła się w bibliotece łkając rozpaczliwie. Wszyscy się zgodzili, że ponieważ to Tristan był poniekąd sprawcą zamieszania, on powinien rozmówić się z dziewczyną. Nikt mu jednak nie powiedział, jak ma przekonać upartą Maddy Harcourt, by wbrew swej woli wyszła za Gartha Ramsdena. Nikt oprócz Caro nie rozumiał też, na co Tristan się porywa, nakłaniając dziewczynę do ślubu wbrew jej woli, kiedy jego serce też pękało z rozpaczy.

Odetchnął głęboko dla uspokojenia nerwów i zapukawszy lekko do drzwi wszedł do błękitnego saloniku. Maddy siedziała w fotelu, z oczyma spuszczoneymi i rękami złożonymi na kolanach. Gdy wszedł, uniosła głowę, lecz zamiast wściekłości, którą spodziewał się zobaczyć w jej oczach, dostrzegł smutną rezygnację podobną do tej, którą sam nosił w sercu. Patrzyła na niego z napięciem.

- Papa powiedział, że od początku wiedziałeś, po co wiesz mnie do Anglii. Że od początku wiedziałeś, że mam zostać żoną twego brata. Czy to prawda? - odezwała się po chwili, przechodząc od razu do sprawy, czego właśnie się spodziewał.

- Tak.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Tristan zamknął drzwi. Niech diabli wezmą konwenanse. To, co miał jej do powiedzenia, było poufne.

- Jeszcze przed wyjazdem z Londynu twój ojciec kazał mi przysiąc, że nie pisnę ani słowa. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem teraz, nigdy bym się nie zgodził na taki układ.

- Tak właśnie myślałam. Nie wierzyłam, być umyślnie mógł mnie oszukać. Nawet przez niedopowiedzenie prawdy. Teraz już wiem, co miałeś na myśli mówiąc, że honor zabrania ci całować się ze mną.

- Jej smutny uśmiech ranił go bardziej, niż mogłaby dokonać tego wściekłość. Raz jeszcze Maddy zdumiała go otwartością i lojalnością.

- Czy to, że się w tobie zakochałam, było bardzo głupie i naiwne z mojej strony? - zapytała smutno patrząc mu w oczy.

- Nie, Maddy, nigdy tak nie myśl.

- Pogodził się już z myślą, że ją straci, ale nic, nawet lojalność względem Gartha, nie zmusiłaby go do kłamstwa w takiej sytuacji. - Jeżeli miłość jest naiwna, to oboje jesteśmy naiwni, kochanie - dodał łagodnie.

Pojedyncza łza spłynęła po jej policzku i spadła na leżące na kolanach zaciśnięte dłonie.

- Więc tylko to nam zostaje. Dzięki tej świadomości moja samotność będzie łatwiejsza do zniesienia.

- Przyglądała mu się z napięciem.

- Nie sądzę, byś odniósł większym sukces niż ja w odwodzeniu mego ojca od jego planu.

- Nawet nie próbowałem. On chronicznie nienawidzi bękartów, a szczególnie bękartów bez grosza przy duszy. Najchętniej bym go zabił za ten głupi upór, lecz wiem, że wszystko, co robi, robi z miłości do ciebie. Jest święcie przekonany, że robi to tylko dla twego dobra.

- Papa jest głupcem - odrzekła Maddy. - Co prawda jego intencje są dobre, lecz nadal jest tylko zapatrzonym w siebie głupcem. Niestety, tacy właśnie ludzie tworzą więcej zamętu w życiu bliskich sobie osób niż najniegodziwsi łajdacy.

- Bezwiednie wyglądała fałdy spódnicy.

- Bardzo lubię twego brata. Któż mógłby nie lubić tak łagodnego i dobrego człowieka? Nie potrafiłabym żyć z myślą, że to przeze mnie ojciec wtrącił go do więzienia. Niestety, obawiam się, że będę dla niego okropną żoną i bardzo mnie to martwi. Tak dobry człowiek zasługuje na to, by żona go kochała, a nie ledwie tolerowała...

- Dziewczyna uśmiechnęła się smutno.

- Wiem, że dla ciebie byłabym idealną żoną. Wątpię, czy nawet mój niewyparzony język bardzo by ci przeszkadzał. Jestem pewna, że po naszym ślubie nawet byś nie myślał o wzięciu sobie kochanki.

- Patrząc na zmysłowy uśmiech wyginający kąciki jego ust, Maddy zrozumiała, że myślał o tym samym: o namiętym pocałunku nad stawem nieopodal młyna.

- I to jest w tym najsmutniejsze. Kiedy mój ojciec wreszcie przekona się jak bardzo się pomylił, będzie za późno, by naprawić szkodę.

Przez długą chwilę przyglądała się twarzy mężczyzny, którego tak bardzo kochała - za odwagę, honor i za to, że obudził w niej namiętność. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a w jego oczach widniał smutek i rezygnacja. Miała ochotę przytulić go do siebie i pocieszyć...

- Kocham cię, Tristanie - odezwała się nieśmiało.

- Choć raz chciałam ci to powiedzieć.

- Ja też cię kocham, Maddy.

- Stał sztywno wyprostowany, ani na krok nie ruszając się z miejsca, w którym stanął po wejściu do pokoju. Zdawało się, że ledwie nad sobą panuje, że lada moment jego kontrola pryśnie i... Maddy wstała z fotela i podeszła do niego.

- Oddaj mi mój drugi pocałunek, proszę.

Odsunął się od niej. Dłonie zaciśnięte w pięści przycisnął do boków.

- Nie prosz mnie o to, moja mała. Wiem, że byłyby to nasz ostatni pocałunek. Rozdarłabyś mi nim serce...

- A jednak cię proszę - odparła.

- Chcę go zachować na wszystkie nadchodzące samotne lata bez ciebie.

- Och, Maddy - jęknął Tristan. - Co ja mam z tobą zrobić? Co ja zrobię bez ciebie?

A potem przyciągnął ją do siebie i pocałował... czule i z ogromną tęsknotą. Całowali się długo, lecz gdy ich namiętność zaczęła wzrastać, Tristan odsunął się od Maddy. Dotknęła delikatnie jego policzka.

- Idź już, Tristanie - powiedziała.

- Idź, zanim najdzie mnie ochota na odebranie mego ostatniego pocałunku. Jestem córką kupca i nie zwolnię cię z obietnicy. W ten sposób, gdziekolwiek będziesz, jakaś częśćka ciebie zawsze będzie należeć do mnie.

Rozdział trzynasty

Zaręczyny Gartha Ramsdena z panną Maddy Harcourt były głównym tematem rozmów we wszystkich salonach Londynu. Ramsdenowie nie byli pierwszą szlachecką rodziną, która w ten sposób ratowała się przed ubóstwem. Czasy były ciężkie i wiele osób było zmuszonych do podobnego postępowania. Ale ród Randów był jak dotąd najdostojniejszym z tych, które spotkał haniebny los, a Caleb Harcourt był najbogatszym kupcem, który zyskał na tym interesie. W oczach innych szlachciców nadawało to zaręczynom pewnej patyny świetności, której pozostałe związki były pozbawione.

Lady Ursula nalegała, by możliwie skrócić wizytę w Winterhaven.

- Bardzo jestem rada, że odwiedziliśmy kochanego Tristana, ale mamy jeszcze tyle spraw do załatwienia przed ślubem - powtarzała.

- Chciałbym, aby ślub odbył się jak najszybciej - dodawał Caleb Harcourt.

- Jak tylko zdoła pani wszystko naszykować, droga pani. Maddy nie protestowała. W jej oczach ślub był operacją podobną do wyrwania zęba - im szybciej uporają się z tą nieprzyjemną uroczystością, tym lepiej. Pożegnała się z Tristanem i nic już nie trzymało jej w Winterhaven. Tak więc dokładnie tydzień po przyjeździe do posiadłości

całe towarzystwo wróciło do Londynu - oprócz hrabiego, który został na następne cztery dni, by pomóc Tristanowi w jakichś renowacjach.

Ku ich zaskoczeniu w domu Ramsdenów czekała na nich ogromna góra zaproszeń na herbatki, podwieczorki, wieczorki muzyczne, przejażdżki po parku i pikniki, zaadresowanych do hrabiego i jego narzeczonej. Caleb Harcourt nie posiadał się z radości.

- Teraz widzisz, że miałem rację co do tego małżeństwa?

- zapytał tego samego wieczora, gdy wraz z lady Ursulą i lady Carolyn siedzieli w małym salonie na drugim piętrze ogromnego domu. Potrząsnął zaproszeniami przed nosem Maddy.

- Widzisz? Drzwi wszystkich najwspanialszych domów w Londynie stoją przed tobą otworem! Będziesz tańczyć i pić herbatę z hrabiami, baronami, a

nawet księżętami... Wszystko to, o czym nie mogłaś nawet marzyć będąc córką zwykłego kupca.

Maddy przewróciła stronę w książce, którą właśnie czytała.

- Mylisz mnie z moją matką. To ona sądziła ludzi po tytułach, jakie nosili - odrzekła zimno, nie unosząc nawet wzroku znad tekstu. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do starego tyrana, odkąd obwieszczenie jej zaręczyn ukazało się w gazetach.

- Nadal się na mnie boczysz? - zapytał najwyraźniej ani trochę nie zmartwiony jej wcześniejszym milczeniem ani lodowatymi słowami.

- No cóż... poczekaj, aż zatańczysz z księciem, a sam regent ucałuje twą dłoń... Wtedy inaczej zaśpiewasz!

- Drogi Caleb ma rację, Madelaine - wtrąciła lady Ursula odkładając na bok listę gości weselnych, którą właśnie sporządzała.

- Kiedy już pokonasz nieśmiałość, zrozumiesz, że świat, do którego właśnie wchodzisz, jest wyjątkowo ekscytujący. Tylko pomyśl, moja droga! Z pieniędzmi twego ojca i tytułem mego syna możesz stać się największą panią domu w mieście!

To powiedziawszy dama wstała, a pan Harcourt podskoczył na równe nogi i stanął obok niej.

- I tak się stanie, droga pani, jeżeli tylko da jej pani dobry przykład - zamruczał czule, podając ramię lady Ursuli.

- A teraz przejdźmy do biblioteki i dokończmy planować wesele. Chcę, by było największym wydarzeniem sezonu i wierzę, że przy pani pomocy uda nam się to osiągnąć.

- Jesteś bardzo miły, drogi Calebie - odrzekła hrabina i ramię w ramię wyszli z salonu uśmiechając się do siebie promiennie; dwie dziewczyny patrzyły za nimi ze zdumieniem.

- Od kiedyż to mój ojciec jest „drogim Calebem”, a hrabina jego „droga panią”? - Maddy zwróciła się do lady Carolyn, kiedy zostały same.

- Czyżbym przegapiła jakiś ważny moment w ich wzajemnych stosunkach?

Carolyn uniosła wzrok znad szala, który właśnie ozdabiała kunsztownym haftem.

- Domyślam się, że co innego miała pani na głowie. Od chwili ogłoszenia waszych zaręczyn z Garthem właściwie się nie rozstają.

- Dziewczyna zarumieniła się po czubki uszu.

- Panno Harcourt, proszę, niech pani nie ma pretensji do mojej matki za to, że poddała się planowi pani ojca. Ona przetrwała trzydzieści lat małżeństwa z moim ojcem łajdakiem tylko dlatego, że nauczyła się nie dostrzegać brutalnych aspektów życia. Wmówiła sobie, że życie jest dobre i szczęśliwe, i tak już zostało. Samooszukiwanie stało się jej sposobem życia i nawet już zdążyła sobie wmówić, że pani i Garth doskonale do siebie pasujecie. Za dwa dni będzie święcie wierzyć, że jest pani zakochana i że to małżeństwo było pomysłem pani a nie pani ojca.

- Jest pani wyjątkowo spostrzegawcza, lady Carolyn - odrzekła Maddy odkładając książkę na stolik. Potem dodała z wahaniem:

- Będę potrzebować przyjaciółki, by przebrnąć przez to wszystko. Mam nadzieję, że to pani okaże się tą przyjaciółką... i moją siostrą. Może byśmy przypieczętowały pakt przyjaźni zaczynając mówić sobie po imieniu? Carolyn skinęła poważnie głową.

- Będzie to dla mnie wielki honor, jeżeli kobieta, którą jeden z moich braci poślubi, a drugi kocha, będzie moją przyjaciółką.

Maddy spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Czyżby Tristan rozmawiał z tobą?

- Wyznał mi, że cię kocha, zanim jeszcze wyjechał do Winterhaven.

- Carolyn skinęła głową. - Ale powiedział to tylko mnie. Ani mama, ani Garth nie mają pojęcia o jego prawdziwych uczuciach. Podejrzewam, że byliby bardzo nieszczęśliwi gdyby wiedzieli, że twoje małżeństwo z Garthem tak go rani.

- Tak jak ty jesteś nieszczęśliwa? Teraz już rozumiem, dlaczego tak łatwo wpadasz w rozpacz i płaczesz po nocach... Podejrzewam, że przynajmniej połowa z tych łez jest wylana z powodu nieszczęścia Gartha i lady, którą on kocha.

Carolyn spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Wiesz o lady Sarze?

- Nie znałam jej imienia, lecz nietrudno było się domyślić, że hrabia cierpi z powodu złamanego serca.

- Garth i lady Sara Summerhill, córka naszego sąsiada wicehrabiego Tinsdale, przyrzekli sobie, że się pobiorą, gdy byli jeszcze dziećmi. Nigdy nikt inny się dla nich nie liczył. Są do siebie tak podobni, że czasem zdawali się być jednym sercem i jednym umysłem w dwóch ciałach. - Carolyn nie patrzyła Maddy w oczy; nawlekała igłę zieloną nitką. - Sara ma już dwadzieścia cztery lata. Właściwie jest już starą panną. Nikt już nie zechce ubiegać się o jej rękę - kontynuowała szyjąc dalej. - Odrzucała każdego konkurenta przez te wszystkie lata, gdy Garth walczył u boku Wellingtona na przylądku... Omal serce mu nie pękło, gdy musiał jej powiedzieć, że zrywa ich zaręczyny... Maddy poważnie przyglądała się towarzysze.

- Zakładam, że rodzina lady Sary jest w podobnej sytuacji majątkowej co i wasza?

- Ależ skąd! Wicehrabia Tinsdale jest bogaty niczym sam Krezus!

- Więc dlaczego nie pomoże twemu bratu?

Carolyn podniosła oczy znad haftu. Smutek malujący się na jej młodej buzi jeszcze bardziej upodobił ją do brata.

- Po pierwsze, Garth nigdy nie poprosił go o pomoc. Po drugie, wicehrabia jest oddanym ojcem i mężem, więc nigdy nie pozwoliłby córce wyjść za kogoś zamieszanego w skandal finansowy...

- W jej oczach pojawiły się łzy.

- Jakże bym chciała, żebyście i ty, i Sara mogły być moimi siostrami... Nie mogę patrzeć, jak moi ukochani bracia i kobiety, które kochają, zostają zapędzani w kozi róg bez możliwości ucieczki. I to wszystko z winy naszych ojców... Mojego, którego nikt oprócz niego samego nie obchodził; i waszych, lady Sary i twojego, którzy tak bardzo kochają swe dzieci, że są zaślepieni ambicją i planami...

- Nagle uniosła wzrok i w jej oczach zapaliła się nadzieja.

- Może pan Harcourt zakocha się w mamie? Wtedy chyba nie pośle syna swej ukochanej do więzienia?

- Masz na myśli to, że nie wstrzyma pieniędzy, z których Garth może spłacić swych wierzycieli? - skrzywiła się Maddy.

Carolyn spojrzała na nią ze zdumieniem, a szal, nożyczki, igły i nici zsunęły się z jej kolan na podłogę.

- Ojej, myślałam, że wiesz o wszystkim! - Jęknęła przyciskając palce do warg.

- O czym?

- Nawet nie śmiem mówić. Garth powiedział mi o wszystkim w tajemnicy, lecz kazał mi obiecać, że nic nikomu nie powtórzę... Na pewno nie chciałby, żebyś się jeszcze bardziej martwiła...

Maddy z niepokojem przyglądała się śmiertelnie bladej twarzy dziewczyny.

- Ależ musisz mi to powiedzieć. Najwyraźniej są rzeczy, o których powinnam wiedzieć, a nie wiem. Może uda mi się jakoś wykorzystać te informacje. Może jeszcze zdołam wyzwolić nas z tej okropnej sytuacji.

Carolyn siedziała długą chwilę w milczeniu, jak gdyby zastanawiając się, co jest ważniejsze - lojalność względem brata, czy nadzieja na wyciągnięcie go z pułapki. Serce waliło Maddy w piersi. Kobieca intuicja podpowiadała jej, że sekret Carolyn może jej pomóc w rozwiązaniu zagadki i odzyskaniu kontroli nad własnym życiem.

- Powiedz mi, Caro - ponagliła dziewczynę.

- Muszę wiedzieć.

- Garth ma tylko jednego wierzyciela - odparła powoli.

- Pan Harcourt wykupił wszystkie długi mego ojca i hipoteki, które ten zaciągnął pod zastaw naszych domów i posiadłości...

- I zaszantażował Tristana, by przywiózł mnie z Francji, a Gartha, by mnie poślubił - dokończyła za nią Maddy głosem drżącym z furii. Właśnie wypaliła się w niej reszta ciepłych uczuć, jakie kiedykolwiek czuła względem ojca.

- Wielki Boże - wymamrotała.

- Nic dziwnego, że ten stary tyran jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Nie ma sumienia ani skrupułów i nic go nie powstrzyma, jeżeli zechce osiągnąć jakiś cel.

- Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Ale może uda się nam go pokonać na jego własny sposób? Gdybym tylko dostała w swoje ręce spis długów hrabiego...

- Przycisnęła dłonie do skroni.

- Gdzie też mój ojciec może je przechowywać? Byłam w każdym pokoju w domu i nigdzie nie widziałam żadnego sejfu...

- Ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń usiłowała wyobrazić sobie dom na Bloomsbury Square.

- Często przesiaduje w bibliotece pracując nad rachunkami... Może rachunki hrabiego są w którejś szufladzie biurka?

Carolyn patrzyła na Maddy z niepokojem. Nie podobał jej się błędny wzrok i nerwowy chód Maddy.

- Prędzej trzyma je w swoim biurze przy dokach... To tam pokazał je Garthowi i Tristanowi. Tylko jak myje znajdziemy? Żadna dama nie odważy się pojechać do doków Billingsgate...

- Zmarszczyła brwi.

- I co chcesz zrobić z tymi dokumentami, kiedy już je znajdziesz? Chyba zniszczenie prawnych dokumentów jest przestępstwem?

- Zapewne masz rację... Ale z drugiej strony szantaż też jest sprzeczny z prawem.

- Maddy westchnęła ponuro.

- Ale tak... Masz rację. Znając hrabiego i Tristana i ich podejście do honoru, będziemy musiały znaleźć jakiś inny sposób na wyciągnięcie ich z kłopotu. Ale cóż... będziemy się o to martwić, gdy już znajdziemy te przeklęte dokumenty. W każdym razie, gdy znajdą się w moich rękach, ojciec nie będzie miał już z nich żadnego pożytku.

- Przystanąła tuż przed Carolyn i założyła ramiona na piersi. - Najpierw przeszukam biurko ojca w domowej bibliotece. Jeżeli tam nie znajdę dokumentów, nie będziemy miały innego wyboru: będziemy musiały złożyć mu wizytę w dokach.

- My? - Carolyn aż zamrugwała ze zdumienia.

- Mamy tam pojechać razem?

- Oczywiście. Będziesz mi potrzebna do utworzenia drugiego frontu. Sama nie wiem... pewno będziesz musiała zemdleć albo coś takiego, kiedy będę przeszukiwać jego biurko - powiedziała Maddy mając nadzieję, że nie przeceniła odwagi Carolyn.

- O mój Boże! - jęknęła dziewczyna.

- Nie sędzę, by mi się to udało. I co powie mama? Poza tym, ja nigdy w życiu nie zemdlałam! Nie mam pojęcia, jak to się robi... - Zawahała się, a po chwili łobuzerski uśmiech wypłynął na jej usta.

- Ale co mi tam... Nawet mama często powtarza, że gdybym nie urodziła się damą, z łatwością mogłabym zarabiać na życie jako aktorka...

Dokumentów nie było w biurku Caleba Harcourta w domu na Bloomsbury Square. Maddy spodziewała się tego, więc nie była zbyt rozczarowana. Niestety, zanim zdążyła porozumieć się z Carolyn, została złapana w wir przymiarek ślubnych sukien, który zaaranżowała dla niej lady Ursula. Zabrało jej to aż trzy cenne dni.

Maddy nie śmiała protestować i biernie poddała się wszelkim zabiegom madame Heloise, jednak nie zdołała wykrzesać z siebie ani krzty entuzjazmu dla prezentowanych wzorów sukien i materiałów. Zniecierpliwiona lady Ursula załamała w końcu ręce.

- Madelaine, jak mam zrobić z ciebie prawdziwą damę, skoro nie wykazujesz ani trochę zainteresowania swoim wyglądem? Czy naprawdę chcesz złamać serce swego biednego ojca?

Maddy powściągnęła język, choć miała wielką ochotę odpowiedzieć: „On nie miał żadnych wyrzutów sumienia łamiąc moje”. Caro miała rację, że lady Ursula po prostu nie chciała uwierzyć, iż małżeństwo zaaranżowane przez Caleba Harcourta nie jest najdoskonalszym ze sposobów ocalenia rodziny Randów. Ukrywając frustrację, Maddy udała, że jest pochłonięta oglądaniem najnowszego żurnala.

Kiedy przymiarki wreszcie dobiegły końca, dziewczyny mogły przystąpić do realizacji planu. Ojciec zostawił Maddy powóz i dwóch służących, by mogła bez przeszkód poruszać się po mieście, więc problem transportu był załatwiony. Na szczęście obaj służący byli dawnymi marynarzami i nie znali się na zwyczajach dam... z wyjątkiem królowych nocy... więc żaden z nich nie protestował, gdy Maddy zarządziła przejażdżkę do Billingsgate.

- Pamiętajś dokładnie, co masz robić? - zapytała Maddy wysiadając z powozu przed drzwiami biura ojca.

- Pamiętam - odrzekła Carolyn.

- Mam tylko nadzieję, że nie będę musiała siedzieć tu zbyt długo. W przeciwnym razie moja suknia na zawsze przesiąknie zapachem ryb.

Maddy spojrzała na nią z ukosa.

- To chyba dość niska cena, biorąc pod uwagę fakt, że walczymy o szczęście czworga ludzi...

To powiedziawszy weszła do biura nie oglądając się za siebie. Cichy szmer rozmów, który powitał ją od progu, bardzo szybko ustąpił miejsca zdumieniu i szeptom, a wreszcie ciszy. Dziewczyna przyglądała się ciemno ubranym mężczyznom rozsianym po pokoju niczym czarne ptaki i czuła, że krew zalewa jej policzki. Było to najwyraźniej męskie towarzystwo, które nie tolerowało kobiet. Odetchnęła głęboko, pomyślała o Tristanie i odważnie weszła do pomieszczenia.

Czarne ptaki rozpierchły się... z wyjątkiem jednego. Dziwnie wyglądający stary człowiek podszedł do niej i spojrzał na nią uważnie.

- Obawiam się, panienko, że musi panienka stąd wyjść. To dom handlowy... nie miejsce dla panienki - powiedział ściągając usta z dezaprobatą.

Maddy spojrzała na niego zimno wzrokiem, który w przeszłości wielu młodym rojalistom wskazywał, gdzie jest ich miejsce.

- Jestem Madelaine Harcourt. Przyszłam zobaczyć się z ojcem.

- Panna Harcourt? To naprawdę panienka?

- Stary człowiek zapatrzył się na nią zaczerwienionymi oczyma.

- Ledwie chce mi się wierzyć, choć kapitan mówił, że wróciła panienka do domu...

- Głębokie zmarszczki na jego twarzy ułożyły się w pełen zachwyty uśmiech.

- Wątpię, czy panienka mnie pamięta. Wielki Boże, była panienka małym szkrabem, jakim ostatni raz panienkę widział.

Maddy zamrugowała powiekami; coś zamajaczyło w jej pamięci.

- Pan Scruggs? Wielkie nieba, nadal jest pan na służbie u mego ojca?

- A pewno... choć szczerze mówiąc, już bliżej mi do trumny. Obaj się starzejemy... i ja, i kapitan. Dobrze, że panienka wróciła, by się nim opiekować. Samotnie mu się żyło tylko z tymi dwoma starymi wilkami morskimi w domu...

Maddy poczuła wyrzuty sumienia na myśl o tym, jak to się ostatnio troszczy o ojca. A potem przypomniała sobie, że Caleb Harcourt chce ją zmusić do małżeństwa.

- Proszę za mną, panienko - dodał pan Scruggs.

- Zaraz panienkę zaprowadzę do gabinetu kapitana. Pewno panienka zauważyła, że lepiej się nam powodzi niż za czasów, gdy pani matka mieszkała z kapitanem na piętrze nad jego pierwszym biurem.

- Zauważyłam.

- Maddy kiwnęła głową rozglądając się dokoła. Pomieszczenia były ogromne, a na ścianach wisiały obrazy.

Kiwając na nią zagiętym palcem, starszek poprowadził ją po schodach na górę i zatrzymał się przed masywnymi drzwiami. Zapukał raz i otworzył drzwi.

- Przyszła panna Maddy, kapitanie - powiedział donośnym głosem i ustąpił jej miejsca w drzwiach.

- Maddy? Co ty tu, u licha, robisz? I to sama?! Wielki Boże, czy lady Ursula niczego cię nie nauczyła? Nie powinnaś sama wychodzić z domu!

- Ależ nie przyjechałam tu sama, papo - odparła. - Lady Carolyn czeka na mnie w powozie na dole.

- Niech to diabli! - Caleb Harcourt podskoczył na równe nogi.

- Targ rybny na Billingsgate nie jest odpowiednim miejscem dla tak niewinnego dziecka jak lady Carolyn!

- Zdążyłam się o tym przekonać - rzekła pokornie Maddy.

- Głupie stworzenie tak się przeraziło, że wcale nie chce wyjść z powozu. Siedzi i płacze. Więc zostawiłam ją na dole i sama weszłam.

- A niech to diabli, Maddy! Zaczynam myśleć, że zupełnie nie masz rozumu w głowie!

- Z ponurą miną podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Nawet nie śmiej stąd wychodzić. Pójdę po lady Carolyn, a potem chcę sobie z tobą porozmawiać.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Maddy podbiegła do biurka i zaczęła przeszukiwać szuflady. Szczęście jej dopisało. W drugiej szufladzie od góry po prawej stronie biurka znalazła papiery, których szukała. Szybko wsunęła plik rachunków do torebki, a dokumenty hipotek wsadziła do wcześniej

zrobionej kieszeni w podszewce płaszczyka. Potem pospiesznie zamknęła szufladę i usiadła na krześle stojącym po przeciwnej stronie biurka.

Rozejrzała się po przestronnym, ładnie urządzonej pokoju, tak kontrastującym z hałaśliwym targiem rybnym na dole. Niecałe dwa miesiące wcześniej Tristan i hrabia siedzieli tu na tych krzesłach i wysłuchiwali tyrady Caleba Harcourta. Oczyma duszy widziała, jak potrząsa dokumentami przed nosem biednego hrabiego domagając się posłuszeństwa i grożąc mu posłaniem do więzienia.

Zacisnęła zęby wyobrażając sobie, jak bezradny musiał czuć się Tristan; jak bardzo musiał chcieć pomóc bratu, siostrze i macosze, których życie znajdowało się rękach potężnego kupca. „Zrobiłbym dla nich wszystko” powiedział i potwierdził swe słowa przedkładając honor nad miłość.

Minęło dobre dziesięć minut, zanim drzwi do biura się otworzyły i wszedł Caleb Harcourt prowadząc chlapiącą Carolyn. Posadził dziewczynę na krześle obok córki. Najwyraźniej Caro zrobiła, co w jej mocy, by jak najbardziej opóźnić ich powrót. I sądząc po minie, bardzo się jej to całe przedstawienie podobało.

- Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolona, moja panno
- zagrział Harcourt nalewając Carolyn szklankę wody.
- To biedne dziecko zemdłało, zanim jeszcze do niej doszedłem, a kiedy już odzyskała przytomność, była tak przerażona, że dosłownie musiałem siłą ściągnąć ją z powozu.

Objął dziewczynę ogromnym ramieniem i uściśnął mając nadzieję, że to pomoże jej się opanować.

- To było okropne - łkała Carolyn, a łzy niczym groch ciekły jej po policzkach.

- Wszyscy ci potworni mężczyźni, którzy odrąbywali łebki tym biednym rybkom nożami rzeźnickimi większymi niż wojenne topory... Przed pójściem na wieczorek taneczny do Almack będę musiała od stóp do głów wykapać się w soku z cytryn! Nigdy nie pozbędę się tego ohydneho zapachu!

Nawet najpopularniejsza aktorka z teatru na Drury Lane nie odegrałaby tej sceny bardziej przekonująco. Maddy nadal dusiła się ze śmiechu, gdy ponad pół godziny później zajęchały przed dom Ramsdenów.

- Więc co teraz, kiedy mamy już wszystkie dokumenty?

- zapytała Carolyn, gdy weszły do jej sypialni i zamknęły za sobą drzwi. Najwyraźniej aż paliła się do kolejnej przygody.

Maddy zrzuciła buciki i usiadła na fotelu przy oknie podciągając kolana aż pod brodę.

- Mam pewien plan - powiedziała powoli obserwując przechodniów na ulicy.

- Ale najpierw musisz przedstawić mnie lady Sarze Summerhill. Będzie nam potrzebna jej pomoc.

- W takim razie twój plan jest z góry skazany na niepowodzenie. Sara to kochana osóbką, lecz bardzo cicha i pokorna. Nie odważyłaby się sprzeciwić kotu, nie mówiąc już o ojcu!

Maddy zmarszczyła brwi.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż jest zakochana w twoim bracie. Z doświadczenia wiem, że każda kobieta potrafi znaleźć w sobie odwagę, by stanąć po stronie mężczyzny, którego kocha. Więc proszę, przedstaw mnie tej nieśmiałej, pokornej pani!

- Wiem, że będzie dziś wieczorem w Almack. Jej mama ciągnie ją tam w każdą środę.

Maddy jęknęła z odrazą.

- W takim razie musimy się tam udać. Postaram się nie obrazić lady Jersey.

Almack zaszokował Maddy. Dziewczyna spodziewała się, że jeden z najekskluzywniejszych lokali w Londynie będzie elegancki aż do przesady, a tymczasem ogromna duszna sala, do której wprowadziła ją lady Ursula, była, prawdę mówiąc, odrażająca. Ściany ozdobione były brzydką, grubą tapetą w nieokreślonym, fioletowo-brązowym kolorze, a ogromne kolumny podtrzymujące nieproporcjonalne balkoniki były brzydkie i nie miały absolutnie nic wspólnego ze swymi greckimi pierwowzorami.

- Tylko niczego tu nie jedz ani nie pij. Byłby to wielki błąd z twojej strony - ostrzegła ją lady Carolyn kryjąc twarz za wachlarzem.

- Almack znany jest z nie dopieczonego ciasta, przesolonej szynki i ciepłej lemoniady.

- Więc dlaczego wszyscy poczytują sobie zaproszenia do tego okropnego miejsca za taki honor? - zdziwiła się Maddy.

- Bo siedem patronek jest przy okazji najpotężniejszymi damami w Londynie. Wystarczy, że szepną słówko, a dana osoba już nigdy nie zostanie zaproszona do żadnego domu w mieście.

- Caro wzruszyła ramionami. - Szczerze mówiąc, Emily Cowper i lady Maria Sefton są bardzo miłe, ale reszta... cóż, poznałaś już lady Sally Jersey... Cztery pozostałe są podobne, tylko mówią znacznie mniej.

Lady Ursula nerwowo obejrzała się przez ramię.

- Cicho, dziewczynki. Zachowujcie się przyzwoicie. Jest bardzo ważne, by Madelaine zrobiła dobre wrażenie podczas pierwszej wizyty w Almack.

Caro zrobiła paskudną minę za plecami matki i Maddy ledwo zdołała opanować śmiech.

- Widzisz gdzieś lady Sarę? - zapytała, gdy już przedarli się przez tłum radosnych debiutantek i ich matek.

- Tak... stoi z rodzicami po drugiej stronie parkietu

- odparła Carolyn. - Przywitam się z nią i zaprowadzę do saloniku na tyłach... porozmawiam z nią, a po jakimś czasie ty do nas dołączysz.

Maddy spojrzała we wskazanym kierunku. Niestety, zanim zdążyła przyjrzeć się lady Sarze, tuż przed nią stanęła ogromna, gruba kobieta ubrana w purpurową suknię. Białe pióro, które chwiało się na czubku jej purpurowego turbana, miało ze dwie stopy długości. Wyglądała niczym ogromna purpurowa fregata pod pełnymi żaglami. Obok dreptała lady Jersey.

- Aaa, lady Ursula! Jakże dawno pani nie widziałam

- zagrzmiała purpurowa fregata donośnym głosem. Uniosła ozdobiony ametystami binokular i przyjrzała się Maddy od stóp do głów.

- Więc to jest ta pannica, za którą Rand wykupił swe długi?

Lady Ursula pobladła.

- Niech mi wolno będzie przedstawić narzeczoną mego syna, pannę Madelaine Harcourt, wasza wysokość - powiedziała pospiesznie.

- Madelaine, kochanie, ukłoń się jej wysokości, księżnej Sherbourne.

Maddy złożyła zgrabny ukłon, choć prawdę mówiąc wolałaby udusić wstrętną kwokę.

- Phi! Zbyt chuda jak na mój gust. Ale kości ma dobre, jak na kupiecką córkę - prychnęła dama z pogardą. Przyglądała się dziewczynie jak kłacz wystawionej na sprzedaż.

- Więc, panienko, wiemy już, kim jest twój ojciec, lecz nadal nie wiemy nic o twojej matce. Nigdy nie słyszałam, by Harcourt miał żonę! A teraz nagle się okazuje, że jest wdowcem!

- Moja matka była córką hrabiego de Navareil - odparła Maddy przypatrując się księżnej z równie lodowatą pogardą. Jakże ta kreatura śmie kwestionować jej pochodzenie?

- Nie podobało się jej w Londynie, więc sześć lat po ślubie wróciła do Lyonu na zamek mego dziadka.

- Bezczelna dziewczyna - burknęła księżna.

- Podejrzewam, że sądzisz, iż z pieniędzmi starego Harcourta staniesz się odkryciem sezonu i towarzystwo zakocha się w nowej hrabinie Rand!

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło, wasza wysokość

- odrzekła skromnie Maddy. Zamachała wachlarzem dokładnie tak, jak to setki razy ćwiczyła przed lustrem od dnia, gdy zobaczyła Tristana z arcyksiężną.

- Jestem przyzwyczajona do przyjęć i bali u mego dziadka, na które zjeżdżały się najwybitniejsze umysły z całej Europy. Sądzę, że tutejsze spotkania, niestety mniej stymulujące, będą mnie okropnie nudzić.

Księżna cofnęła się o krok, jakby ją coś ugryzło. Przez chwilę jej twarz była tak purpurowa jak suknia. Potem odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła nieszczerym śmiechem.

- Masz tupet, dziewczyno, to ci trzeba przyznać. I co pani na to, lady Jersey? Czy pani wspaniały Almack widział kiedyś coś podobnego?

- Lady Jersey wydała z siebie dziwny zduszony dźwięk, a księżna z powrotem odwróciła się do Maddy.

- Weź mnie pod ramię, moja droga. Przejdziemy się po salonie i przedstawię cię kilku wpływowym osobom.

Maddy niechętnie wsunęła dłoń pod pulchne ramię starej harpii. Odpowiedziała księżnej powodowana impulsem, lecz to ściągnęło na jej głowę nie lada problem - traciła cenny czas będąc przedstawiana ludziom, którzy zupełnie jej nie interesowali. Przyszła tu tylko po to, by rozmówić się z lady Sarą Summerhill.

Wszystkie twarze zlewały się jej w jedną, a nazwiska natychmiast wypadały z pamięci. Gdy tylko księżna zatrzymywała się, by pogawędzić ze

znajomymi, Maddy modliła się, by byli to już ostatni. Lady Ursula i Caro wlokły się za nimi z nieszczęśliwymi minami.

- Aaa, wicehrabia Tinsdale, jak miło mi pana widzieć... i was, drogie panie.

- Księżna zatrzymała się przed niskim, chudym człowieczkiem, którego twarz zastygła w cierpiętnicznym wyrazie. Zdawało się, że biedak nie chce się uśmiechnąć, gdyż obawia się, że jego twarz rozleci się na tysiące kawałeczków. Obok niego stały dwie piękne blondynki, jedna nieco od niego młodsza, a druga całkiem młodzieńka. Maddy zobaczyła wyraz przerażenia na twarzy panny i od razu zrozumiała, dlaczego księżna zatrzymała się akurat przy tych ludziach. Stara harpia wiedziała, co robi - najwyraźniej zadawanie bólu dawnej narzeczonej Gartha sprawiało jej ogromną przyjemność.

Caro, niech Bóg ją błogosławi, natychmiast oderwała się od boku matki, podeszła do lady Sary i objęła ją czule.

- Jak miło mi znowu cię widzieć! - zawołała.

- Tyle czasu minęło od naszego ostatniego spotkania! Musimy nadrobić zaległości! - I odwróciwszy się plecami do księżnej, objęła w pół Sarę i odeszła z nią w stronę saloniku.

- A niech mnie! - wykrzyknęła dama z wściekłością.

- Ktoś powinien nauczyć manier pani córkę, lady Ursulo!

- Wyszarpnęła ramię z uścisku Maddy.

- Mam już dość tego głupiego łażenia w kółko! Nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Maddy uśmiechnęła się złośliwie.

- Domyślam się, wasza wysokość. Każdy wie, że gdy zabawa się skończy, człowiek nagle odkrywa, że jest zmęczony.

- A niech mnie! - powtórzyła księżna, prychnęła gniewnie i odeszła zważnym krokiem.

- Och, moja droga, i coś ty najlepszego uczyniła?!

- Lady Ursula wyciągnęła chusteczkę z torebki i wytarła nią krople potu z czoła. - Zachowałam się wyjątkowo niemądrze. I Carolyn też. Obawiam się, że zrobiłyście sobie z niej potężnego wroga.

- BzdurY! - wtrąciła lady Jersey.

- Już najwyższy czas, by ktoś nieco ostudził tę starą wiedźmę. Brawo, panno Harcourt. Zdobyła się pani na dużą odwagę. Też taka byłam za młodo! Nie tylko zyskała dziś pani wroga, ale i przyjaciela. A śmiem twierdzić, że jestem nie mniej wpływowa niż księżna.

- To powiedziawszy, ucałowała zdumioną Maddy w oba policzki.

- A teraz, proszę, wybaczcie mi, muszę opowiedzieć znajomym, jak to młoda panienska pokonała starą harpię.

- Uśmiechnęła się uroczo.

- Pójdzie pani ze mną, lady Tinsdale?

Oszłomiona Maddy gapiła się na odchodzące panie. I jak tu zrozumieć Anglików?

Wicehrabia Tinsdale pozostał na swoim miejscu, miał taką minę, jakby przez ostatnie pół godziny ssał cytrynę. Uniósł monokl i przyjrzał się Maddy uważnie.

- Jestem pani dłużnikiem, panno Harcourt, za to, że podjęła się pani obrony mojej córki - powiedział poważnie.

- Gdybym kiedykolwiek mógł pani w czymś pomóc, chętnie służyć.

Maddy uśmiechnęła się słodko.

- Dziękuję, milordzie - odparła poważnie.

- Będę o tym pamiętać, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Rozejrzała się za Caro, lecz nigdzie nie mogła jej dostrzec. Właśnie miała zapytać o drogę do saloniku, gdy opadła ją chmara młodzieży i wszyscy naraz zaczęli prosić ją do tańca. Nic nie pomogły tłumaczenia, że niedawno zaczęła naukę tańca i nie ma ochoty na publiczne występy.

Na szczęście następny taniec był jednym z niewielu, które zdążyła poznać, więc w ramionach doświadczonego partnera nie zrobiła z siebie idiotki. Gdy tylko muzyka przestała grać, usunęła się w kąt, by uniknąć dalszych zaproszeń. A potem pobiegła na poszukiwanie Caro. Odnalazła obie panny w saloniku, jak to było ustalone.

- Już wszystko Sarze powiedziałam - oznajmiła Carolyn, gdy tylko Maddy weszła do pokoju.

- Miałaś rację mówiąc

o zakochanych kobietach. Sara powiedziała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby tylko ci pomóc. Nie ma dla niej nic ważniejszego niż nadzieja, że może jednak poślubi Gartha...

Lady Sara uśmiechnęła się do Maddy nieśmiałym uśmiechem. Madelaine usiadła obok nich.

- Dużo myślałam, co powinnyśmy zrobić, i znalazłam doskonałe rozwiązanie - powiedziała poważnie.

- Może pomysł jest trochę szalony, ale mój ojciec jest bardzo upartym człowiekiem. Nic oprócz poważnego wstrząsu nie zachwieje jego mniemaniem o sobie i jego planach.

- Maddy przyjrzała się pobladłym twarzyczkom dziewcząt.

- To jak, pomożecie mi?

Bez chwili wahania dwie jasne główki kiwnęły zgodnie

I nachyliły się bliżej do Maddy oczekując propozycji.

- Doskonale. Więc plan wygląda tak...

SK

Rozdział czternasty

Krótki liścik od Carolyn adresowany do Gartha został przywieziony do Winterhaven z Londynu przez jednego ze służących Ramsdenów. Hrabia i Tristan właśnie siadali do kolacji w piątkowy deszczowy wieczór, niecały tydzień po tym, jak reszta rodziny oraz Harcourtowie wrócili do miasta. Garth przełamał pieczęć i odczytał list na głos:

Mój kochany bracie!

W piątek za tydzień Mama postanowiła wydać kolację na cześć Maddy i Twoją. Chciała, bym napisała do Ciebie i poprosiła, byś przyjechał do Londynu wraz z Tristanem. Powodzenie całego przedsięwzięcia zależy od Waszej obecności, więc błagam, nie zawieź mnie.

Twoja kochająca siostra Caro

Garth złożył z powrotem list i wsunął pod talerz.

- I co o tym sądzisz? - zapytał Tristana - Liścik Carolyn wydaje się być bardziej zaproszeniem na naradę wojenną niż na uroczystą kolację.

- Zmarszczył brwi.

- I kto też przekonał mamę, by wydała jeszcze jedno przyjęcie przed ślubem? Pamiętam, że prosiłem ją wyraźnie, by nie wydawała podobnych kolacji na moją część, jeżeli tylko uda się tego uniknąć. Czy ona nie rozumie, że nie mam na to siły?

- To na pewno pomysł Harcourta - odparł gorzko Tristan.

- Ubzdurał sobie, że wasz ślub musi być najwspanialszym wydarzeniem sezonu.

Garth beźmyślnie bawił się widelcem.

- Podejrzewam, że nie mamy wyboru i musimy zrobić to, o co Caro nas prosi - powiedział marszcząc ponuro jasne brwi.

- Na to wychodzi - odrzekł Tristan, choć na samą myśl o braniu udziału w podobnej uroczystości robiło mu się niedobrze. Z ogromnym wysiłkiem ukrył swe prawdziwe uczucia wiedząc, że Garth i tak miał dostatecznie dużo kłopotów na głowie i bez wysłuchiwanie lamentów brata.

Odsunął talerz z nietkniętą kolacją - młodymi ziemniakami i pieczoną baraniną, specjalnością pani Petersen, na którą szykował się od południa. Teraz na samą myśl o jedzeniu czuł ucisk w gardle.

- Ty i tak musisz jak najszybciej wracać do Londynu, by krawiec mógł ci na czas uszyć ślubny strój - przypomniał Garthowi.

- Podejrzewam, że dzień w tę, czy w tamtą nie zrobi ci wielkiej różnicy.

Hrabia skinął głową.

- Jak zwykle masz racje - odparł ponuro. Nabił na widelec kawałek pieczeni, lecz nie doniósł go do ust. Odłożywszy mięso z powrotem na talerz, dodał:

- Ty też musisz sprawić sobie nowe ubranie. Nie uchodzi, by świadek na najelegantszym weselu sezonu wyglądał niczym psu z gardła wyjęty...

Aż do tej pory Tristan był tak zajęty doglądaniem renowacji Winterhaven, że nie myślał o czekającej go ponurej uroczystości. Teraz, nagle, wyobraził sobie, że stoi przed ołtarzem w katedrze Świętego Jerzego i patrzy, jak kobieta, którą kocha nad życie, zostaje żoną innego.

- Dobrze - powiedział ponuro.

- Pojedziemy do Londynu i razem udamy się do Westona na przymiarki. Choć po namyśle dochodzę do wniosku, że daruję sobie kolację u lady

Ursuli. Zamiast tego udam się do parlamentu i posłucham najnowszych wiadomości o Korsykaninie.

- Ależ Caro bardzo wyraźnie podkreśliła, że obaj musimy być obecni - zaoponował Garth z paniką w głosie. - Proszę, zrób to dla mnie. Proszę, Tris! Potrzebuję cię. Potrzebuję twego wsparcia... Na samą myśl o podobnej uroczystości cierpie mi skóra...

Tego było już za wiele. Coś w Tristanie pękło. Uczucia, które tak długo trzymał na uwięzi, a które zostały mocno wstrząśnięte odwiedzinami Maddy, teraz przełamały wszelkie tamy niczym wiosenny wzburzony potok.

- Niech to diabli, Garth! Prosisz mnie o zbyt wiele. Myślisz, że tylko ty jeden tu cierpisz?

Szok. Niedowierzenie. I nagle Garth wszystko zrozumiał.

- Wielki Boże - jęknął i zbłdł.

- Jak mogłem być tak ślepy? Czyżbym był tak pogrążony we własnym smutku, że nie zauważyłem twego cierpienia? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że kochasz pannę Harcourt?

Tristan już otworzył usta, by zaprzeczyć, lecz... zaraz je zamknął. Sądząc po wyrazie oczu Gartha, było już za późno na wszelkie zaprzeczenia.

- A co by mi to dało? - zapytał wzdrygając się na widok bólu w oczach brata.

- Co mi dał mój obecny głupi wybuch? Tyle tylko, że i ty się teraz tym martwisz!

Garth oparł ręce na stole i spojrzał Tristanowi głęboko w oczy.

- Czy panna Harcourt wie, co do niej czujesz? - zapytał cicho.

- Tak.

- I odwzajemnia twoje uczucia?

Tristan zgarbił się i wbił wzrok w talerz. Nie potrafił spojrzeć bratu w oczy.

- Mam podstawy, by przypuszczać, że owszem.

- A pewnością. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłem tego nie zauważyć! Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że od naszego pierwszego spotkania mówiła tylko o tobie.

- Walnął pięścią w stół, aż talerze zagrzechotały. - Niech diabli porwą tego starego drania i jego pogrózki. Zerwę zaręczyny z panną Harcourt i znajdę jakiś inny sposób na uporządkowanie moich spraw. Nic mnie nie zmusi do tego, bym się z nią teraz ożenił... Nie zgadzam się ratować własnej skóry za taką cenę!

Tristan aż podskoczył.

- Co też ty wygadujesz?! Twój szlachetny gest na nic się nie zda. Harcourt nigdy się nie zgodzi, by jego ukochana córeczka wyszła za bękarta bez grosza przy duszy. Już się pogodziłem z tym, że Maddy nigdy nie będzie moja; jestem nawet zadowolony, że to ty zostaniesz jej mężem. Przynajmniej będę spokojny, że będziesz ją dobrze traktować...

- Złożył serwetkę, którą do tej pory miała na kolanach, i położył ją na stole obok talerza.

- Maddy jest wyjątkowa; przetrwała tyranię dziadka i głupie machinacje ojca. Nie mógłbym znieść myśli, że źle będzie ją traktował mąż, który ożeni się z nią tylko dla jej posagu.

- Widząc rumieniec na twarzy brata, dodał słabo:

- Wiesz, co mam na myśli...

- A ty wiesz, że panna Harcourt nigdy nie zazna krzywdy z moich rąk, choć wątpię, by miało to dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

- Spojrzał na Tristana z z troskaniem.

- Wątpię też, czy zmniejszy to twój ból. Ja nie chciałbym być zmuszony do przebywania z Sarą, gdyby została żoną innego.

- Lord Castelreagh poprosił, bym reprezentował go w Wiedniu lub Paryżu, gdy tylko wojna z Napoleonem Bonaparte się skończy. Zgodziłem się - powiedział po prostu Tristan.

- Tak jak myślałem! - W głowie Gartha słyhać było gniew i ból.

- Rozwiązując moje finansowe kłopoty, stracę dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie, ciebie i Sarę. Zaczynam myśleć, że pełnienie roli piątego hrabiego Rand jest stanowczo zbyt bolesnym obowiązkiem! Cena tego zaszczytu jest zbyt wysoka!

- Ale musisz ją zapłacić, bo nie masz wyjścia.

- Tristan wstał od stołu i podszedł do brata. Położył mu dłoń na ramieniu.

- Rozchmurz się, mój drogi. Podobno czas leczy wszelkie rany... nawet te w sercu. Musimy pogodzić się z losem i brać, co nam dzień przynosi.

- Milczał przez chwilę, po czym uśmiechnął się z przymusem.

- Wiesz co? A może nie będziemy czekać do piątku? Możemy załatwić się z przymiarkami u Westona przez jeden dzień, a potem wynająć apartament w hotelu Clarendon i przez resztę dni i nocy wieść żywot bez trosk kawalerów... Wiele lat już minęło od czasu, gdy razem buszowaliśmy nocą po Londynie...

- Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może gdy się wystarczająco upiję, zmienię zdanie i pójdę z tobą na kolację do lady Ursuli?

Ósma wieczorem dawno już minęła, gdy w piątek Tristan i Garth stanęli przed drzwiami londyńskiego domu Ramsdenów. Przez ostatnie kilka dni czas dla nich nie istniał i dawno już przestali odróżniać dzień od nocy.

Ubrani w piękne, acz nieco zmięte stroje wysiedli z dorożki, którą wynajęli na przejazd z hotelu Clarendon. Stojąc ramię w ramię u stóp kamiennych schodków, z lekkim niepokojem wpatrywali się w masywne drzwi.

- Jesteśmy ponad godzinę spóźnieni - przerwał ciszę Garth.

Mama będzie wściekła. Nie ma na świecie bardziej punktualnej osoby niż Ursula Ramsden.

- Nie martw się. Lady Ursula jest cudowną kobietą i na pewno wybaczy nam nieuprzejmość, gdy wyjaśnimy jej powód naszego spóźnienia - odparł Tristan, choć wcale nie czuł się pewniej niż brat.

- A niby jaki jest powód naszego spóźnienia? - zapytał sceptycznie Garth.

Tristan usiłował zmusić zmęczony umysł do pracy, lecz odpowiedź na pytanie brata znacznie przewyższała jego możliwości.

- Wymyślę coś na poczekaniu - odrzekł; był bardzo zmęczony.

- Wątpię zresztą, czy ktokolwiek będzie pytać. Na tego typu uroczystościach jest zazwyczaj tylu ludzi, że pewno nikt jeszcze nie zauważył naszej nieobecności.

Rozejrzał się dokoła, gdyż właśnie teraz do niego dotarło, że nigdzie w okolicy nie widać powozów. Zazwyczaj, gdy lady Ursula wydawała przyjęcie, szereg powozów gości ciągnął się aż do następnej przecznicy. Przy krawężniku stały tylko dwa pojazdy - czarna karetka Caleba Harcourta i jakiś inny, elegantszy, którego Tristan nie poznawał.

- Dziś jest piątek, nieprawdaż? - zapytał podejrzliwie, gdyż właśnie przyszło mu do głowy, że w swej dzikiej pogoni za przyjemnościami tego też padołu mogli się pomylić w obliczeniach i przyszli dzień później...

- Na pewno jest piątek - odparł Garth pocierając pięściami skronie.

- Na pewno. Sam dziś pytałem portiera w hotelu...

- W takim razie szykuje się bardzo małe przyjęcie albo jesteśmy za wcześnie, zamiast za późno.

Ta myśl dodała im sił i weszli rażno po schodach ramię w ramię. Tristan zastukał kołatką i czekali, aż ktoś im otworzy. Po pewnym czasie na progu

pojawił się służący - młody Irlandczyk, którego lady Ursula przywiozła tu z Winterhaven.

- Jak to dobrze, że panowie przyjechali - powiedział z ulgą jasno wymalowaną na piegowej twarzy.

- Wszyscy inni goście już tu są. Siedzą w saloniku obok jadalni.

- Wszyscy? - Garth uniósł brwi ze zdumienia.

- To chyba jakieś bardzo małe przyjęcie.

- W rzeczy samej, milordzie. Jest tylko dziewięć osób...

- Dziewięć? To bardzo dziwne.

- Garth spojrzał na Tristana.

- Mama zawsze bardzo pilnuje, by lista gości była równa. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego dziś jest tak od pary.

- Właściwie to lady Carolyn, a nie lady Ursula, zapraszała gości. Z pomocą panny Harcourt, rzecz jasna - wtrącił usłużnie młody Irlandczyk. W kącikach jego szerokich ust zaignął uśmiech.

- Lady Ursula ma teraz inne sprawy na głowie.

Tristan założył, że chłopakowi chodzi o przygotowania do wesela. Nie wyobrażał sobie, by cokolwiek innego mogło zaprzętać umysł hrabiny.

Służący wziął od nich cylindry oraz rękawiczki i poprowadził ich w głąb domu.

- Sam panów zapowiem, bo i tak jest okropne zamieszanie w domu. Panienki się niecierpliwiają, a nim nadszedłby stary Forbisher, minęłoby pół wieczora...

- To powiedziawszy, otworzył na oścież drzwi do salonu i obwieścił donośnym głosem:

- Oto i oni, milady!

- Tristan! Garth! Bogu dzięki, żeście się wreszcie pojawili!

- Lady Ursula podeszła do nich z radosnym uśmiechem na twarzy.

- Kucharka przed chwilą mi powiedziała, że nie może czekać z podawaniem obiadu już ani chwili dłużej. - Koniuszkami palców posłała im obu pocałunki, a potem jeszcze jeden w głąb pokoju w stronę Caleba Harcourta, i ze słowami:

- Powiem tej starej złoŃnicy, że już jesteście!

- Zniknęła za drzwiami.

Tristan i Garth wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie chciało im się wierzyć, że ta roześmiana, fry wolna osóbką jest tą samą poprawną i wyniosłą damą, którą znali całe życie. I co znaczyła rozanielona mina starego lotra? Czy to aby na pewno był ten sam nieugięty kupiec, z którym zawarli umowę przed kilkoma miesiącami?

Na chwilę Tristan zapomniał o lady Ursuli i Calebie Harcourt. Jego wzrok od razu odnalazł w pokoju Maddy i wszystko inne przestało istnieć. Stała pod ścianą i rozmawiała z Caro. Miała na sobie tę samą zieloną sukienkę, którą nosiła w dzień ich pożegnania w Winterhaven. Na jej widok dosłownie zaparło mu dech w piersi.

Jego zamyślenie przerwał dziwny odgłos, jak gdyby śmiertelnie zranionego zwierzęcia. Zaskoczony zdał sobie sprawę, że pochodzi on do stojącego tuż obok niego Gartha. Jego wzrok utkwiony był w trójce ludzi siedzących na kanapce tuż obok Maddy i Caro.

Tristan zamrugał nie wierząc własnym oczom. Sztywno wyprostowanym dżentelmenem siedzącym na zielonej kozetce, odzianym w wytworny wieczorowy strój, był wicehrabia Tinsdale we własnej osobie. Obok niego siedziały jego żona i córka - lady Sara Summerhill.

- Jak ona może być tak okrutna? - jęknął wbijając palce w ramię brata. Jednak nie było jasne, czy pyta o to, jak jego siostra mogła być tak okrutna i zaprosić tu Sarę, czy też jak Sara może być tak okrutna i przychodzić na przyjęcie wydane z okazji zaręczyn jej ukochanego z inną.

Tristana ogarnęła bezsilna, obezwładniająca furia. Miał ochotę udusić pierwszego człowieka, który stanie mu na drodze. Zwyczaj nakazywał mu, jako drużbie, brać udział w przyjęciach z udziałem narzeczonych i spotykać się z Maddy, gdy tylko Garth zechce się z nią spotkać. Ale nie było żadnego rozsądnego powodu, dla którego jego brat musiałby cierpieć ból i poniżenie spotykając się z Sarą.

Instynktownie poszukał wzrokiem Maddy. Obawiał się tego, co może zobaczyć w jej oczach, lecz ze zdumieniem zauważył, że nie są ani przerażone, ani wbite w ziemię. Dziewczyna wyglądała, jakby właśnie szykowałą się do walki - jeżeli słusznie ocenił ogień płonący w jej bursztynowych oczach.

Stojąca obok niej Caro miała równie bojową minę, a nieopodal nich siedziała lady Sara, wyglądająca bardziej jak mały buldog szykujący się do odgryzienia komuś ręki niż jak mała przestraszona dziewczynka, którą znał od lat.

Tristan poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, a lodowata ręka ścisła mu wnętrzności. Podobną reakcję wzbudziło w nim wejście do traboules w Lyonie. W tym pokoju można było wyczuć podobną, mroczną atmosferę. Coś tu się szykowało. Tristan miał wrażenie, że wszyscy siedzą na beczce prochu z zapalonym lontem.

Kilkoma szybkimi krokami podszedł do Maddy i Caro.

- Co tu się dzieje, u wszystkich diabłów? I która z was wpadła na sadystyczny pomysł wydania tego piekielnego przyjęcia? - zapytał szeptem, tak by pozostali goście nie mogli go usłyszeć.

W odpowiedzi otrzymał tylko stoickie spojrzenia dwóch par oczu - jednych bursztynowych, drugich niebieskich. Ani jedna, ani druga panna nie kwapiła się z odpowiedzią.

- No, mówicie wreszcie! Co tu się dzieje?

- Ta kolacja była moim pomysłem - odrzekła w końcu Maddy. W jej głosie pobrzmiwały wojownicze tony.

- Zgromadziłam tu tę konkretną grupkę ludzi, by naprawić zło, wyrządzone im przez mego ojca.

- Maddy wpadła na pomysł, jak zniweczyć jego plany - dodała Caro.

Tristan jęknął i przewrócił oczyma. Widział już wcześniej, do czego zdolna jest Maddy, lecz tego się nie spodziewał.

- Maddy, czy nie przyszło ci do głowy, że igrasz z ogniem? - zapytał ledwo panując nad gniewem.

- Twój ojciec jest upartym człowiekiem, który święcie wierzy, że robi wszystko dla twego dobra... Dyskusja z kimś takim jest bezsensowna... poza tym, to on trzyma wszystkie asy w garści.

Maddy uniosła dumnie podbródek.

- Już nie. Teraz to ja mam je w garści.

- Ukradła je - wyjaśniła radośnie Caro.

- Z moją pomocą. Tristan przyglądał się ich zarumienionym twarzyczkom z rosnącym niepokojem.

Jednak zanim zdążył cokolwiek dodać, wszedł kamerdyner i oznajmił:

- Podano do stołu!

Podczas uroczystej kolacji prawie nikt nie rozmawiał, ale prawdę mówiąc Maddy nie spodziewała się niczego innego. Caro też na nic się nie zdała, gdyż siedziała przy stole zdenerwowana, jak gdyby perspektywa czekającej ich bitwy przerosła jej możliwości. Dziewczyna siedziała cichutko niczym myszka i wpatrywała się w stojący przed nią talerz.

Wicehrabia Tinsdale też nie odzywał się ani słowem, zajęty pochłanianiem ogromnych ilości potraw zaserwowanych przez „francuskiego” kucharza lady Ursuli. Z drugiej strony lady Tinsdale nie jadła prawie nic i przez cały czas z niepokojem obserwowała córkę.

Sara nie jadła i nic nie mówiła, tylko wpatrywała się w oczy Gartha z całą miłością świata wypisaną na twarzy. Dopiero teraz Maddy zrozumiała, że popełniła błąd sadzając tych dwoje naprzeciw siebie. Jeżeli Sara nie weźmie się w garść, będzie z niej jeszcze mniej pożytku w nadchodzącej bitwie niż z chorej ze zdenerwowania Caro.

Obserwując ją, Maddy pomyślała, że Tristan dawno nie patrzył na nią z wyrazem takiego uwielbienia. Od czasu, gdy przyznała się do zamiaru konfrontacji z ojcem, zaczął się zachowywać co najmniej dziwnie. Zamiast nie posiadać się z radości, siedział z ponuro zwieszoną głową i mechanicznie jadł wszystko, co miał na talerzu.

Madelaine prychnęła gniewnie. Paskudny ponurak inaczej zaśpiewa, gdy ona skończy rozmowę z ojcem.

Powodowana poczuciem winy zerknęła na ojca. Biedaczysko ani się spodziewa, co też go jeszcze tego wieczora spotka. Sądząc po idiotycznej minie, wszyscy goście mogliby nie istnieć, tak był pochłonięty flirtowaniem z lady Ursulą - co dziwniejsze, dama zdawała się być bardzo rada jego głupim minom.

Choć z drugiej strony, nie było się czemu dziwić. Wszak Caro ostrzegła ją: „Nie licz na mamę. Ona nigdy nie poprze nas przeciw panu Harcourtowi. Odkąd ogłosili zaręczyny swych dzieci, świata poza sobą nie widzą.”

Maddy westchnęła ciężko. Najwyraźniej jeżeli cokolwiek ma zostać osiągnięte dziś wieczorem, ona sama będzie musiała się tym zająć. No i dobrze. Od czasu śmierci dziadka nauczyła się dawać sobie radę z

trudnościami. Wreszcie koszmarne kolacja dobiegła końca i służący zaczęli wynosić talerze. Maddy przełknęła ślinę i spojrzawszy na Tristana dla dodania sobie odwagi, ścisnęła krzyż, który podarował jej ojciec Bertrand. Wstała i odkaslnąwszy cicho zaczęła swą szokującą przemowę, zanim lady Ursula zdążyła zaproponować, by panie przeszły do salonu.

SK

Rozdział piętnasty

Chcę ogłosić dwie rzeczy - powiedziała Maddy czystym mocnym głosem, choć pod stołem kolana drżały jej tak bardzo, że musiała się oprzeć o blat, by nie usiąść z powrotem.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, a cichy gwar rozmów, który zaczął się, gdy sprzątnięto ostatnie talerze, ucichł nagle. Wyrazy pełne niedowierzania zagościły na wszystkich twarzach i Maddy dopiero wtedy przypomniała sobie, że tego typu wystąpienia nie przystoją młodym, dobrze wychowanym panienkom.

- Po pierwsze doszłam do wniosku, że jestem jedną z tych „Boże uchwaj, sawantek”, których hrabia i lady Ursula tak nie znoszą - kontynuowała wcale nie zrażona.

- Więc odmawiam brania udziału w tych wszystkich okropnie nudnych zebraniach towarzyskich, na które lady Ursula ciąga mnie od tygodni. Może z wyjątkiem Klubu Miłośników Poezji i Stowarzyszenia przy British Museum.

- Zebrani dokoła stołu patrzyli na nią w oszołomieniu, oprócz Caro i lady Sary, które kiwnęły głowami z uznaniem, oraz Tristana, który i tak na nic nie zwracał uwagi. Maddy zignorowała ich wszystkich i spokojnie mówiła dalej:

- Moim zdaniem, wszystkie te amatorskie wieczorki muzyczne, pikniki, a w szczególności koszarne środowe spotkania w Almack są dla inteligentnej kobiety zwykłą stratą czasu.

- Zamilknij, Maddy - warknął jej ojciec.

- Nie pozwolę ci wygadywać podobnych herezji w towarzystwie dostojnych gości lady Ursuli.

- Cicho, kochanie. Pozwól, że ja się tym zajmę.

- Lady Ursula położyła białą dłoń na wielkiej łapie Harcourta.

- Rozumiem, co czujesz, Madelaine. Wiem, że zwyczaję panujące w Londynie są o wiele bardziej wymagające niż te, do których przyzwyczaiałś się we Francji, i że będziesz musiała włożyć sporo wysiłku w to, by się do nich przystosować. Ale musisz spojrzeć na to rozsądnie. Jak możesz zostać prawdziwą hrabiną Rand, jeżeli odmówisz brania udziału w spotkaniach towarzyskich?

- Ma pani całkowitą rację, milady. Przez ostatnie miesiące robiłam, co w mojej mocy, by wyjaśnić pani i memu ojcu, że nie nadaję się na hrabinę Rand. Ale żadne z was nie chciało mnie słuchać.

- Oczywiście, że się nadajesz - odparł gniewnie jej ojciec.

- Potrzeba ci tylko kilku lekcji, które zasugerowała lady Ursula... I musisz zmienić nastawienie do całego przedsięwzięcia...

- Moje nastawienie się nie zmieni, papo. Poza tym, naprawdę żadna z umiejętności, cechujących tutejsze damy, mnie nie pociąga. Niby dlaczego mam się uczyć rzeczy, które śmiertelnie mnie nudzą?

- Ależ moja droga, a Garth? - wykrzyknęła lady Ursula. Zdawała się być bliska łez.

- Chyba nie chcesz zhańbić jego imienia?!

- Oczywiście, że nie. Bardzo lubię hrabiego - powiedziała Maddy gratulując sobie, że tak doskonale pokierowała rozmową. Hrabina i ojciec powiedzieli dokładnie to, co chciała od nich usłyszeć.

- A to prowadzi mnie do drugiego punktu.

- Obróciła się i spojrzała na Gartha, który był jeszcze blejszy niż zazwyczaj i miał jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę.

- Milordzie, niniejszym zwalniam pana z propozycji, do złożenia której zmusił pana mój ojciec.

Hrabia zarumienił się po czubki uszu i otworzył usta, lecz zamknął je, zanim wydostało się z nich jakiegokolwiek słowo.

- Maddy, siadaj i zachowuj się, jak na damę przystało

- rozkazał ojciec głosem, przed którym swego czasu drżeli majtkowie na statku.

- Już o tym rozmawialiśmy. Powiedziałem ci, jakie jest moje stanowisko w tej sprawie; nic się nie zmieniło od tego czasu.

- Wzruszył ramionami.

- Poza tym, nikt hrabiego do niczego nie zmuszał. Sam wybrał sobie narzeczoną. Nikt nie przyłożył mu rewolweru do czoła.

- Nikt go do niczego nie zmuszał, co? - Maddy szybko uklękła i wydostała spod krzesła dokumenty, które wcześniej tam ukryła.

- A co masz do powiedzenia na temat tych interesujących dokumentów, które odkupiłeś od wierzycieli hrabiego, papo? Czy one nie odegrały tu przypadkiem decydującej roli?

Oczy Caleba Harcourta rozszerzyły się ze zdumienia, podobnie jak oczy Gartha i Tristana.

- Niech cię diabli, ty podstępna mała wiedźmo! Skądże to wytrzasnęła?! - zaryczał Harcourt.

- Ukradła je z pańskiego biurka, z moją pomocą - odparła Caro zrywając się na równe nogi. - Jak śmie pan nazywać Maddy podstępna, ty... ty podły szantażysto!

Maddy zobaczyła, że twarz jej ojca nabiera dziwnego, purpurowofioletowego koloru. Przestraszyła się, że może dostać ataku apopleksji. Może i był wstrętnym starym tyranem, lecz był też jej ojcem i bardzo go kochała.

- Caleb, kochanie, nie denerwuj się tak - powiedziała z niepokojem lady Ursula.

- To na pewno tylko małe nieporozumienie, które łatwo można wytłumaczyć.

- Potem odwróciła się do córki i powiedziała tonem, jakiego Maddy nigdy wcześniej u niej nie słyszała:

- Siadaj w tej chwili,

Carolyn! I ty też, Madelaine! Nie wiem, coście zrobiły, ale widzę, że to coś okropnie podłego. Powinnyście natychmiast przeprosić Caleba!

- Nie usiądę i nie przeproszę, milady - odrzekła stanowczo Maddy. - To mój ojciec powinien przeprosić i mnie, i hrabiego za to, że chciał nas zmusić do małżeństwa, które unieszczęśliwiłoby nas oboje. Gdyby naprawdę mnie kochał, co tak często powtarza, zniszczyłby obciążające hrabiego dokumenty i pozwolił nam żyć tak, jak chcemy!

Zerknęła na Tristana, lecz na jego twarzy gościł ten sam ponury wyraz co w czasie kolacji.

- Ja też nie zamierzam nikogo przeproszać - dodała Caro, za co Madelaine spojrzała na nią z wdzięcznością.

- I uważam, że Maddy ma rację. Pan Harcourt powinien się wstydzić za to, że usiłował decydować o życiu innych ludzi! Wszak nie jest Bogiem!

- założyła ramiona na piersi i rozglądała się po otaczających ją twarzach z wyzywającą miną.

- Ojej, ale się narobiło - wykrztusiła lady Ursula i wybuchnęła płaczem.

- Ja też uważam, że Maddy ma rację - odezwała się lady Sara Summerhill wstając z miejsca.

- A pan Harcourt nie jest jedyną osobą przy tym stole, która powinna się wstydić.

- Siadaj natychmiast, Saro - warknął wicehrabia Tinsdale i uniósłszy binokular, spojrzał gniewnie na córkę.

- Co cię opętało? Jak ty się zachowujesz? Nic, co tu zostało powiedziane, nie jest twoim zmartwieniem! Musimy już iść! To przyjęcie staje się co najmniej niesmaczne!

Sara potrząsnęła głową.

- Nie usiądę, papo, i nie wyjdziemy stąd, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia. Nigdy wcześniej ci się nie sprzeciwiłam, ale w tym wypadku nie masz racji. Wszystko, co dotyczy Gartha Ramsdena dotyczy i mnie. Mam już dwadzieścia cztery lata i czekałam na niego od dnia, gdy mając po czternaście lat przysięgliśmy sobie, że się pobierzemy!

- Saro, kochanie, nie rób tego! Nie mogę tego znieść...

- Garth jęknął ukrywając twarz w dłoniach. Dziewczyna przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, po

czym znowu odwróciła się do ojca.

- Wiedziałaś, że kocham Gartha! A jednak, gdy błagałam cię, byś mi pomógł, odrzekłeś, że nie masz pieniędzy, bo musisz kupić kilka nowych obrazów do swej kolekcji! Mam nadzieję, że dają ci dużo radości, papo! Bo jeżeli nie mogę zostać żoną Gartha, nie zostanę żoną żadnego innego mężczyzny. Umrę starą panną, a ty nigdy nie doczekasz się wnuka, na którym tak ci zależy!

Wicehrabia opuścił binokular i aż otworzył usta ze zdumienia. Wpatrywał się w swą zazwyczaj łagodną, potulną córkę, jak gdyby nagle wyrosła jej druga głowa.

- Niech to diabli! To wszystko twoja wina, Harcourt!

- zawołała odwracając się z wściekłością do honorowego gościa.

- On ma rację, Calebie - dodała lady Ursula ocierając zaczerwienione oczy przemoczoną chusteczką.

- Jak mogłam być aż tak zaślepiona, że uległam czarowi mężczyzny, który zaszantażował mego syna?!

- Niech to wszyscy diabli, Ursulo! Nikt mi nie powiedział, że hrabia miał poślubić inną! - burknął Harcourt.

- Chciałem tylko zapewnić tytuł mojej córce!

- I nieźle narozrabiałeś! Zrobiłbyś wszystko, aby tylko wybić się ponad stan, co? - Wicehrabia Tinsdale patrzył na potężnego kupca z obrzydzeniem.

- Oto doskonały przykład tego, dlaczego my, stara arystokracja, jesteśmy przeciwni zniesieniu klasowych podziałów.

- Ty podła, nadęta świno! - Harcourt uniósł się z miejsca. Wyglądało na to, że zaraz udusi małego wicehrabiego. W tej chwili wtrącił się Tristan i przytrzymawszy Harcourta za ramię powstrzymał go kilkoma słowami, które zaszokowały towarzystwo.

- Elizabeth, Sara, wychodzimy stąd! - wrzasnął wicehrabia. Lady Tinsdale wstała z krzesła, a jej zazwyczaj łagodne oblicze było aż czerwone z nadmiaru emocji.

- Wychodź sobie, jeśli chcesz, Horatio, ja zostaję z moją córką! Wytrzymałam twoje samolubne zachowanie przez trzydzieści lat, lecz nie zamierzam go znosić ani chwili dłużej! Może i metody pana Harcourta są złe, a jego osąd fałszywy, lecz on przynajmniej zrobił to wszystko mając na uwadze dobro swej córki! Ty przedłożyłeś kupno paru Rembrandtów nad szczęście jedyne dziecko! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Wicehrabia Tinsdale popatrzył na żonę z przerażeniem.

- Czyś ty postradała rozum, kobieto? Jak śmiesz tak się odzywać do swego pana i męża?

- Nie straciłam nic, oprócz szacunku do ciebie, Horatio! - odparła buntowniczo wicehrabina, choć jej wargi drżały.

- I gdy już przy tym jesteśmy, postaraj się o kochankę, bo ja dostałam właśnie okropnego bólu głowy i w związku z tym do końca swego marnego życia zostaniesz pozbawiony pewnych przyjemności, którymi cieszyłeś się do tej pory!

Na oczach wszystkich zebranych ojciec Sary zapadł się niczym podcięte drzewo. Maddy przypomniała sobie, jak Caro wspominała, że mimo skąpstwa i dziwnych nawyków wicehrabia Tinsdale szczerze kocha swą żonę i córkę.

- Czego ty ode mnie oczekujesz, Elizabeth? - zapytał rozpaczliwie.

Lady Tinsdale spojrzała na niego z mniejszym niesmakiem.

- Chcę, byś pomógł hrabiemu w wydostaniu się z finansowych kłopotów, w które wpędził go zmarły ojciec. Chcę, byś uczynił wszystko, by on i Sara mogli się pobrać.

- A jak niby mara to zrobić, kiedy Harcourt trzyma w łapie wszystkie dokumenty?

Jakby tylko na to czekając, lady Ursula wtrąciła się do rozmowy.

- Mam wrażenie, że pan Harcourt pozbędzie się wszystkich dokumentów obciążających mego syna, milordzie - powiedziała niebezpiecznie łagodnym głosem. - Bo jeżeli tego nie uczyni, on też zostanie pozbawiony pewnych przyjemności, którymi cieszył się przez ostatnie tygodnie. I jak to mawiał mój nieodżałowany małżonek: swego zdania nie zmienię ani na jotę.

- Ależ, mam! Chyba nie implikujesz... - Carolyn zarumieniła się po czubki uszu.

- Wiem, że bardzo lubisz pana Harcourta, ale chyba ty i on nie... Chodzi mi o to, że zawsze byłaś taka poprawna i...

- Nie bądź gąską, Carolyn - odrzekła matka, a spojrzawszy na siedzącego obok niej mężczyznę, dodała:

- Więc jak będzie, Calebie? Co zamierzasz zrobić z tymi dokumentami, którymi wymachiwała tu twoja córka?

- To jest szantaż - odparł stary łotr urażonym tonem, lecz napotkawszy spojrzenie córki, zarumienił się mocno.

- Może... - odparła lady Ursula.

- Ja wolę nazwać to wymianą świadczeń.

Ojciec Maddy rozejrzał się po minach siedzących przy stole ludzi - wszystkie kobiety stały, wszyscy mężczyźni siedzieli. Na jego ogorzałej twarzy pojawił się uśmiech.

- Niech to diabli, milady, nie zostawia mi pani wyboru - mruknął. Sięgnął po dokumenty i wrzuciwszy je do ogromnej cynowej miski, podpalił je od płomienia świecy. Kiedy ogień już je strawił, dodał:

- No i po krzyku. Zrobiłem, co do mnie należało... a jeżeli dodać to, co wrzuciłem w odnowienie tego domu i Winterhaven... więcej mnie to kosztowało niż trzy nowe statki. A teraz zobaczymy, na co stać naszego przyjaciela, wicehrabiego.

- Zdaje się, że stać mnie na to, by dać Garthowi odpowiednie fundusze... Może gdy jego posiadłości staną na nogi... - odrzekł Tinsdale, lecz koniec jego zdania utonął w burzy radosnych pisków i okrzyków. Przerażony Forbisher zastanawiał się, czy szanowne zgromadzenie nie podpali zaraz całego stołu, lecz na szczęście nie doszło do podobnej tragedii.

Maddy została uściskana, ucałowana i obdarzona gorącymi podziękowaniami najpierw przez lady Tinsdale, potem przez lady Sarę i hrabiego, gdy zdolali oderwać się od siebie na minutę. Wicehrabia Tinsdale nie docenił jej wysiłków. Wymruczał coś pod nosem o cudzoziemcach korumpujących umysły przyzwoitych Angielek i szybko opuścił towarzystwo. Pozostała trójka podążyła za nim, by zrobić plany na nadchodzący ślub.

Maddy popatrzyła za nimi i uśmiechnęła się wzruszona. Hrabia był doprawdy przemiłym człowiekiem i zasługiwał na kochającą i oddaną żonę, jaką z pewnością będzie lady Sara.

- Wiec jednak postawiłaś na swoim, córeczko - rzekł ojciec poklepując ją po plecach. - I choć drogo mnie to kosztowało, niczego nie żałuję. Gdybym nie uparł się na zrobienie z ciebie hrabiny, nigdy nie zdobyłbym tak wspaniałej kobiety jak lady Ursula.

Maddy uśmiechnęła się do niego czule.

- To zaiste cudowna kobieta, papo. Życzę wam obojgu wiele szczęścia.

- Ja tobie też, Maddy. Jesteś sprytna, to ci muszę przyznać. Zbyt sprytna, byś na tym nie straciła... Dla twego dobra mam nadzieję, że ten twój ukochany bękart nie wystraszy się ciebie. Mało który mężczyzna zechciałby mieć za żonę tak podstępną kobietę... - Pochylił się i pocałował ją w policzek, a potem szepnął jej do ucha:

- A gdyby, nie daj Boże, chciał wykręcić się od małżeństwa z tobą, przypomnij mu, że wnosisz w posagu niebagatelną sumkę...

To powiedziawszy wyszedł z pokoju. Na jednym jego ramieniu opierała się lady Ursula, na drugim Caro. Kilka minut później ostatni służący wyszedł z jadalni i Maddy z Tristanem zostali sami.

Oboje modlili się o ten moment, a jednocześnie śmiertelnie się go obawiali. Nagle z Madelaine uszła cała brawura.

Oprócz tej jednej chwili, gdy powstrzymał jej ojca od zaatakowania wicehrabiego, Tristan pozostawał biernym świadkiem wydarzeń. Zdawać by się mogło, że to, co rozgrywa się przed jego oczyma, nie ma z nim nic wspólnego. Nawet na samym końcu, gdy trzej panowie zadeklarowali swą miłość trzem damom, on odszedł do dalekiego kąta pokoju i stał cicho wyglądając przez okno.

Czyżby ojciec miał rację? Czyżby Tristan, mimo wszystko, nie chciał jej poślubić? Jakby na potwierdzenie jej obaw, podszedł do niej i zaszalował jej ironicznie.

- Brawo, pani generał! Sam Wellington sprawniej nie dopiąłby swego. Lecz choć wygrałaś bitwę, możliwe, że zadałaś śmiertelny cios swej fortunie.

Maddy zeszytywniała, nie bardzo wiedząc, jak rozumieć jego słowa.

- Zazwyczaj nie jestem tak bojowo nastawiona - zaprotestowała. - Zrobiłam tylko to, co uważałam za konieczne, by powstrzymać mego ojca od zrujnowania życia czterem osobom.

Tristan westchnął.

- Coś mi się zdaje, że władcze podejście do świata jest u was rodzinne. Jestem też przekonany, że gdybyś to ty dowodziła wojskami Bonapartego, stary Korsykanin władałby w tej chwili piękną Anglią.

Maddy aż zagotowała się z wściekłości. Jak on śmie krytykować ją po tym, co dla niego zrobiła?!

- A ty, oczywiście, jak prawdziwy mężczyzna, nie chcesz mieć bojowo nastawionej żony, co?

- A czyż może być gorszy los dla mężczyzny? - zapytał wprost Tristan.

- Cóż, w takim razie to koniec... - powiedziała Maddy z ciężkim sercem.

- Podejrzewam, że gdybym bardzo chciała cię poślubić, mogłabym obiecać, że nigdy nie będę ci się sprzeciwiać... - dodała z wahaniem.

- A może obiecasz jeszcze, że zawrócisz bieg Tamizy? Wtedy prędzej bym ci uwierzył.

- Tristan potrząsnął głową z ogromnym smutkiem.

- Znam cię, Maddy Harcourt. Jesteś przebiegłą i sprytną kobietą. Nie mogę nawet zliczyć, ile razy wmanewrowałaś mnie w robienie czegoś, na co nie miałem ochoty... dokładnie w ten sam sposób, w jaki dziś rzuciłaś na kolana ojca i wicehrabiego Tinsdale. Wystarczyło ci kilka doskonale dobranych słów.

- Dziś wieczorem pomogły mi aż cztery osoby - zaprotestowała Maddy urażonym tonem.

- Nie pamiętasz?

- Ha! Myślisz, że dałem się nabrać na to przedstawienie? Były tylko marionetkami przemawiającymi słowami, które im narzuciłaś... Nie, moja kochana... widać było wyraźnie, kto jest inicjatorem zdarzeń.

Wszystkowiedzący uśmiech Tristana obudził w Madelaine najgorsze instynkty. Miała ochotę potraktować go tak samo, jak młodego rojalistę na moście.

- Papa przewidział, że nie zechcesz się ze mną ożenić - powiedziała gorzko. - Przewidział, że nie będziesz chciał mieć za żonę zbyt sprytniej kobiety. Że będziesz się bał podobnej perspektywy. Byłam głupia... nie uwierzyłam jego słowom...

- Twój ojciec jak zwykle się pomylił. - W oczach Tristana zamrugało światelko rozbawienia. - Wcale nie boję się perspektywy poślubienia ciebie... to mnie po prostu przeraża! Zdaje się, że nigdy wcześniej nie miałem okazji przekonać się, do czego zdolna jest zdeterminowana kobieta... Nawet taka, która swym postępowaniem sama doprowadza się do zguby... - Podeszedł do stołu i nalał sobie wina do kieliszka. Długą chwilę przyglądał się czerwonej cieczy. - Prawdę mówiąc, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie brałby pod uwagę ożenku z tobą.

Maddy omal się nie rozplakała.

- Nawet taki, który mnie kocha? - zapytała chwytając się ostatniej deski ratunku.

- Aaa... to już jest całkiem inna sprawa! - Pociągnął spory łyk wina, po czym postawił kieliszek na stole i podeszedł do niej.

- Nieszczęśnik cierpiący na podobną przypadłość i tak jest kandydatem do sanatorium dla umysłowo chorych, czyż nie? Trudno spodziewać się po nim rozsądnych decyzji, prawda?

Stał tuż obok niej. Tak blisko, że czuła bijący od niego cytrynowy zapach mydła... Czy tylko się jej wydawało, czy też naprawdę w jego diabelskich oczach igrał uśmiech? Na wszystko, co święte! Czyżby przez cały czas po prostu się z niej naśmiewał?!

- Co ty mówisz? - zapytała z dziko walącym sercem.

- Podejrzewam, że jesteś czarownicą, Maddy Harcourt! Rzuciłaś na mnie czar pewnej gwiazdzistej nocy koło wodnego młyna we Francji... Tylko tak mogę wytłumaczyć dziką chęć poślubienia chudej pannicy o figurze chłopca i ciętym języku. Kobiety tak głupiej, że dobrowolnie pozbawiła się największej w Anglii fortuny i chce poślubić bękarta bez grosza przy duszy.

Madelaine ogarnęła gwałtowna radość. Poczuła się tak, jakby ktoś podniósł jej z piersi niewysłowny ciężar.

- Och, kochany - wyszeptała. - Czy to prawda? Mówisz szczerze? Chcesz mnie nawet bez posagu?

Przytrzymał ją do siebie i zamknął w mocnym uścisku.

- Pragnę cię, mała wiedźmo! Tylko ciebie. Wystarczy mi sukienka, którą masz na sobie, i jedna para bucików.

- Delikatnie pocałował ją w szyję.

- Właściwie nawet wolałbym cię bez tej sukienki.

Maddy zarumieniała się pod wpływem jego słiw. Przytuliła się do niego i otoczyła ramionami jego potężną szyję. On pocałował czule jej włosy, czubek nosa i delikatne miejsce za uchem. Uniosła usta, lecz Tris jej nie pocałował. Uniósłszy głowę spojrzął jej w oczy.

- Zrozum jedno, Maddy, Mogę zapewnić ci byt, lecz bez takich luksusów, jakie masz w domu ojca. Wierzę, że mam przyszłość w korpusie dyplomatycznym Anglii... lecz na tym nie robi się kokosów... Jeszcze przez długi czas nie będę dużo zarabiał.

- Rozumiem - zapewniła go Maddy.

- Nie umrzemy z głodu. Jestem doskonałą gospodynią i kucharką.

- Szybko podjęła decyzję, że na razie nie powie mu ani słowa o tym, że mimo wszystko ojciec obiecał jej spory posag.

Właściwie nawet nie chodziło o to, że chce go oszukać... Boże broń! Ale Tristan był tak ucieszony, że to on zapewnił byt rodzinie, że nie potrafiła mu odebrać tej przyjemności.

To zapewne miało coś wspólnego z jego honorem. Tego jednego była pewna. I z tym, że będzie mieć nad nią kontrolę... Jeszcze w domu dziadka nauczyła się, że mężczyźni lubią sprawować kontrolę nad swym domem i... kobietami.

- Skoro już doszliśmy do porozumienia, może zechcesz mnie pocałować? - zapytała patrząc mu w oczy z uśmiechem.

- Bo jeżeli nie, to wymuszę na tobie ostatni z należnych mi pocałunków!

- I z udaną powagą dodała:

- Ponieważ ten stary dług jest moim jedynym majątkiem, wołałabym go od razu nie wydawać.

SK